Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/wpogonizaprawda0002alex

# W POGONI ZA PRAWDĄ.

## SERYA DRUGA.

# LISTY DO PRZYJACIELA

# W POGONI ZA PRAWDĄ

PRZEZ

ALEXANDRA WOHLA.

SERYA DRUGA.

WYDANIE TRZECIE.

POZNAŃ.
Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.
1912.

## LIST I.

# Czemu ludziom złym powodzi się dobrze na świecie?

Co stąd wynika? — Czy tak jest zawsze? — Skąd pochodzi szczęście pozorne ludzi złych? — Czemu się złym powodzi często lepiej, niż dobrym? — »Czyż nie byłoby lepiej, gdyby dobra doczesne były udziałem tylko ludzi dobrych, a złe — tylko złych?

W liście ostatnim wracasz znowu do zarzutów Twoich kolegów co do istnienia P. Boga. Wprawdzie przyznają Ci słuszność: ale stawiają przytem pytania, z którymi Ty znów nie możesz dać sobie rady.

»Jeżeli istnieje P. Bóg, powiadają, to musi być nieskończenie dobry. Skąd tedy pochodzi, że tyle niesprawiedliwości i złego dzieje się na świecie? Dobrym wiedzie się źle, a złym dobrze. Jak to pogodzić z Wszechmocą, Mądrością a przedewszystkiem Dobrocią P. Boga?«

Jesteś przekonany, że to wszystko da się pogodzić: ale nie wiesz jak?

Ano, zobaczymy.

* * *

Przeznaczeniem każdego człowieka jest na ziemi życie krótkie, a długie, bardzo długie, bo wieczne po śmierci.

Jeśli tedy kto chce wszystko, co go się tyczy, ocenić, jak się należy, powinien w jednej syntezie objąć zarówno życie swe teraźniejsze jak i życie przyszłe. Stąd kiedy widzi, że ludziom złym na świecie powodzi się dobrze albo przeciwnie, dobrym powodzi źle, — powinien patrzeć nie tylko na czas ich pobytu na ziemi, ale dalej, w ich przyszłość wieczną, — przyszłość, w której wszystko sobie miejsce należne znajdzie, wszystko do równowagi powróci. O tragedyi, jaką jest historya świata, wydać sąd można będzie dopiero wtedy, gdy akt ostatni się skończy, t. j. gdy ludzkość cała na dolinie Józefata przed swym Najwyższym Sędzią się zbierze do wysłuchania decydującego wyroku.

Dlatego na zarzuty podobne można odpowiedzieć tak: »Prawda, występek tryumfuje na świecie często, a przeciwnie cnota bywa zapoznawana; z tego jednak nie wynika, żeby światem nie rządziła Opatrzność a rządziła mądrze i sprawiedliwie, — tylko, że poza grobem musi być inny świat, inne życie, gdzie się wszystko wyrówna; — zły odbierze karę sobie należną, a dobry należną sobie nagrodę«.

Żeby jednak kto nie sądził, że chcę go zbyć kilku słowami, pomówmy o tem obszerniej.

Przedewszystkiem zobaczmy, czy jest to rzecz tak bardzo pewna, że na świecie dzieje

się złym zawsze dobrze, a dobrym zawsze źle? Ja przynajmniej w tym względzie mam bardzo poważne wątpliwości.

Dość przypomnieć sobie wiersz Horacego: »Raro antecedentem scelestum deseruit poena pede claudo«. (W ślad za występkiem podąża kara, choć czasem długo czekać na siebie daje.)

Albo ten z Owidyusza: »Male parta, male dilabuntur«, co przerobione po polsku brzmi: »Male parta, idą do czarta«.

Weźmy Pismo św. do ręki a zaraz w pierwszej księdze znajdziemy straszną katastrofę Sodomy, Gomory i innych miast sąsiednich wskutek występków, jakich się dopuszczali rozpustni jego mieszkańcy. Wszyscy bez żadnego wyjątku poginęli w płomieniach, gdy Lot ocalał, bo był człowiekiem dobrym i miłym P. Bogu.

Weźmy jak umiera Nero, Decyusz, Dyoklecyan, Waleryusz, Maksencyusz — a za nimi Aryusz, Nestoryusz, Focyusz, Henryk VIII., w nowszych zaś czasach Wolter, albo choćby Napoleon I.; — i porównajmy ich koniec z końcem szlachetnych i sprawiedliwych mężów, jak Konstantego W., Teodozego, Karola W., Ludwika IX., którzy umierali spokojnie, pełni sławy i chwały, — otoczeni czcią u współczesnych a uznaniem i wdzięcznością u potomnych.

Wobec tego, czyż rzeczywiście prawda, że

złym na świecie dzieje się zawsze dobrze, a dobrym zawsze źle.

Dr. Tronchain, świadek naoczny śmierci Woltera, mawiał: »Kto wie, jak on umierał, ten nie będzie żyć, jak on żył«.

Źli nieraz długo tryumfują, — bywa nawet, że płaszczem królewskiego majestatu, potęgą geniuszu lub choćby tylko złotem pokrywają swe zbrodnie i aż do ostatniej chwili drwią sobie z sumienia i ludzkiej sprawiedliwości.

Bywa tak, ale nie często. Częściej powodzi im się dobrze tylko przez jakiś czas, a potem w tym samym stosunku, w jakim się ponad innych wznieśli, spadają gwałtowniej i straszniej.

Napoleon I. i synowiec jego Napoleon III. są najlepszym tego dowodem.

* * *

A może codzienne doświadczenie uczy nas czego innego?

Przecież widzimy, ile cierpień, nieszczęść spotyka złych właśnie z powodu ich występków. Pewne cierpienia są ich przywilejem wyłącznym.

Stracić majątek i popaść w nędzę może wyjątkowo także i człowiek cnotliwy, pracowity, oddany swym obowiązkom: ale w zwykłym porządku rzeczy — to los zgotowany ludziom rozrzutnym, rozpustnikom, oddanym nałogowi

pijaństwa, marnującym swe mienie na karty i hazard.

Chorować może każdy, ale chorować na pewne choroby brzydkie, ale wskutek tego rozstawać się z tym światem przedwcześnie mogą jedynie ci, co zapominają, że są ludźmi, aby pamiętać, że są... zwierzętami.

Trafia się, że człowiek niewinny, wskutek zbiegu okoliczności, dostanie się do więzienia; ale zazwyczaj dostają się do niego pijacy, złodzieje, oszuści, mordercy i tym podobni zbrodniarze.

Patrzmy na rzeczy trzeźwo! To nie prawda, aby los złych nie mówię zawsze, ale choćby nawet zwykle bywał lepszy, niż dobrych. Jest to złudzeniem, pochodzącem stąd, że na świat patrzymy zbliska, chwytając się tylko szczegółów a na syntezę zdobywając się rzadko.

Mozolić się zaś, wiemy dobrze, że człowiek nie lubi.

* * *

Dlatego łudzimy się.

Bierzemy często za dobrych, cnotliwych i sumiennych w spełnianiu swych obowiązków ludzi, co nimi nie są. Tak było z przewrotnymi i fałszywymi Faryzeuszami, o których Chrystus Pan powiedział, że są grobami pobielanymi, pięknymi na zewnątrz, ale wewnątrz pełnymi zgnilizny. Stąd nieraz się nam zdaje, że P. Bóg doświadcza sprawiedliwego, gdy On tymczasem karą zasłużoną nawiedza grzesznika.

Przytem psychologia naszego myślenia sprawia, że, w zwykłym porządku rzeczy, uwagę naszą ściąga na siebie to, co nam w oczy wpada i przez to nas razi. Reguła nas nie uderza: uderza wyjątek.

Kiedy np. widzimy, że człowiekowi dobremu się nie wiedzie, to nas dziwi i nad tem się zastanawiamy. A że wraz z nim i obok niego żyje najspokojniej wielu tak, jak on, cnotliwych, i im powodzi się dobrze, — to nas nie razi, w oczy nie wpada. Nie dziwimy się, bo nam się zdaje, że tak być powinno.

Tak samo, gdy chodzi o ludzi złych. Ich powodzenie na pierwszy rzut oka nas razi i dla tego zwraca na siebie uwagę, a za to ich straty, choroby, nieszczęścia wydają się nam rzeczą naturalną, na którą reflektujemy.

Jeżelibyśmy jednak z jednej strony postawili wszystkich dobrych, a z drugiej wszystkich złych, tobyśmy zobaczyli, że dobrzy złym nic do pozazdroszczenia nie mają, bo szczęście doczesne ani jednych ani drugich nie jest wyłącznym udziałem, tylko udziałem wszystkich, zależnie od normalnego rozwoju praw, rządzących przyrodą i ludzkiem społeczeństwem.

To też mądrze powiedział hr. De Maistre: »W bitwie kula nie patrzy, w kogo trafia: żołnierza dobrego czy złego, ale którego trafi, tego zabija«.

Nie pytajmy się tedy: »Dlaczego złym się powodzi dobrze a dobrym źle?«, ale »Dlaczego

nieszczęście nie zawsze stroni od dobrych a szczęście nie zawsze od złych?«

Na to, sądzę, nie potrzeba długo szukać odpowiedzi.

* * *

»Ale, Boska Opatrzność? Czyż może na to pozwalać?«

A dlaczego nie?

Czyż może P. Bóg w swej Opatrzności nie powinien do tego dopuścić? a więc powinien powstrzymać bieg praw przyrodzonych i dla zachowania dobrym ich doczesnego szczęścia działać ciągle cuda, bo zwyczajnie innego wyjścia by niebyło jak tylko cud?

Jakże często szczęście i nieszczęście doczesne, powodzenie i niepowodzenie człowieka zależy zarówno od niego samego, jego sił przyrodzonych, zdolności, charakteru, temperamentu i zewnętrznych okoliczności, w jakich mu żyć wypada?

Weźmy, choćby same namiętności. Przecież człowiek, działając pod ich wpływem, jest odważniejszy, bardziej na wszystko zdecydowany, niż kiedy działa pod wpływem rozumu, spokojnie i rozważnie. Jeżeli da się opanować ambicyi, chciwości, zemście, gwałtownej miłości zmysłowej, jakże będzie ruchliwy! jak wszelkich godziwych i niegodziwych środków użyje, byleby na swojem postawić i namiętność swą zaspokoić. Cóż dziwnego, że do celu doj-

dzie łatwiej i prędzej, niż gdyby namiętność poskromił, oglądając na to, co wolno lub nie wolno i szedł drogą cnoty.

Człowiekowi, nie przebierającemu w środkach, gotowemu na wszelki podstęp, gwałt, zdradę i oszustwo musi się oczywiście częściej powodzić, niż innemu, co Pana Boga się boi. Inaczej być nie może... bez cudu.

To, co tu powiedziano, może nam wytłómaczyć, przynajmniej po części, ów fakt znany, że narodom, wyznającym religię fałszywą, w sprawach doczesnych powodzi się nieraz lepiej, niż narodom katolickim. Chcieć stąd na niekorzyść katolicyzmu wyciągać wnioski, znaczyłoby tyle, co żądać, aby, w interesie doczesnym swych wiernych sług, P. Bóg działał ustawiczne cuda, zmieniając bieg praw, rządzących już to światem materyalnym, jużto społeczeństwem ludzkiem w jego rozwoju, postępie, cofaniu się i upadku.

To zaś nie idzie. P. Bóg tu i owdzie może robić w tych sprawach wyjątek i robi, ale tylko od czasu do czasu, i do pewnych granic, inaczej z cudu zrobiłby regułę i sprzeciwiłby się Samemu Sobie.

* * *

»Ale P. Bóg mógłby plany złych pokrzyżować, nie dopuszczając do panoszenia się ich kosztem dobrych. Czemuż tego nie czyni?«

Czemu nie czyni?... bo nie chce, — bo to Mądrości Jego się sprzeciwia. — Zresztą nie-

prawdą jest, żeby tego nie czynił nigdy. On to czyni nieraz; nie czyni jednak zawsze, bo jak powiedziałem, musiałby zmieniać co chwila naturalny bieg rzeczy, a to jest wykluczonem.

Przytem zapominać nie trzeba, że w oczach Boskich dobra doczesne są często karą a nie nagrodą, — narzędziem zemsty, a nie dowodem miłości. P. Bóg wtedy najbardziej karze grzesznika, kiedy, jak św. Paweł powiada, pozostawia go własnym jego namiętnościom[1]).

Kiedy lekarz pozwala choremu na wszystko i nic mu więcej nie chce przepisywać, z chorym jest źle.

Tak i P. Bóg, gdy grzesznikowi pozwala na wszystko...

Do czasu.

* * *

»A jednak byłoby lepiej, gdyby dobra doczesne dostawały się w udziale wyłącznie dobrym, bo w ten sposób każdy stosownie do swych uczynków odnosiłby zaraz na poczekaniu, na co zasługuje i wiedziałby czego się trzymać«.

Byłoby lepiej!!

Więc na grzesznika wszystkie nieszczęścia powinnyby zwalić się zaraz po jego upadku?

Czyż taki sąd nie jest ciasny, zanadto ludzki, patrzący na świat z punktu widzenia mądrości

---

[1]) Rzym. 1, 2.

czysto ziemskiej. A tu nam, jako chrześcijanom, trzeba patrzeć na świat po Bożemu, z punktu widzenia Mądrości niebieskiej i z tego punktu wszystko na świecie sądzić.

Z wykonaniem swych zamiarów człowiek się spieszy i korzysta z każdej, nadarzającej się do spełnienia ich, sposobności, bo czuje, że mu się może wymknąć. Inaczej P. Bóg. On, stojąc ponad czasem, kieruje wszystkiem do Swoich celów, tak, że każda okoliczność stać się może dla Niego sposobnością do przeprowadzenia Jego woli. To też On się nie spieszy i nieraz czeka długo, bardzo długo, bo jest wieczny.

W oczach Jego »tysiąc lat, jakoby jeden dzień«.

* * *

A teraz pomyślmy, coby się stało, gdybyśmy wyżej wspomnianą zasadę wprowadzić chcieli w życie.

Weźmy np. wypadek, który często się trafia, że człowiek zły jest tak ściśle węzłem pokrewieństwa, miłości lub przyjaźni złączony z dobrym, że niepodobna go ukarać, nie wyrządzając równocześnie ciężkiej przykrości dobremu. W takim razie nieszczęście i kara złego stałaby się także nieszczęściem i karą dla dobrego.

Oto ojciec rodziny, człowiek poczciwy, zacny, szanowany i syn, który mu wstyd i hańbę przynosi. Co począć? Czy syna wyrodnego karać zaraz na zdrowiu, sławie i majątku?

ależ wtedy zranimy serce ojca, któremu skądinąd chcemy oszczędzić przykrości, cierpień i zapewnić na ziemi jeszcze doczesne szczęście! W takim razie gdzież ów podział sprawiedliwy, o jaki tak bardzo chodzi?

* * *

Idźmy dalej. Nieszczęścia doczesne pochodzić mogą: albo z wolnej woli albo ze sił przyrody nierozumnej.

Wiemy, jak wiele, bardzo wiele złego dzieje się na świecie wskutek woli przewrotnej.

Stoi przed nami np. człowiek zdecydowany na morderstwo. Jakże tu zabezpieczyć życie jego ofiary — to największe doczesne jej dobro. Może ma P. Bóg w ostatniej chwili odmienić serce zbrodniarza, czyniąc cud w świecie moralnym, albo go pozbawić możności wykonania zbrodni, czyniąc cud w świecie fizycznym? Otóż jedno i drugie jest niemożliwe, niezgodne ze zwykłym porządkiem rzeczy, do którego należy najpierw wolna wola, dana przez P. Boga mordercy, — a potem, jej naturalne skutki. Ustawiczne te cuda doprowadziłyby do takiego chaosu i zamieszania, że niczego nie bylibyśmy pewni i życie na świecie stałoby się ciężarem nie do zniesienia.

Z drugiej strony wiele nieszczęść doczesnych, pochodzi z sił martwej przyrody, działających z koniecznością, ślepo, według norm pewnych, niezłomnych, zwanych prawami natury. Stąd zarazy, powodzie, posuchy, choroby

zakaźne, dzikie zwierzęta itd. Jeślibyśmy chcieli ludzi dobrych od nich zawsze uchować, musielibyśmy znowu uciekać się ustawicznie do cudów, co nie idzie.

Jednem słowem, zaprowadzając w świecie sprawiedliwość, pojętą na sposób ludzki, zaprowadzilibyśmy w nim nieład, zamieszanie czyli większe jeszcze nieszczęścia, niż te, którym chcieliśmy zapobiedz.

Nie. P. Bóg wie, co robi. To też człowiek cnotliwy, dotknięty doczesnem nieszczęściem, z ufnością i pokorą powinien jak Job zawołać: »Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Jego błogosławione!« i z doczesnego nieszczęścia przez cierpliwe jego zniesienie gotować sobie szczęście wieczne.

Alboż to Chrystus Pan inną drogą, jak drogą krzyża i cierpienia wszedł do swej chwały wiekuistej?

* * *

Zresztą, jeżeliby człowiek sprawiedliwy cierpiał tylko dlatego, że jest sprawiedliwym, albo jeżeliby się złemu powodziło jedynie tylko dlatego, że jest złym, zrozumiała byłaby ta trudność. Ale tu i jednemu i drugiemu szczęści się lub nieszczęści, najczęściej nie tyle ze względu na jego zasługi lub winy, ile raczej ze względu na warunki, w których się znajdują kraje pojedyńcze, narody, rodziny — wogóle cała ludzkość.

W dodatku, gdzież człowiek tak cnotliwy i dobry, żeby mu nic nie można było zarzucić?

co może ze spokojnem sumieniem z ręką na sercu wobec P. Boga powiedzieć, że na żadną nie zasługuje karę?

I wobec tego dziwić się tu, że go spotyka na ziemi jakaś kara mniejsza lub większa!

A przeciwnie, gdzie jest człowiek tak zły, niegodziwy i przewrotny, żeby w nim nie było coś dobrego, jakaś cnota, choćby tylko przyrodzona?

Cóż znowu dziwnego, że P. Bóg, jako nieskończenie sprawiedliwy Pan, dobrami doczesnemi nagradza to, co w nim jest dobrego.

Nie! Pan Bóg nieskończenie sprawiedliwy musi nagrodzić wszystko, każdą zasługę, nawet najmniejszą, tak samo, jak musi ukarać wszystko — każde przewinienie, nawet najdrobniejsze, każde niepotrzebnie wymówione słowo.

»Ta sprawiedliwość P. Boga była przyczyną — powiada św. Augustyn — że państwo Rzymskie stało się tak potężnem«. Rzymianie byli, prawda, zepsuci, żyli w bałwochwalstwie, ale, że przytem posiadali pewne zalety przyrodzone, byli pracowici, obowiązkowi, pielęgnowali, przynajmniej z początku, cnoty rodzinne: więc wysłużyli sobie u P. Boga prawo do nagrody doczesnej, — do wielkości, sławy i potęgi ziemskiej. Zostali nagrodzeni na ziemi, bo nie mogli być nagrodzeni po śmierci.

To samo powiedzieć można o powodzeniu, jakiem się dziś cieszą żydzi, protestanckie narody i państwa.

Stąd my katolicy nie mamy im czego zazdrościć; lepiej być karanym tu, a nagradzanym tam, niż przeciwnie.

* * *

A nadto gdyby nagroda szła zaraz w ślad cnoty, a kara zaraz w ślad występku, doszlibyśmy prędko do tego, że przeważna część ludzi składałaby się z obłudników, cnotliwych nie dla cnoty, ale dla zysku, stroniących od złego, nie, że jest ono złem, ale że jest szkodliwem. Co w takim razie stałoby się z zaparciem się siebie, poświęceniem, wogóle ze wszelkiem szlachetniejszem uczuciem?

W dodatku jeżelibyśmy od ludzi cnotliwych raz na zawsze odwrócili wszelkie nieszczęście, przeciwność, krzyż, pozbawiliśmy ich tem samem wielkiej pomocy w postępie do doskonałości a przeciwnie ułatwilibyśmy szerzenie się złego, bo na świecie cnota w powodzeniu się psuje, słabnie a w końcu zupełnie ginie. To fakt.

Wreszcie gdyby cnota otoczona była samemi różami, nie miałaby sposobności do czynów heroicznych, najwięcej jaśniejących w nieszczęściu i przeciwności.

Oto dokądbyśmy doszli. Chcieliśmy świat zreformować, a pozbawilibyśmy go wszystkiego, co człowieka podnosi i uszlachetnia.

Zostawmy tedy świat takim, jakim go Pan Bóg zrobił i bądźmy pewni, że na tem najlepiej wyjdzie.

## LIST II.

# Zło moralne w świecie, czyli grzech.

»Jeżeli P. Bóg jest dobry, dla czego pozwala na zło?« — »Po co się trudzić, aby stać się cnotliwym?« — »Jeżeli Pan Bóg przewidział, że się zbawię, to na każdy wypadek muszę być zbawiony a jeśli przeciwnie przewidział, że się potępię, to nie pomoże nic, muszę być potępiony«. — »Dlaczego P. Bóg dopuścił, aby na świecie było tyle różnych religii?« — Jakób Balmes.

Od klęsk i nieszczęść doczesnych, będących udziałem bez różnicy i dobrych i złych ludzi, przejdźmy do zła prawdziwego, jakiem jest zło moralne — grzech.

Przyznaję, przyczyny nieszczęścia doczesnego szukać trzeba najczęściej w człowieku samym. Wina, której się dopuścił on sam albo dopuścili jego przodkowie, sprowadza nań chorobę, zaciemnienie umysłu, przedwczesną śmierć, nędzę; ale ta wina, to złe etyczne, które w dodatku przynosi tak wielką szkodę jego duszy, to fakt, który jest, musi być przedmiotem woli Bożej, jeśli nie bezpośredniem, to przynajmniej pośrednim przez to, że P. Bóg na niego pozwala.

»Otóż jakże to pozwolenie sobie mam tłumaczyć?«

»Czy tem, że P. Bóg nie może przeszkodzić? — To nie, bo jest wszechmogący«.

»A więc może tem, że niechce przeszkodzić... aby człowiek, Jego stworzenie umiłowane, pogrążał się w nieszczęściu największem, jakiem jest grzech i piekło? — I to także nie, bo jest nieskończenie dobry?

»Więc może nie przeszkadza dlatego, bo go nie przewiduje? — I to również nie, bo jest nieskończenie mądry, jednak na grzech i występek pozwala«.

»Ostatecznie, po co aktem twórczym powoływać do bytu istotę, o której się wie, że się stanie na wieki nieszczęśliwą? Czyż nie lepiej było pozostawić ją w nicości?...«

Dosyć, dosyć. Na jeden raz wystarczy.

Tego rodzaju trudności prowadzą w świat, gdzie rozum z trudnością się porusza, bo światło prawdy dochodzi go tylko zdaleka, jakby przez mgłę. Dlatego, rozprawiając o nich, trzeba stąpać powoli, ostrożnie, inaczej możnaby utracić, co się ma najdroższego: mianowicie, wiarę. Dlatego uważajmy dobrze.

* * *

Na pytanie pierwsze: Czy P. Bóg przewiduje grzech i to ostateczne nieszczęście człowieka, jakie z grzechem nieodpokutowanym się łączy? — odpowiadam, że przewiduje.

— Więc kiedy przewiduje, mógłby mu przeszkodzić?

— Mógłby.

— Więc czemu nie przeszkadza On, nieskończenie dobry?

— Czemu nie przeszkadza?

Na razie inne pytanie: Czy nie prawda, że P. Bóg w sposób najrozmaitszy okazuje ludziom Swą dobroć i to ludziom nie tylko sprawiedliwym ale i grzesznikom — nawet tym nieszczęśliwym, którzy, w stanie grzechu umierając, na wieki potępieni być muszą. Przecież On najpierw stworzył wszystkich na obraz i podobieństwo Swoje, czyniąc ich, mało co niższymi od Aniołów, — dał wszystkim rozum, przez który stają się panami tego świata, królami nierozumnego stworzenia — dał wolną wolę, za pomocą której mogą unikać złego, a robiąc dobre, zbierać sobie zasługi na żywot wieczny, — dał dalej wypisane w sumieniu każdego przykazania, aby drogę do szczęścia mu wskazywały; — co więcej, stał się do wszystkich podobny, kiedy w osobie Chrystusa Pana naturę ludzką złączył z naturą Boską, — za wszystkich się wydał na straszne męki i śmierć okrutną, — wreszcie ustanowił Kościół, aby wszystkich łaską Chrystusa Pana karmił, przed upadkiem przestrzegał, w podróży przez świat radą i opieką służył. — Czyż tego nie dosyć, aby nam pokazać, że jest względem wszystkich zarówno dobry, — że pragnie szczęścia wszystkich i ze Swej strony robi wiele, nieskończenie wiele, aby je wszystkim zapewnić? To też na miliony i miliardy liczyć

możemy dusze szczęśliwe ludzi zbawionych, którzy dostali się już do nieba, i szczęściem wiecznem się dzisiaj ciesząc, nieustannie wielbią dobroć, łaskawość, dobrotliwość, miłosierdzie i wspaniałomyślność P. Boga nad sobą.

Wobec tego cóż grzesznik zatwardziały? On, czując się wolnym, nadużywa swej wolności, aby odwrócić się od P. Boga, — on w szaleństwie swojem rzuca się sam dobrowolnie najpierw w przepaść grzechu a potem w otchłań wiecznego zatracenia, aby tam zginąć w nieszczęściu wiecznem. Kto tu winien? Oczywiście, tylko on sam, jego przewrotność i złość.

P. Bóg chciał go zbawić i uszczęśliwić, ale on nie chciał.

* * *

»Ale P. Bóg mógł zrobić więcej: — mógł go nie stwarzać, kiedy przewidywał, że się potępi, a jeżeli koniecznie postanowił go stworzyć, mógł nie dać mu wolnej woli, skoro przewidywał, że jej nadużyje; albo ostatecznie, jeżeli chciał go stworzyć i uczynić wolnym, mógł nie dopuścić, aby wolności sobie danej nadużywał«.

No zapewne, że mógł, On wszechmogący. Tu jednak, nie o to chodzi, co P. Bóg zrobić mógł; ale o to, czy ze względu na Swą dobroć wiecznemu nieszczęściu swego stworzenia musiał zapobiedz.

Na trudność podobną odpowiedział już dawno temu św. Paweł w swym liście do Rzymian, kiedy oburzony zawołał: »O człowiecze,

czemeś jest, że odpowiadasz Bogu? Zali rzecz lepiona (garnek) mówi temu, który ją ulepił: Przecież mię tak uczynił? Zali garncarz w mocy nie ma, aby z tejże bryły uczynić jedno naczynie ku uczciwości, a drugie ku zelżywości?« [1])

* * *

»Pan Bóg mógł grzesznika nie stwarzać«.

Czy to ma znaczyć, że stwarzać go nie był powinien?

Nie był powinien? Ale dlaczego? czy może dlatego, że przewidywał jego upadek?

Otóż powiadam, że, gdyby P. Bóg dał się w swej akcyi twórczej tem powstrzymywać, działałby niekonsekwentnie, sprzecznie ze samym sobą.

Przecież takie oglądanie się na wolę przewrotną, mającego być stworzonym grzesznika, ograniczałoby wolność woli P. Boga. A jeżeli wolność woli już w człowieku jest przymiotem wielkim, jednem z największych, to cóż dopiero w P. Bogu?

P. Bóg sam, źródło i pierwowzór wszelkiej doskonałości, miałby być ograniczonym w swej woli dlatego, że człowiek chce być złym? Bluźnierstwem byłoby tego żądać.

Stąd ponieważ P. Bóg jest wolny i musi nim być i to nieograniczenie, nieskończenie: więc w żaden sposób nie może przy stwarzaniu jakiegokolwiek człowieka krępować

---

[1]) 9, 10—20.

się względem na złość jego w ten sposób, że nie powinien go stwarzać, choćby chciał, dla tego, że przewiduje nadużycie przezeń wolności na jego wieczną szkodę. W takim razie złość i przewrotność tego człowieka stawiałaby granice wszechmocy Boskiej? i P. Bóg przynajmniej pod pewnym względem nie byłby bezwzględnym Panem Swej woli?

Otóż nie zapominajmy, że wolność woli w P. Bogu jest jednem z jego przymiotów i to nieskończonym, jak wszystkie inne: a więc tak wielkim, jak On sam; stąd w porównaniu z nim, szczęście i nieszczęście wszystkich stworzeń, choćby wieczne, nie może wejść nawet w rachubę.

Zresztą pomiędzy wszystkimi przymiotami Boskimi a więc pomiędzy jego Dobrocią, Wszechmocą, Mądrością, Sprawiedliwością, Miłosierdziem i t. d. zachodzi spójnia tak wielka, tak ścisła, że w P. Bogu wszystko jest wszystkiem — każdy przymiot, z osobna przez nas pojęty, jest w Nim jednocześnie każdym innym przymiotem: stąd kto odrzuca jeden z nich, odrzuca wszystkie; kto ogranicza jeden — ogranicza wszystkie. Kto tedy ogranicza wolną wolę P. Boga, ten tem samem ogranicza i Mądrość i Dobroć, i Wszechmoc i Sprawiedliwość: a więc zaprzecza nawet istnieniu P. Boga, bo Bóg tak pojęty nie byłby Bogiem.

Przytem ja nie powiadam, że Pan Bóg przy stworzeniu grzesznika musi mieć rękę bezwzględnie wolną, d l a t e g o, żeby grzesznik

mógł grzeszyć, ale musi ją mieć, pomimo że on zgrzeszy.

To ostatnie jest koniecznem.

Byt sam w sobie, jaki P. Bóg grzesznikowi daje, kiedy go stwarza, jest w sobie zawsze czemś dobrem, — dobrodziejstwem wielkiem i pozostaje niem, choć Pan Bóg jednocześnie przewiduje, że grzesznik go nadużyje. To przewidywanie bowiem żadnego wpływu nie wywiera, ani na sam fakt stworzenia, ani na późniejszy fakt jego upadku w grzech i potępienie wieczne: a nie wywiera na fakt stworzenia, bo Pan Bóg działa tu z pobudek innych, nic wspólnego z późniejszym upadkiem grzesznika nie mających, bo grzesznik udzielonych sobie darów nadużywa, nie dlatego, że P. Bóg to tak od wieków przewidział, ale dlatego, że sam na to dobrowolnie się zdecydował.

* *

»Pan Bóg takiemu człowiekowi mógł wolnej woli nie dawać, skoro przewidywał, że jej nadużyje. Przecież jest On więcej niż Ojcem najlepszym, więcej niż matką najczulszą. A któryż ojciec, matka dałaby dziecku swemu brzytwę, wiedząc, że się nią zatnie«.

Tylko powoli. Kto tak rozumuje, czyż nie ogranicza znowu tejże wolności P. Boga, która była, jak powiedzieliśmy, jest i być musi pod każdym względem bez granic, nieskończoną.

A on ją ogranicza, bo P. Bóg wedle niego nie powinien obdarzać grzesznika tem dobro-

dziejstwem, jakiem jest wolna wola, dlatego, że on go nadużywa. — Otóż żądać, aby Pan Bóg stwarzał człowieka bez wolnej woli, to tyle co żądać, aby go uczynił maszyną, automatem, a nie tem, czem jest, t. j. obrazem i podobieństwem Jego — to tyle co żądać, aby koło stało się kwadratem, a kwadrat — kołem.

* * *

»Jakkolwiekbądź, zawsze to jest prawda, że jeżeli człowiek do ostatniej chwili życia wolnej swej woli nadużywa, to ta wola go w przepaść piekielną wtrąci: więc lepiejby było, żeby jej nie otrzymywał«.

A to znowu skąd? Otóż nie byłoby lepiej, ale byłoby gorzej. Ten człowiek wprawdzie nie byłby się na wieki zgubił, ale też nie byłby mógł dostać się do nieba, ani on, ani miliardy podobnych mu ludzi, którzy, dzięki właśnie tej woli wolnej, są dzisiaj w niebie. — Gdyby ta wolna wola, jako taka, była zguby jego przyczyną, każdy co ją posiada, musiałby się potępić? — To też ta wolna wola, dana człowiekowi — to nie brzytwa, którą się dziecko każde zaciąć i pokaleczyć musi, ale to chleb, którym się dziecko spokojne nakarmi a łapczywe udławić może.

Jeślibyśmy grzesznikowi odebrali wolną wolę, aby jej nie nadużył, wyłupmy mu także oczy, aby spojrzeń grzesznych nie miewał; odetnijmy język, aby rozmów złych nie prowadził; odsieczmy ręce i nogi, aby do wykonania grzesznych zamiarów mu nie dopomagały. I cobyśmy

mieli? Mielibyśmy potwór a nie człowieka takiego, jakim P. Bóg go stworzyć chciał i stworzył

»Narzekać na P. Boga, pisał już Jan Jakób Rousseau, że stworzył nas wolnymi, to tyle co narzekać, że czynom naszym dał wartość moralną i pozwolił nam się doskonalić, uszlachetniać, ubiegać o cnotę. Boże wielki! co do mnie, nie będę się nigdy skarżył, żeś mnie na swój obraz i podobieństwo stworzył i dał mi wolność, bo tem samem dałeś mi możność stania się, jak Ty, szczęśliwym i dobrym«.

* * *

»Ale jeżeli P. Bóg postanowił człowieka stworzyć i stworzyć wolnym, to ze względu na dobroć Swoją powinienby przynajmniej nie dopuścić do nadużycia tej wolności.«

Powinien? a to znowu dlaczego? bo jeżeli był powinien to: albo ze względu na człowieka, albo ze względu na Siebie samego.

Otóż ani jedno ani drugie.

Nie ze względu na człowieka: bo w najlepszym razie możnaby powiedzieć, że Pan Bóg, stwarzając człowieka wolnym, powinien był udzielić mu równocześnie środków niezbędnie potrzebnych do zabezpieczenia go od nadużycia wolności, a tem samem do zachowania go od grzechu i związanej z grzechem kary wiecznej.

No, to przecież Pan Bóg uczynił. Czemże troskliwość matki najlepszej wobec troskliwości P. Boga o człowieka, choćby najgorszego, choćby

największego, najzatwardzialszego grzesznika? — Czemże dowody jej miłości wobec niezliczonych dowodów Miłości, Dobroci i Miłosierdzia Bożego — wobec Opatrzności Bożej, chroniącej go od upadku, zachęcającej do poprawy, podającej mu rękę do powstania?

Pan Bóg do tego kieruje wszystko: i Swe niezliczone dobrodziejstwa doczesne i obietnice dóbr wiecznych i kary doczesne i groźby kar i natchnienia wewnętrzne i Sakramenta święte i Kościół i kapłanów i dobry przykład ludzi cnotliwych i t. d.: wszystko to są środki, przeznaczone do zabezpieczenia człowieka od upadku w grzech, a w razie upadku do podźwignięcia go z niego i zachowania od piekła. Jeżeli zaś mimo to wszystko on przy swojem się upiera i chce woli swej nadużywać, to przecież winien on swemu nieszczęściu, nie P. Bóg.

»Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi«.

Na Sądzie ostatecznym P. Bóg słusznie wyrzucać mu będzie: »Cóżem ci mógł uczynić więcej, a nie uczyniłem?«

Ani także ze względu na P. Boga.

Wprawdzie P. Bóg jest Ojcem, a ojciec, jakby się zdawać mogło, nie powinien pozwolić synowi na to, o czem wie, że mu zaszkodzi.

Otóż P. Bóg jest Ojcem, ale nie ziemskim tylko niebieskim, będącym równocześnie Panem wszechwładnym — Ojcem zarówno każdego z nas z osobna jak i miliardów innych ludzi, — Ojcem, który o dobro całej ludzkości dbać musi więcej, niż o dobro każdego człowieka z osobna.

Jakby to świat wyglądał, — jakiby w nim zapanował chaos i nieporządek, gdyby za każdym razem, co pierwszemu lepszemu grzesznikowi zachciałoby się grzech popełnić, Pan Bóg do tego nie dopuszczał przez cud, bo zazwyczaj innegoby wyjścia nie było? W ten sposób jednychby P. Bóg ratował (i to najczęściej takich, co najmniejby na to zasługiwali) a innych, dobrych i sprawiedliwych, robiłby nieszczęśliwymi.

*
* *

Nie tylko Mądrość i Potęga ale także i Dobroć Boska objawia się najbardziej w tem, że P. Bóg złe, na które pozwala, umie obrócić ku dobremu. Przecież w tem np. objawia się najbardziej Jego łaskawość i miłosierdzie, że na poprawę grzesznika czeka długo, całemi nieraz latami, — że go Swą łaską uprzedza, dając mu tysiączne dowody Swej miłości, — że wreszcie go do Siebie przywołuje, przebaczając wszystkie grzechy, wracając utracone zasługi i obsypując nowemi łaskami.

Albo to. — Gdyby na świecie nikt nigdy nie grzeszył, byłoby wprawdzie wielu cnotliwych, ale nie byłoby bohaterów cnoty, bo brakłoby sposobności do jej wyrobienia, do wzniesienia się w niej ponad poziom zwykły. Czystość świętych Dziewic, męstwo Męczenników, mądrość Ojców i Doktorów Kościoła nie mogłaby jaśnieć tak świetnie, jak jaśnieje, gdyby im brakło ognia przeciwności, próbującego ich i hartują-

cego przez gwałty i okrucieństwa tyranów, — podstępy i zdrady odszczepieńców.

Co więcej. W tem założeniu P. Bóg oczywiście nie byłby przedewszystkiem dopuścił do upadku Adama. A gdyby Adam nie upadł, nie byłoby grzechu pierworodnego, ale też nie byłoby i Jezusa-Zbawiciela, — nie byłoby cudownej ekonomii zbawczej z powodzią łask, płynących z otwartego Serca Boga-Człowieka i przez Sakramenta święte roznoszonych po całym świecie: słowem nie byłoby tego objawienia niezmierzonej Potęgi, Mądrości, Dobroci i Sprawiedliwości Bożej, jaką podziwiamy we Wcieleniu Bożego Słowa.

Słusznie tedy za św. Augustynem woła Kościół w Wielką Sobotę: »O felix culpa, quae talem ac tantum meruit habere redemptorem! (Szczęśliwa to wina, od której nas taki uwalnia Odkupiciel!)

Wobec tego łatwo każdy zrozumie, dlaczego grzech — to największe zło na świecie może się z dobrocią Bożą zgadzać i rzeczywiście zgadza.

*
* *

Przejdźmy do innej trudności.

»Jeżeli Pan Bóg przewidział, że się zbawię, to zbawić się muszę, bez względu na to, jak żyć będę: dobrze lub źle; a jeżeli przeciwnie przewidział, że się potępię, to muszę się potępić: na to też rady niema: więc po co się trudzić, aby być cnotliwym?«

Po co? Wyobraźmy sobie, że przychodzi do pani kucharz i powiada: »Pani wybaczy, ale dziś obiadu wcale gotować nie będę. Rzecz jasna: albo Pan Bóg od wieków przewidział, że państwo dziś go jeść będą, to państwo go zjedzą, choć obiadu nie zgotuję; a jeżeli przewidział, że się bez niego będą musieli obchodzić, to się obejdą, choćbym go zgotował. Jak P. Bóg przewidział, tak musi się stać. Na to rady niema.«

Otóż to samo możnaby powiedzieć, gdy chodzi o cnotę i występek, od Pana Boga przewidziany.

* * *

Ale w kwestyi, jaką poruszyliśmy, jest trudność inna, rzeczywista a wielka: mianowicie jak wszechwiedzę nieomylną P. Boga pogodzić z wolnością woli w człowieku?

Aby ją rozjaśnić, przypomnijmy sobie przedewszystkiem pewnik znany z filozofii, że kiedy się ma dwie prawdy, z których każda wzięta z osobna jest jasna, pewna i należycie udowodniona: więc nie ulegająca żadnej wątpliwości, a razem wzięte wydają się być sprzeczne — to postąpiłby nierozumnie, ktoby wątpić o nich począł dlatego, że ich pogodzić nie umie.

Byłoby to nierozumnie, powiadam, bo w takim razie jedno tylko zostaje wyjście logiczne: przyznać się do niewiadomości i czekać, aż sprzeczność się wyjaśni i wytłumaczy.

Otóż tu takie położenie zachodzi; mamy bowiem przed sobą dwie prawdy na pozór sprzeczne: jedna z nich mi mówi, że P. Bóg wszystko wie i wszystko przewiduje nieomylnie: więc przewiduje, nieomylnie także i moje uczynki — a druga, że te uczynki moje są wolne, żadnemu przynajmniej wewnętrznemu przymusowi nie podległe: mój wybór dowolny i zmienny, a wiedza Boża konieczna i niezmienna. Jak jedno z drugiem pogodzić?

* * *

»Co P. Bóg przewidział, że kiedyś nastąpi, to w swoim czasie nastąpić musi koniecznie. A zatem muszę np. dziś zrobić koniecznie co P. Bóg przewidział, nie mogę tego nie zrobić«.

Zgoda. A teraz zastanówmy się, że:

1) P. Bóg przeszłości i przyszłości nie zna, bo pełnią nieskończonego swego Bytu On zawsze, bezwzględnie i niezmiennie jest w teraźniejszości. U P. Boga niema następstwa czasu, bo jest wieczny, i dlatego, wszystko widząc, jako fakt sobie współczesny, On właściwie nie patrzy w przyszłość, ani w ścisłem znaczeniu tego słowa nie przewiduje, tylko widzi.

2) P. Bóg widzi wszystko co się stać ma, jako coś sobie obecnego: stąd, co stać się ma koniecznie, widzi jako fakt konieczny, — a to, co się stać ma z wolnego postanowienia woli wolnej, widzi jako fakt wolnej woli.

3) Wszechwiedza Jego, jako taka, na uczynki nasze wolne wpływu żadnego nie wywiera.

Kiedy przypatrujemy się czemuś, co w naszej obecności teraz się dzieje, stwierdzamy istnienie faktu, ale nie jesteśmy jego przyczyną, dlatego, że on musi wpierw być, istnieć w porządku ontologicznym, zanim się stanie poznanym w porządku logicznym. Fakt, na który patrzymy, nie dlatego jest, że go widzimy, ale dlatego go widzimy, że jest.

Otóż tak samo Wszechwiedza P. Boga. — Uczynki nasze, pochodzące z wolnej woli, nie dlatego są dobre lub złe, że je Pan Bóg dobremi lub złemi przewiduje, ale je P. Bóg dobremi lub złemi od wieków przewiduje dla tego, że są dobremi lub złemi.

* * *

Św. Augustyn powiada, że czem dla nas pamięć, która uprzytamnia nam rzeczy przeszłe, tem dla P. Boga przewidywanie rzeczy przyszłych, bo u Niego niema przeszłości, ani przyszłości, tylko jest teraźniejszość«.

Spróbujmy przypomnieć sobie coś, czego byliśmy świadkami przed rokiem albo dwoma... — a potem pomyślmy, czy przez to, że to sobie przypominamy, fakt ten powtórzy się na nowo, zacznie być, istnieć?

Naturalnie, że nie. Co innego obraz w myśli, a co innego fakt sam w rzeczywistości. Obraz w myśli zależy od naszej wyobraźni:

stąd ile razy chcemy, to go w niej wywołujemy, — a fakt sam zależy od przyczyn całkiem od nas niezależnych.

W podobny sposób Pan Bóg, widząc przyszłe czyny wolne, nie daje im bytu, ale tylko je widzi i widzi takimi, jakimi w swoim czasie kiedyś z wolnego wyboru naszego będą.

Możemy tedy być zupełnie spokojni co do wolności naszej woli. Zanim ona coś postanowi, ma swobodę przechylenia się w jedną i drugą stronę; ale jak raz się przechyli w jedną, to tem samem oczywiście odwróci od drugiej.

Otóż Pan Bóg od wieków to widzi: więc i wiedza Jego z rzeczywistością koniecznie i nieomylnie się zgadza; choć przytem wola nasza w swym wyborze pozostaje wolną, bo tylko przez własny nieprzymuszony wybór w tę właśnie a nie inną przechyliła się stronę.

* * *

»Więc jeżeli Pan Bóg np. przewiduje, że dziś kto zgrzeszy, czyż mógłby nie grzeszyć?«

Nie! zgrzeszy na pewno, niewątpliwie, ale zgrzeszy z całą swobodą swej woli.

Przypuśćmy, że mu przychodzi myśl szalona do głowy i z wieży, na którą wybraliśmy się z nim razem, postanawia skoczyć w dół. Zanim się spostrzegliśmy, zamiar swój wykonał. Widzimy, jak leci.

Wszak przecie on spadnie i zginie nape-

wno, niewątpliwie, ale czy dobrowolnie?

No, oczywiście.

A kto jest przyczyną jego nieszczęścia? Przecież tylko on sam, a już w każdym razie nie my. Gdybyśmy go skaczącego nie widzieli, byłby tak samo zginął, jak gdy na niego spadającego patrzymy.

Przytem kiedy raz na skok on się zdecydował, w tym samym akcie na co innego zdecydować się nie może: stąd, widząc go skaczącego, będziemy wiedzieli, że skręci sobie kark koniecznie, nieomylnie, dlatego, że skoczył; a skoczył dlatego, że chciał skoczyć; bo mógł i nie skakać. A więc... nie dlatego, że my na niego patrzeliśmy.

Otóż tak samo ma się sprawa, gdy chodzi o uczynki wolne i wszechwiedzę P. Boga. Pan Bóg nie może przewidzieć, że wpadniemy w grzech, aż dobrowolnie nań sami się zdecydujemy. A ponieważ P. Bóg to nasze postanowienie skądinąd przewiduje: więc też przewiduje i nasz upadek. Ale przyczyną zarówno tego postanowienia jak i nieomylnego jej przewidzenia przez P. Boga jesteśmy my sami, a nie nieomylna wiedza P. Boga. Stąd wina naszego upadku i naszej szkody spada na nas samych. P. Bóg jest tylko świadkiem biernym a my — czynnikiem działającym.

Więc zamiast powiedzieć: »Nie mogę dziś nic innego uczynić, jak to, co P. Bóg przewidział od wieków«, powiedzmy: »P. Bóg nic

innego od wieków nie przewidział jak to, co dziś uczynić chcemy«.

*
* *

Tu mimowoli musi się nasunąć pytanie: »Czemu P. Bóg dopuścił, że ludzkość się rozpadła na religie najrozmaitsze, nieraz w najwyższym stopniu niedorzeczne, pełne przesądów i przewrotności?«

Oczywiście, ponieważ są ze sobą sprzeczne: nie mogą być wszystkie równocześnie ani zarówno prawdziwe ani zarówno dobre i zbawienne. Tylko jedna z nich może być dobrą, prawdziwą i pożyteczną a wszystkie inne są złemi, fałszywemi a tem samem mniej lub więcej zgubnemi. — To fakt, a fakt smutny.

Otóż dlaczego P. Bóg dopuszcza, aby te złe, fałszywe i zgubne religie szerzyły się i utrzymywały na świecie ze stratą niezliczonych dusz ludzkich?

Przypuśćmy na chwilę, że na to odpowiedzi niema. Cóż stąd? Czy o Dobroci, Mądrości i Sprawiedliwości Boskiej mamy już prawo wątpić?

Przypomnijmy, cośmy przed chwilą powiedzieli o dwóch prawdach pewnych, z osobna udowodnionych, a których na razie pogodzić ze sobą nie umiemy.

Tu mamy takie dwie prawdy, albo raczej takie dwa fakta: mianowicie 1) fakt, że obok religii prawdziwej istnieją złe, fałszywe i zgubne i 2) fakt, że Pan Bóg, który to dopuszcza, jest

nieskończenie dobry, mądry i potężny. O nich z osobna wziętych wątpić nie można; ale i pogodzić nie łatwo.

Mimo to, to nas nie uprawnia do odrzucenia któregokolwiek z nich, tylko każe wyznać, że zaszliśmy znowu w dziedziny, gdzie prawda oczywistością swoją już nam więcej nie przyświeca, ale za mgłą tajemnicy się ukrywa, czyli innemi słowy nie mamy innego wyjścia, jak przyznać się do niewiadomości.

Zresztą czyż to pierwszy raz? Jakże często czynimy to samo, gdy chodzi o zjawiska świata materyalnego. »Jest to dla mnie, powiadasz, niezbadaną tajemnicą. Zdaje się niepodobieństwem, a jednak tak jest«.

* * *

Zresztą nie myślmy, że w kwestyi, o którą nam teraz chodzi, żadnego wytłumaczenia niema.

»Dlaczego Pan Bóg pozwala, aby religie fałszywe obok prawdziwej istniały na świecie?«

Otóż między innemi dlatego, aby ta religia prawdziwa mogła się rozwijać i szerzyć sposobem z naturą ludzką zgodnym: a więc powoli, wśród walk, trudności i przeszkód, natrafiając na zawody, jak wszystko inne na świecie w życiu człowieka prywatnem, społecznem i politycznem — jak każda akcya na polu nauki, sztuki, rzemiosł, techniki, wewnętrznej i zewnętrznej kultury.

W drugim »Liście do Sceptyka«, mówiąc o poniżeniu człowieka i jego smutnej doli, pisze

Jakób Balmes: »Grzech pierworodny ze swymi skutkami, zaćmieniem i przewrotnością woli — to klucz do rozwiązania wielkiej tajemnicy świata. Przez ten grzech możemy zrozumieć straszne zboczenia umysłu ludzkiego, jakiemi są religie fałszywe, wyznawane przez większą część ludzkości. Przyznaję, że jest to dla mnie tajemnicą, której nie mogę całkowicie zgłębić: ale czuję, że, jeślibym ją odrzucił, jużbym nie mógł sobie wytłómaczyć nieprzerwanego pasma klęsk i nieszczęść, materyalnej i moralnej nędzy, chaosu i nieładu, jaki widzę w dziejach ludzkości? Bez wiary w upadek pierwszych rodziców natrafiłbym wszędzie na zło a nie miałbym nic, coby je mogło zrównoważyć.

»Przeciwnie, oparłszy wszystko na tym fundamencie silnym i niewzruszonym — na fakcie tego upadku i, w jego świetle przypatrując się światu, wszystko poczynamy przedstawiać sobie inaczej. Dzieje ludzkości rozwijają się jak wzorzysta wstęga, malowana w różne obrazy, gdzie rozmaitość kolorów zlewa się w śliczną harmonię, okazując nam, raz nieugiętą sprawiedliwość Pana Boga, to znowu nieskończoną Jego dobroć, miłosierdzie niewyczerpane, albo wreszcie niezbadaną Jego mądrość i niezłomną potęgę.

»Jeżeli wobec tego mnie spytasz, dlaczego większa część ludzi ginie w ciemnościach swych fałszywych przekonań religijnych, powiem, że jest to kara za pychę tychże pierwszych rodziców. Oni zgrzeszyli rozumem, bo przez własne

siły: więc drogą niewłaściwą — dojść chcieli do poznania dobrego i złego: zgrzeszyli pychą.

»Otóż my, ich potomkowie, grzech ten odziedziczając, jesteśmy przytępieni na tym właśnie rozumie, którego oni nadużyli. Słowa, któremi P. Bóg odezwał się do Adama po jego upadku: »Adamie, gdzie jesteś?«, do dziś dnia echem bolesnem odbijają się w nas, jego potomkach — a ogień płomienistego miecza Archanioła, wyciągniętego w ów dzień przeciw upadłej ludzkości, oświeca złowrogo znane z dziejów ludzkości wszystkie klęski, przewroty, wojny i nieszczęścia.

»Ile razy spotykam człowieka, pracującego ciężko na kawałek chleba codziennego, aby po życiu, pełnem trosk i cierpień, powrócić do ziemi, z której jest wzięty, widzę w nim z jednej strony ślad upadku i winy, a z drugiej ślad kary i zadosyćuczynienia«.

A więc prawdą jest i prawdą pozostanie, że P. Bóg jest nieskończoną Dobrocią, Łaskawością i Miłosierdziem, mimo, że pozwala na grzech i jego skutki.

Uczmy się tedy pokory, wyznając, że nie wszystko możemy zrozumieć, nie wszystko przeniknąć i korzmy się przed wszechmocną ręką P. Boga, wierzmy Jego słowom.

»Bóg pysznym się sprzeciwia. a pokornym łaskę dawa«.

## LIST III.

# O piekle.

»Piekło wynalazkiem księży«. — »Kaznodzieje nie przekonywują, tylko straszą«. — Niema stosunku pomiędzy piekłem a winą człowieka«. — »Przecież Pan Bóg jest dobry«. — »Nikt się jeszcze z tamtego świata nie wrócił«.

Jednem z najśmieszniejszych zarzutów jaki ludzie niewierzący księżom stawiają jest, że wynaleźli piekło...

»Wynaleźli piekło!!« Co to znaczy »wynaleźli«?

Czy to znaczy, że dzięki im piekło zaczęło wogóle istnieć, albo, że oni je pierwsi odkryli?

Albo może to znaczy, że księża je »wymyślili«?

»Wymyślili?... Ale dlaczego? W jakim celu? bo przecież, jeśli wymyślili, to musieli wiedzieć dlaczego?

A musiał być to cel rozsądny, skoro dał się osięgnąć, dzięki porozumieniu całego duchowieństwa, trwającemu wieków 19.

A to dziwne porozumienie kiedy się rozpoczęło? co je podtrzymywało? i podtrzymuje? czemu nikt go nie zdradzał i nie zdradza?

* * *

Nie przeczę, że kaznodzieje w źle zrozumianej gorliwości przedstawiają nieraz piekło zanadto przesadnie, w kolorach nieodpowiednich. Toteż pod tym względem nie myślę ich bronić, bo wogóle nie pochwalam przesady, a tembardziej w takich rzeczach. — Owszem chciałbym im przypomnieć słowa Tomasiusza, który ich przestrzega: »Jeżeli ludowi prostemu przedstawiacie piekło w obrazach, podsuniętych wam przez waszą wyobraźnię, a nie przez Pismo św., albo tradycyę Kościoła, — jeżeli w piekle nic więcej nie widzicie, jak tylko potwory, węże, ciemności, smród i zgniliznę: to kto wam zaręczy, że, kiedy w sercach słuchaczów powstaną wątpliwości, obrazy te jak mgła się nie rozpierzchną, a z nimi razem nie zatraci się w nich także sama istota rzeczy, tj. wiara w istnienie piekła: w tę prawdę straszną, ale przytem zbawienną i potrzebną?«

»Ktoby się o strasznych sądach sprawiedliwości Bożej, — sprawiedliwości, bez której niema mowy o miłosierdziu, bał mówić jasno i wyraźnie, nie byłby przyjacielem ludzkości, tylko jej nikczemnym pochlebcą; ale kiedy czystość i staranność wystarczają do zagojenia rany, byłoby głupstwem drażnić ją ręką nieprawną i leczyć żelazem i ogniem.

»Tak samo, gdy chodzi o piekło. Najlepiej czyni ten, kto się nań powołuje rzadko, z powagą, bez wymuszonej przesady, jak czyni Pismo św.

»Otóż Pismo św. podaje nam w tym wzglę-

dzie tylko trzy okoliczności: fakt kary potępienia, tj. karę i cierpienia duszy; fakt cierpień zmysłów, tj. karę i cierpienia ciała, a wreszcie 3) wieczność jednego i drugiego.

»Pójdźcie precz odemnie (oto kara potępienia w ogień (kara zmysłów) wieczny« (wieczność kar[1]).

* * *

»Ale właśnie, jakże tu te kary i męki wieczne pogodzić ze sprawiedliwością Bożą! Przecież sprawiedliwość wymaga, aby pomiędzy winą i karą była proporcya, a tu wina trwa chwilę a kara wiecznie.

No! no, tylko powoli. Stosunek i proporcya jest, tylko w czem innem.

Jeżeli kto chce mieć koniecznie proporcyę między czasem trwania winy, a czasem trwania kary, to jej oczywiście nie znajdzie dla tej prostej przyczyny, że jej w tem szukać nie trzeba.

Gdzie jest kodeks, w którymby za podstawę wymiaru kary brano czas trwania zbrodni? Do złożenia fałszywej przysięgi trzeba kilku sekund, jeszcze mniej do zamordowania człowieka, a jednak sprawiedliwość ludzka skazuje krzywoprzysiężcę na długie i ciężkie więzienie, a mordercę — zazwyczaj na śmierć, w każdym razie na więzienie dożywotnie, które pod pewnym względem jest obrazem kary wiecznej, bo na ziemi końca niema.

---

[1]) Mat. 25, 41.

Czyż jest w tem jaka niesprawiedliwość?

Więc proporcya między karą a winą nie polega na tem, że kara trwać musi tak długo, jak trwało dokonanie zbrodni.

* * *

»Ale wieczność... wieczność, wobec tego, że wszystko, co się tyczy człowieka, musi mieć swój koniec!«

Nie rozumiem, czemuby miała zawadzać.

Raz postawiwszy zasadę, że o wielkości i trwaniu kary decyduje nie czas, tylko ciężkość winy, wieczność kary trudności stanowić nie powinno.

Przecież grzech ciężki, jako taki, t. j. o ile jest z winą złączony — jest obrazą P. Boga, zniewagą nieskończonego w Swoim Majestacie Pana: stąd św. Tomasz słusznie powiada, że »grzech, wzięty z punktu widzenia P. Boga, zawiera w sobie coś, co nie zna granic.«[1]) Nic tedy dziwnego, że i kara, która mu odpowiada, jest także bez granic, przynajmniej ze względu na czas, — że trwa wiecznie.

A jeżeli wieczność kary jest uzasadniona, gdy chodzi o jeden grzech ciężki, cóż dopiero, gdy się nazbiera ich mnóstwo — gdy grzesznik zatwardziały grzeszy przez miesiące i lata, nawet przez całe życie, trwając bez przerwy w nieposłuszeństwie względem Pana i Dobro-

---

[1]) Habet quandam infinitatem ex infinito bono, quod est Deus.

dzieja swego, od którego przez nowe upadki coraz się więcej oddala.

Dodać trzeba do tego, że zło, przez grzech spowodowane, nie zawsze kończy się zaraz. Przecież nie jeden dawno umarł, pamięć o nim już zaginęła zupełnie, a jednak grzech jego żyje na ziemi w zgorszeniu, szerzonem przez pisma jego bezbożne, niemoralne, — w uczynkach, których szkodliwość dosięga pokoleń następnych, rani i zabija na duchu rodzących się później ludzi... i to aż do końca świata.

Grzech Lutra, oszukującego i zatruwającego na duchu większą część Niemiec, — Focyusza, torującego Wschodowi drogę do schizmy, — rozpustnego Henryka VIII, odrywającego od Kościoła Anglię, — Woltera, gangrenującego Francyę: czyż to wszystko nie zło pod pewnym względem nie mające końca? Skoro tedy do końca świata z drogi zbawienia sprowadza miliardy ludzi, któż powie, że trwa tylko chwilę?

To też i ze względu na szkodę ludzkości wyrządzoną grzech nieraz niezna końca, jak niezna jej wieczność.

*
* *

Bądź co bądź, każdy grzech ciężki, jako obraza nieskończonego Majestatu P. Boga, jest czemś pod pewnym względem nieskończonem i dlatego kara w i e c z n a do niego dostosowuje się najzupełniej.

Przytem nie trzeba zapominać, że jak kara za grzech ciężki jest wieczna, tak i nagroda za

dobre uczynki jest także wieczna. — Przecież ten sam Bóg, co przez wieczność karze grzech ciężki, także przez wieczność nagradza najdrobniejszy uczynek dobry, nawet szklankę wody, podaną w Jego imieniu; — ten sam Bóg, co za uśmiech lubieżny wiecznemi mękami karze rozpustnika, także i łzę żalu prawdziwego nagradza weselem wiecznem. Więc, jeżeli kara jest wielką, to również wielką jest nagroda, czyli, że między piekłem i niebem zachodzi proporcya najściślejsza.

Co tu niezgodnego z rozumem, sprawiedliwością lub opartego na wymyśle dowolnym i bezpodstawnym?

* * *

Powiem więcej. Kara wieczna za grzech ciężki w piekle jest nie tylko sprawiedliwą, ale i słuszną.

Oto grzesznik umiera w grzechu ciężkim, i schodzi ze świata zbuntowany przeciw Panu Bogu, aktem ostatnim swej wolnej woli wyrzekając się Go a wraz z Nim szczęścia, które On dać mu zamierza.

To fakt. Wobec tego faktu, cóż dziwnego, że będzie zawsze pozbawiony szczęścia, którem wzgardził, że P. Boga nie ujrzy nigdy, — on, co się od Niego raz na zawsze odwrócił. Przecież życie doczesne było mu dane dla wybrania sobie wieczności szczęśliwej lub nieszczęśliwej, »dobrego lub złego, śmierci lub życia«. Gdyby wybrał dobro i życie, po śmierci doczesnej

miałby je oczywiście wiecznie; ale on obrał sobie zło i śmierć, to też mieć je będzie wiecznie.

Przy wejściu do grobu kończy się czas, a zaczyna wieczność: wiecznie tak, albo tak. Tam już wyboru niema. Wieczność to nie droga, ale cel: stąd człowiek, wchodzący do niej przez bramę śmierci, na zawsze pozostanie tam, dokąd się w pierwszej chwili obrócił: na północy, albo na południu. Stąd kto umrze w stanie grzechu ciężkiego, czyli w stanie buntu przeciwko Panu Bogu, zawsze trwać będzie w nieposłuszeństwie: więc i zawsze będzie karany.

To też trafnie wobec tego uważa św. Tomasz, że »przyczyną wieczności kary jest nie to, że wina trwa zawsze, ale że nigdy nie będzie odpuszczona«. To samo powiada Leibnitz: »Ponieważ człowiek potępiony pozostaje zawsze w stanie buntu przeciwko P. Bogu, zawsze także pozostaje w stanie kary, czyli jest potępiony na zawsze.«

* * *

»Mnie się jednak mimo to zdaje, że wieczność kary sprzeciwia się dobroci P. Boga.«

Ale mnie nie. Gdyby P. Bóg był tylko dobry, nieskończenie dobry, możnaby w tym względzie mieć jakąś trudność, ale że jest On jednocześnie także nieskończenie sprawiedliwy, trudność taka musi być wykluczona. U P. Boga nie tak, jak u stworzenia: jeden przymiot Boski nie wyklucza drugiego, bo z nim stanowi jedno i w sobie go zawiera.

Sprawiedliwość Boża nie zawsze się objawia jednocześnie z dobrocią, miłosierdziem i łaskawością, ale prędzej czy później objawić się musi i ona.

Prawda, dopóki na ziemi żyjemy, objawia się nam przedewszystkiem dobroć i miłosierdzie Boże, ale z chwilą śmierci zaczyna się objawiać i sprawiedliwość. To też kto aż do ostatniej chwili dobrocią Bożą lekceważy, a miłosierdziem Jego gardzi, ten na wstępie do życia przyszłego wpaść musi w ręce nieubłaganej Boskiej sprawiedliwości.

* * *

Gdyby w dodatku P. Bóg ukrywał przed człowiekiem, co go czeka, jeżeli w swej złości zostanie zatwardziałym, mógłby mieć on wymówkę — ale tu przeciwnie, P. Bóg przez tysiączne zewnętrzne i wewnętrzne łaski go upomina, straszy, zachęca, aby uważał, upamiętał się, nie narażał na piekło, ogień i zatracenie wieczne.

Wobec tego, krzywda mu się nie dzieje, jeżeli do piekła się dostanie! Przecież nikt go do tego nie zmuszał, tylko on sam dobrowolnie je sobie obrał.

»Zatracenie twoje z ciebie jest Izraelu.«[1])

»Jak kto się pościeli, tak i wyśpi«.

* * *

»A jednak, gdyby piekła nie było, dobroć Boska okazałaby się więcej.«

---

[1]) Iz. 13. 9.

Na pozór tak, ale w rzeczywistości nie.

Nawet w ziemskich stósunkach za dobrego nie uważaliśmy monarchę, któryby swą dobroć objawiał wyłącznie przez puszczanie płazem wszystkiego, nawet największej zbrodni, a zawiesiłby wszelką karę i wszelką sankcyę? Przecież to podniecałoby ludzi do zbrodni i dlatego byłoby słabością a nie dobrocią.

Otóż tak postępowałby P. Bóg, gdyby piekła nie stworzył a zadowolił się choćby tylko czyścem. Bo przecież czyściec sam nie wystarczyłby dla utrzymania w karbach rozhukanych namiętności ludzkich. Iluż ludzi powstrzymaćby się dało od grzechu bojaźnią kary tylko doczesnej, i to kary, mającej ich dosięgnąć dopiero w życiu przyszłem? Strach pomyśleć, coby się działo na świecie, gdyby ludziom za większe występki nie groziło piekło.

* * *

»Skądże tedy pochodzi, że, choć piekło jest tyle występków, tyle zbrodni dzieje się na ziemi?«

Prawda, dzieje się wiele. Ale, jeżeli teraz, gdy piekło na pewno istnieje, jest tyle złego, cóżby było, gdyby go w dodatku nie stało?

Piekło — to grobla, o którą się rozbijają rozhukane fale namiętności ludzkich. Wprawdzie część ich przez nią się przelewa, ale resztę ona powstrzymuje.

Otóż, gdyby P. Bóg piekła nie stworzył, stałby się pośrednio przyczyną nadmiaru nieszczęść, któreby w tym wypadku ludzkość nawiedziły, z korzyścią złych, a klęską dobrych.

I stałoby się to samo, tylko na większą skalę, coby się stać musiało, gdyby teorya profesora Lombroso w praktyce prawodawczej jakiegoś państwa przeprowadzoną konsekwentnie została.

Prof. Lombroso, jak wiadomo, każdego zbrodniarza miał za człowieka niepoczytalnego, chorego na umyśle, i dlatego był zdania, że żadnego zbrodniarza właściwie nie powinno się karać, — ale w najgorszym razie, jako waryata, zamykać w zakładzie obłąkanych aż do wyleczenia, a potem puszczać na wolność.

No! gdyby tak poczęto puszczać wszystkich wypoczętych i dobrem odżywianiem odświeżonych rabusiów, morderców, złodziei i oszustów, pięknieby wyglądało!

W każdym razie, jeżeliby gdziekolwiek na ziemi rząd chciał swe prawodawstwo oprzeć na tak szalonej i niemądrej teoryi, stałby się pośrednio odpowiedzialnym za wszystko, coby z niej wynikło. To pewno.

Otóż, powiadam, że to samo stałoby się na całym świecie, gdyby nie było piekła.

Dlatego zamiast mówić, że: »skoro P. Bóg jest dobry, nie powinien karą wieczną karać grzechu ciężkiego«, trzeba powiedzieć: »skoro P. Bóg jest dobry, nie powinien dopuścić, aby grzech ciężki panoszył się bezkarnie na świecie i dlatego karać go powinien wiecznie«.

Właśnie dlatego, że P. Bóg jest dobry, nie może pozwolić, aby dobrzy stali się pastwą złych, rozzuchwalonych bezkarnością, ale musi

ustanowić dla nich karę odpowiednią: a więc karę wieczną, bo tylko taka kara może być środkiem skutecznym do ukrócenia choć w części ich zuchwalstwa.

* * *

»W każdym razie my pozytywiści piekła uznać nie możemy, bo żaden z nas piekła nie widział. Czego nie widzimy, tego nieuznajemy.«

Więc innych środków poznania prawdy nie znacie?

Wyobraźcie sobie, panowie, że podróżujecie w górach i zapuszczacie się w nieznane wam okolice. Spotykani przez was górale przestrzegają was, że droga jest niebezpieczna, bo prowadzi nad przepaścią: stąd w razie mgły lub burzy możecie łatwo zginąć... Cóż wy panowie wobec ich rady? Czy może poczniecie się wypytywać, ilu też w przepaść ludzi spadło i z niej powróciło, aby przestrzedz innych... A jeżeli wam powiedzą, że to się jeszcze nie przytrafiło nikomu, czy będziecie twierdzić, że przepaści niema, ostrożność zbyteczna, bo o grożącem niebezpieczeństwie ani na własnej skórze, ani na skórze innych pozytywistów jeszczeście się nie przekonali?

No nie, bo toby było szaleństwem.

Otóż tak samo szaleństwem jest (wybaczcie, panowie za otwartość) wasze lekceważenie piekła pod pozorem, że żaden z was go nie widział, ani wogóle żaden człowiek żyjący z wła-

snego bezpośredniego doświadczenia poinformować was o niem nie może.

* * *

»Żaden z nas piekła nie widział: więc go niema?«

Ciekawa zasada! Od kiedy to ludzie do poznania prawdy poczęli dochodzić tylko przez doświadczenie swych własnych zmysłów? W takim razie proszę powiedzieć, kto z panów podróżował po niebie i na podstawie obserwacyi własnych a bezpośredniego doświadczenia wymierzył objętość słońca, jego od ziemi odległość, wielkość gwiazd i t. d.? No nikt. Więc o tem wszystkiem już nic pewnego, nic dokładnego nie wiecie?

Albo proszę mi powiedzieć, kto kiedy widział, zmierzył, zważył myśl n. p. waszą, panowie? Może wy sami? Więc i myśli w głowach waszych niema? i o nich nic nie wiecie!

Albo kto widział wasze dusze? Znowu nikt, — więc i duszy w was niema?

Darmo! kto odrzuca piekło, dlatego, że go na swe oczy nie widział, albo że żaden człowiek żyjący z piekła jeszcze nie powrócił, ten z tego samego powodu powinien także odrzucić tysiące prawd innych, o których jednak, choćby chciał, wątpić nie potrafi.

Otóż, powiadam, że do poznania wogóle prawdy doprowadzić nas może nie tylko świadectwo zmysłów własnych, nie tylko świadectwo innych ludzi, zasługujących na wiarę, ale

także rozumowanie własne i świadectwo Pana Boga.

Te ostatnie dwa źródła prawdy są przynajmniej tyle warte, co pierwsze. To też istnieniu piekła przeczyćbyśmy mogli tylko wtedy, gdyby za niem nie przemawiało ani rozumowanie, ani świadectwo wiary św. czyli objawienie.

Tymczasem przemawia i jedno i drugie.

Widząc stół, wiem, że był ktoś, co go zrobił i nazywam go stolarzem.

Widząc zegarek, wiem, że był ktoś, co go sporządził i nazywam go zegarmistrzem.

Widząc niebo i ziemię i wszystko co na nich jest — i wspaniałą harmonię sił niezliczonych, martwych i życiowych: wiem, że jest ktoś, który to zrobił i uporządkował i nazywam go Bogiem!

Bóg jest początkiem wszystkiego, ale sam jest bez początku, bo gdyby i On miał początek musiałbym przypuścić inną Istotę, od Niego wyższą: a wtedy Bogiem nie byłby On, ale ta Istota.

Jakkolwiekbądź jakaś Istota bez początku, nieskończona musi istnieć. I ta istota, jako przyczyna wszechrzeczy, zawierać musi w sobie doskonałość wszelką w stopniu nieskończonym: więc zawiera także sprawiedliwość czyli, że Bóg musi być sprawiedliwym t. j. cnotę nagradzać a występki karać.

A ponieważ wiemy, 1) że złych Pan Bóg za życia nie zawsze karze i że 2) grzech ciężki domaga się kary wiecznej: więc poza światem

musi istnieć miejsce takiej kary, które zowiemy piekłem...

Tak to piekło wyrozumować sobie może każdy, co myśli spokojnie.

* * *

Nie brak zresztą i świadectw wiarogodnych, za istnieniem piekła przemawiających.

Najpierw za tem przemawia jednozgodne przekonanie ludzkości.

Zaglądnijmy do historyi, a zobaczymy, że nie było religii, narodu tak upośledzonego, któryby piekła nie znał.

Stosownie do innych błędów, sobie właściwych, religie fałszywe łączą z pojęciem piekła najdziwaczniejsze nieraz podania, ale co do istoty rzeczy t. j. co do wieczności kary pozagrobowej zgadzają się z nami najzupełniej.

I tak już Plato w swym Fedonie powiada, że: »Kto umiera z sumieniem, obciążonem winą ciężką, ten cierpieć będzie bez końca«. Nawet Wolter w chwili szczerości przyznaje: »Choć chciałem, nigdy nie potrafiłem wyzuć się z przekonania, że piekło jest — a piekło prawdziwe i rzeczywiste«.

Współczesny Wolterowi Rousseau mówi to samo: »Nadaremnie się trudzi, kto cnotę oprzeć się stara na samym tylko rozumie. Bez sankcyi nic ona nie warta; a sankcyą skuteczną może być tu jedynie ogień — ogień piekielny«.

Zresztą, jeśli już chodzi o świadka z tamtego świata, to go mamy w osobie Chrystusa Pana, Boga i Człowieka zarazem.

Jako Bóg, jest On wszędzie, wie wszystko i widzi wszystko bezpośrednio, z bliska, jak jeden człowiek drugiego, kiedy ze sobą rozmawiają, — widzi tedy i wie, co się dzieje w piekle; a jako swego czasu żyjący i obcujący z ludźmi, On nam to, co widział, opowiedział. Mamy tedy w Nim świadka naocznego i oczywiście najbardziej wiarogodnego.

Świadectwo Jego widzieliśmy wyżej. Otóż to Jego świadectwo — to świadectwo Boga-Człowieka, któż ośmieli się odrzucić?

On — Człowiek, prawdziwy, a przytem z bliska oglądający piekło, oświadcza nam uroczyście, że je zna, że wie, jak ono wygląda... I świadectwo Jego mielibyśmy odrzucić, aby słuchać młodzieńca, co ławę szkolną dopiero co opuścił, albo ciężko uczonego profesora, adwokata, lekarza, w każdym razie człowieka jeszcze żyjącego, który na tamtym świecie nie był a przychodzi i decyduje, o tem, czego nie widział i piekło odrzuca. Skąd? Na jakiej podstawie?

To też nad zdaniem takich panów można przejść całkiem śmiało do porządku dziennego i trzymać Chrystusa, który wie, co mówi, bo »co widział, to mówił, a co oglądał o tem świadczył«.

Dzięki Bogu, my, katolicy, wiemy komuśmy uwierzyli... i wiary naszej

się nie wstydzimy, a wiara nasza nas zbawia.

* * *

Zresztą... bywało nawet na świecie, że umarli, wskrzeszeni do życia, dawali we własnej osobie współczesnym świadectwo o tamtym świecie.

Takimi byli np. ci, co, jak powiada Pismo święte, po śmierci Pańskiej »zmartwychwstali i objawili się wielu«, — takimi byli młodzieniec z Naim, córka Jaira, Łazarz i inni ludzie wskrzeszeni przez św. Piotra, Pawła, Marcina, Antoniego z Padwy, Wincentego Fereryusza, Franciszka Ksawerego i t. d.

Czy może przynajmniej świadectwo tych co »przyszli z tamtego świata« zda się na coś wobec panów pozytywistów? wystarczy im, co swe oczy postanowili zamknąć, aby piekła nie widzieć?

Abraham w Ewangelii powiedział o braciach potępionego bogacza: »Jeśli Mojżesza i proroków nie usłuchali, ani by też nie uwierzyli temu, coby zmartwych powstał«[1]). To samo możnaby i tu powiedzieć.

Nie uwierzyliby i oni. — Znając ich można ręczyć, że, gdyby nawet codziennie nowy umarły wracał z tamtego świata i im o piekle prawił, potrafiliby się wykręcić, na świadectwo jego oczy zamknąć... i nie uwierzyliby...

Nie, bo nie. I co im zrobić?

* * *

---

[1]) Łukasz 16, 31.

Przypuśćmy, że tu w Krakowie stał się cud wielki. Jakiś sługa Boży wskrzesił umarłego, który wszystkich u siebie przyjmuje, każdemu opowiada, co na tamtym świecie widział, odczuł, doświadczył, — jak wygląda niebo, piekło, czyściec...

Co poczną teraz pozytywiści, materyaliści i wogóle wszyscy niechcący wierzyć? Czy może broń złożą i w piekło, niebo, życie pozagrobowe uwierzą?

Jeszczeby tam. Oni na pierwszą o tem wiadomość, poczną głowy łamać, jakby tu wykryć podstęp, zdradę, fałsz, halucynacyę, oszukaństwo... a przynajmniej wynaleźć pozór dla obalenia tak niemiłego faktu, — poczną dowodzić, że on na prawdę nie umarł, bo ci, co byli świadkami jego śmierci i widzieli ciało nieżywe, musieli się omylić, — że był tylko w letargu albo zahypnotyzowany...

Zresztą, gdyby fakt śmierci był zanadto stwierdzony, to... to... to... byliby utrzymywali, że do życia nie powrócił, że to była halucynacya, suggestya, znowu hypnoza.

Wszyscy się omylili. Oni tylko sami omylićby się nie mogli, oni... oni bezstronni (?!) wiedzą najlepiej, jak się rzeczy miały, choć ich przy tem nie było. To też, jak niewierny Tomasz wołać będą: »Jeśli nie njrzymy, nie uwierzymy«.

»Ale gdyby ujrzeli, możeby uwierzyli jak i on...«

E! i to nie.

Bo najpierw, jak tu pod tym względem zaspokoić ich wszystkich, po całym świecie szeroko rozrzuconych. Przecież każdy chciałby widzieć na własne oczy i na własne uszy słyszeć, bo na inne spuścić się nie może. Któżby tam znowu innemu, choćby pozytywiście, mógł zawierzyć?

Otóż jak tu zrobić, aby wszyscy ze świadectwa świadka naocznego mogli zaczerpnąć wiadomości pewnych o tamtym świecie — o niebie, piekle?

Możliwe są trzy sposoby:

albo zmartwychwstały, nie ruszając się z miejsca, ukazałby się równocześnie wszystkim; — ale toby wymagało niesłychanego cudu, bo równoczesnej obecności na niezliczonych miejscach;

albo puściłby się w podróż po świecie dla przedstawienia się każdemu z nich po kolei: — ale toby go już z samego zmęczenia wpędziło znowu do grobu, zanimby zdołał ich wszystkich zaspokoić;

albo wreszcie P. Bóg wskrzesiłby nie jednego, ale tysiące umarłych dla każdego niedowiarka po jednemu, tak, że każdy z nich z osobna mógłby u swego nieboszczyka o tamtym świecie poinformować się do woli: — ale coby się stało ze światem? Zaroiłoby się od umarłych tak, że wrażliwsi wyglądnąćby na ulicę się bali, ze strachu przed widziadłami.

Stąd wynika, że kto chce koniecznie na własne oczy oglądać kogoś z tamtego świata, aby w piekło uwierzyć, ten żąda głupstwa.

Zresztą, przypuściwszy, że w ten lub ów sposób mieliby ci panowie sposobność na własne oczy widzieć pozagrobowego świadka i na własne uszy go słyszeć, wogóle biorąc i wtedy, jak powiedziałem, oniby nie uwierzyli, boby powiedzieli, że oczy ich omyliły, słuch własny zawiódł, — że to było złudzeniem optycznem, szalbierstwem spirytystycznem, bez żadnej podstawy i wartości... hypnozą, suggestyą.

Oni wierzyć nie chcą; nie wierzą P. Bogu, nie wierzą innym ludziom, nie wierzą sobie samym, bo... nie chcą. Na to niema lekarstwa.

Tą drogą nikt do końca nie dojdzie. Nadaremnie świeci się temu, co oczy zamyka. Mów im, ile chcesz, oni zacietrzewieni powtarzać zawsze będą: Z tamtego świata nikt jeszcze nie wrócił, bo świata pozagrobowego niema.

* * *

Z tego, co powiedzieliśmy, zapamiętać trzeba następujące fakta:

Nie potrzeba wierzyć, że w górach są przepaści, aby w nie runąć; tem mniej nie potrzeba ich widzieć. Do tego wystarczy zawiązać sobie oczy i biedz po drogach górskich, dokąd nogi poniosą.

Piekła nie odrzuca, kto na nie nie zasługuje. — Gdyby nie było grzeszników, niktby nie wątpił, że piekło jest.

Takiego człowieka jeszcze nie było, coby miał niezbite, uzasadnione, a więc rozumne przekonanie, że piekła niema. Jeśli Wolter nim nie

był, choć tak tego pragnął, to któż myślący nim będzie? Stąd, jeżeli brak komu tylko pewności, czy piekło jest, to w każdym razie żyć powinien tak, jakby ono na pewno było, według rady Diderota, zresztą niedowiarka: »W razie wątpliwości, — powiedział on swemu przyjacielowi — czy piekło istnieje lub nie? zachowuj się tak, jak gdyby naprawdę istniało. Tego wymaga zdrowy rozum!«

Bo któżby chciał na własnej skórze wątpliwość tę rozwiązywać? Chyba głupi albo szalony?

Dla wielu ludzi piekło nie przedstawia trudności, dopóki żyją cnotliwie; za to z chwilą, gdy żyć zaczną swobodnie, wątpliwość co do niego poczyna się w nich pojawiać, aż znowu się poprawią i przez spowiedź sumienie oczyszczą. Wtedy znikną tak prędko, jak przyszły. Z tego widać, że źródłem ich niewiary nie był rozum, ale serce. To też kiedy mgła, otaczająca je się rozproszy i światło prawdy nad rozumem pocznie świecić, jak przedtem, staje się im znowu jasnem, że piekło jest.

Za kilka lat, kilkanaście, najdalej kilkadziesiąt każdy z nas w sposób namacalny przekona się na sobie, że jest niebo, albo, co nie daj Boże, że jest i piekło. — Biada tym, którzy teraz z nieba i piekła nie wiele sobie robią i na śmierć zawczasu się nie gotują!

Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate.

Precz z wszelką nadzieją, ty, co próg piekła przekraczasz.

## LIST IV.

# Profanacya i świętokradztwo.

»Dlaczego Pan Bóg pozwala na profanacye i świętokradztwa?« — Dlatego najpierw, że w ten sposób nieraz chce ludzi ukarać, potem, że chce im okazać Swą wszechmoc, a wreszcie, że chce powiększyć Swą chwałę.

W odpowiedzi na list mój, pytasz, dlaczego P. Bóg pozwala, że na świecie dzieją się świętokradztwa ze szkodą oczywistą wiary i zbawienia tak wielu ludzi.

Cieszy mię, że czujesz się dotkniętym wiadomością o tych, jakie ostatnimi czasy w mieście naszem się wydarzały, dlatego chętnie o nich z Tobą pomówię.

Otóż, mój Ty drogi, pozwolił P. Bóg na nie, to fakt: ale dlaczego w tych właśnie pozwolił wypadkach — to Jego tajemnica. My tylko powiedzieć możemy w ogólności, że takiego dopustu Bożego mogą być trzy przyczyny: 1) kara, 2) okazanie Boskiej Potęgi 3) i pomnożenie między ludźmi wiary.

»Jakto«?

* * *

A tak. Najpierw, dopuszczając te świętokradztwa, mógł P. Bóg mieć na celu ukaranie naszych grzechów, przedewszystkiem nadużywanie rzeczy świętych.

Tak już nieraz bywało.

»A jeżeli nie usłuchacie mię — groził P. Bóg w Starym Testamencie Żydom — miasta wasze obrócę w pustynie a spustoszę świątnice wasze, a nie przyjmę więcej ofiary najwdzięczniejszej« [1])

Podobnież w księdze II. Paralipomenon: »Jeżeli się odwrócicie... ten dom, któryś poświęcił Imieniowi memu, odrzucę od oblicza mego i podam go w przypowieści wszystkim narodom« [2])

* * *

»Dobrze, ale jeżeli my winni jesteśmy, to gińmy my, ale dlaczego giną mają, cierpieć obrazy, miejsca poświęcone P. Bogu, relikwie itd. — przecież one nic nie zawiniły?«

Z podobną trudnością spotkał się autor natchniony drugiej Księgi Machabeuszów i odpowiedział tak: »Nie dla miejsca naród, ale dla narodu miejsce Bóg obrał, a przetoż i samo miejsce stało się uczestnikiem nieszczęścia ludu a potem będzie towarzyszem szczęścia« [3]).

P. Bóg ani świątyń, ani obrazów, ani sprzętów kościelnych nie potrzebuje. Ich my potrzebujemy.

---

[1]) Lew. 26, 13; — [2]) 7, 20; — [3]) 5, 19—20.

Weźmy świątynie Pańskie, od najskromniejszego wiejskiego kościółka począwszy, aż do wspaniałej katedry, nad której wzniesieniem pracowały wieki. Celem ich chwała Boża i zbawienie nasze. Świątynie te — to miejsca święte, błogosławione, z których potoki łask spływają na ludzi a w czasie gniewu Bożego to — gromochrony, odciągające należne nam za grzechy kary... ale to tylko, uważaj, do pewnych granic. Kiedy te granice zostaną przekroczone, może przyjść czas, że te świątynie pozwoli Pan profanować i niszczyć, zabierze kapłanów, tak, że głód najstraszniejszy, bo głód Słowa Bożego, głód łaski Bożej, ukrytej w Sakramentach świętych — czuć się da w krajach naszych, jak dał się czuć krajom i narodom, co jak Żydzi »nie poznały czasu nawiedzenia swego«[1]).

Tak się stało ze Wschodem schizmatyckim, do dziś dnia deptanym nogami bezbożnego Islamu; tak się stało z Afryką północną, tak w XVI wieku z północną Europą, tak z Francyą w czasie Wielkiej Rewolucyi, tak wreszcie po części się stało z naszą nieszczęśliwą Polską po jej smutnym rozbiorze.

Profanacye, świętokradztwa, mnożące się na miejscu świętem, zamykane kościoły, rozpędzane klasztory, prześladowane duchowieństwo, to — przestrogi, aby wierni przez gorliwość i zdwojoną pokutę nie dopuszczali na siebie, swój kraj,

---

1) Łuk. 19, 44.

naród najstraszliwiej z wszystkich kar Boskich, że P. Bóg, od nich się odwracając, pozostawi ich samym sobie.

*
* *

»Mniejsza o inne świętokradztwa, ale te bezkarne znieważanie Przenajwiętszego Sakramentu, gdzie P. Jezus prawdziwie i rzeczywiście się ukrywa. Czyż to nie objaw słabości?«

Na pierwszy rzut oka może się tak wydawać. Przecież P. Jezus, będąc Panem wszechmocnym, nie powinienby dopuścić, aby Go wprost i osobiście znieważano i to bezkarnie?

Ale w gruncie rzeczy tak nie jest. Zastanówmy się tylko spokojnie a zobaczymy, że przeciwnie jestto właśnie objawem Jego Wszechmocy. Cienie nadają obrazowi wyrazistość i życie; tak samo, zniewagi, Chrystusowi P., wyrządzone w Najświętszym Sakramencie, podnoszą ostateczny tryumf Jego chwały, Jego Majestatu i Jego potęgę.

»P. Jezus powinienby zaraz na poczekaniu ukarać takiego świętokradzcę?«

Bywa niekiedy i to, ale najczęściej zbrodni tych On nie karze zaraz, bo ma czas i może czekać.

Pospiech w działaniu jest objawem słabości. Człowiek spieszy się albo dlatego, że się obawia spóźnić i stracić nadarzającą sposobność, albo, że przeciwnościom, z którymi walczy, inaczej sprostać nie może.

Widzimy to na dzieciach i kobietach, do zemsty daleko skłonniejszych od mężczyzn. — Pochodzi to stąd, że ich wola jest zazwyczaj za słaba, aby zniewagę cierpliwie znieść, — rozum za krótki, aby inne środki zadosyćuczynienia wynaleść, a siły za małe, aby je sobie zapewnić: więc się gniewają i mszczą. Przeciwnie, mężczyzna, świadomy swej siły, daleko łatwiej, wogóle biorąc, potrafi zapanować nad sobą, wyrzec się zemsty, okazać wspaniałomyślnym, i... czekać.

Stąd też przez usta Ozyasza Proroka powiada P. Bóg: »Nie uczynię zapalczywości gniewu mego, nie wrócę się, abym zagubił Efraim, bom ja Bóg, a nie człowiek«, — nie słaby, ale mocny.

To tak, jakby mówił: »Z wysokości mego nieskończonego Majestatu i niczem niezamąconego szczęścia, patrzę jak ludzie źli przeciwko mnie powstają. — Mógłbym nagiąć ich zaraz do mojej woli; ale wiem, że prędzej czy później to się stanie i, tak czy inaczej, chcąc lub nie chcąc, służyć mi będą. Czekać mogę, bom wieczny. — A że w swej przewrotnej zaciętości dochodzą do szaleństwa, nie myślę przyspieszać godziny, od wieków wyznaczonej, dla położenia końca ich występkom. Niech się u nóg mych szamocą, rwą i rzucają, zapalczywości gniewu Mego nie uczynię, bom ja Bóg, a nie człowiek; nie będę się mścił, bom Stwórcą, a oni mem stworzeniem. Nie mam zaś w nienawiści niczego, com uczynił«.

*
* *

Oczywiście ludzie pobożni, cnotliwi i prawi boleją, patrząc na świętokradztwa i zniewagę, P. Bogu wyrządzaną. To też z prorokiem Pańskim wołają: »Powstań, czemu śpisz Panie? powstań a nie odrzucaj do końca... Ratuj nas, a odkup dla Imienia Twojego!«[1])

Ale P. Bóg im odpowiada: »Bądźcie spokojni, wam szpieszno, bo jesteście dzisiejsi. Jutro was nie będzie: ale Ja czekać mogę, bom wieczny. Co chcę, zrobię: a zrobię powoli, spokojnie i tak i tyle, ile i jak zechcę. U mnie nic się nie dzieje zapóźno. — Czas Mój jeszcze nie przyszedł; ale czas wasz zawżdy jest w pogotowiu.«[2])

Prawda i to, że grzesznik, nadużywając dobroci i miłosierdzia Boskiego, staje się jak Faraon coraz zuchwalszy, tak że wreszcie przez świętokradztwo ośmiela się podnieść rękę na samego P. Boga, drwiąc sobie z Jego gróźb i potęgi.

Szalony! czemuż zapomina, że gniew Boży im dłużej daje na siebie czekać, tem straszliwiej kiedyś wybuchnie.

»Straszną jest rzeczą wpaść w ręce Boga żywego!«

* * *

»Dobrze, dobrze — ale jak tu te świętokradztwa pogodzić z chwałą Bożą, do której wszystko, jeśli nie w ten, to w inny

---

[1]) Ps. 43, 23; — [2]) Jan 7, 6.

sposób powinno się odnosić. Czyż ta chwała na tem nie cierpi?«

A nie cierpi, bo i dlaczegożby miała cierpieć? Przecież zewnętrzna chwała Boża polega na objawianiu stworzeniom rozumnym przymiotów Boskich: Sprawiedliwości, Miłosierdzia, Dobroci, nieskończonej Jego Mądrości i t. d. Otóż w naszym wypadku, jak powiedziałem, w pozornej słabości objawia się Jego Wszechmoc.

Przypuśćmy, że oto teraz jakiś świętokradzca bezcześci kościół, znieważa relikwie święte, albo niegodnie przyjmuje Najśw. Sakrament Ołtarza. Cóż? Czy może na poczekaniu dosięgnąć go ma zasłużona kara: nieszczęście, choroba, śmierć? Ci, coby na to patrzeli, jak niegdyś świadkowie śmierci Ananiasza i Safiry, mieliby objaw strasznych wyroków sprawiedliwości Boskiej i wrażenie odnieśliby wielkie. Ale czy także i sam świętokradzca? Czy chciałby z tego skorzystać, widzieć w nieszczęściu palec Boży i przestrogę dla siebie? Najczęściej nie. On zrobiłby tak, jak robią pozytywiści, kiedy chodzi n. p. o cuda, będące im nie na rękę: — zaprzeczyłby, że to kara i grzeszyłby dalej.

Nie! taka kara doraźna zazwyczaj nie wieleby dobrego zrobiła wśród złych; co się zaś tyczy dobrych, to w takich razach domaga się P. Bóg od nich chwały innej; On żąda, aby, widząc to świętokradztwo, spieszyli u stóp Jego złożyć Mu ofiarę z wiary gorętszej

i mocniejszej, t. j. aby tem więcej ukorzyli przed Nim swój rozum, im więcej On się przed nimi ukrywa.

Takie bezwzględne, ochotne, całkowite i prędkie poddanie rozumu pod rozum Boży, a swej woli pod wolę Bożą — jest przecie treścią życia nadprzyrodzonego, duchowego: życia z wiary. A o tę wiarę P. Bogu chodzi. Wiedza, czyli oglądanie P. Boga twarzą w twarz, przyjdzie później a będzie tem głębszą, tem jaśniejszą i obszerniejszą, im większą w chwili naszego zgonu była nasza wiara, a wiara żywa.

Dlatego w swej zbawczej ekonomii co do duszy naszej stara się P. Bóg wiarę naszą doprowadzić, o ile można, do jak największego stopnia intenzywności, niejako napięcia. Do tego służą Mu wszystkie tajemnice, bo dają nam sposobność wykonywania wiary i w niej wzrastania. Im więcej przy tem zapieramy się własnego rozumu, tem więcej w niej wzrastamy. Dlatego też P. Bóg objawia nam niektóre tajemnice dla rozumu naszego całkiem nieprzystępne, jak n. p. tajemnica Trójcy Najświętszej, Wcielenia, — objawia także inne, jak tajemnica Sakramentu Ołtarza, wydające się być sprzeczne nie z rozumem, ale ze zmysłami naszemi. Jednem słowem, im szersze pole zostawione jest dla wiary, tem samo przez się trudniej nam przychodzi na nią się zdobyć, tem większą jest stąd chwała P. Boga, tem większą jest nasza zasługa, tem większe będzie w niebie nasze szczęście.

»Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.«[1])

* * *

Ale może jeszcze nie dość jasno się wyraziłem.

Każdy akt wiary przynosi chwałę P. Bogu, to pewna; otóż ten akt wiary, jak powiedziałem, polega na większem lub mniejszem zaparciu się rozumu, poddanego przez nas dobrowolnie pod rozum P. Boga. W tem jego zaparciu tkwi właśnie chwała, jaką P. Bóg z rozumu naszego dla Siebie wyciąga. Im więcej tedy rozumu się zaprzemy, im bezwzględniej się poddamy pod rozum, objawiającego się nam Boga, tem akt wiary naszej będzie doskonalszy, tem chwała Boża będzie większa.

A teraz pomyślmy: kto większą chwałę oddał P. Bogu, czy Żydzi, korzący się przed Nim, kiedy do nich przemówił na górze Synai, przy odgłosie trąb, grzmotów, piorunów, wśród trzęsienia ziemi, lub też ich potomkowie, wierzący na słowo natchnionych przezeń Proroków? — albo my, kiedy patrząc na święte postacie Sakramentu Ołtarza, nie widzimy nic, prócz chleba i wina, a jednak wiemy, że P. Bóg za niemi się ukrywa i dlatego przed Nim się korzymy, do Niego się modlimy, przepraszamy Go, błagamy o zmiłowanie, oddając chwałę i cześć

---

[1]) Jan 20, 29.

taką samą, jakąbyśmy oddawali, gdybyśmy Jego Człowieczeństwo i Bóstwo widzieli? Oczywiście, że ci Żydzi późniejsi, że my Go więcej chwalimy, niż tamci pod górą Synai.

A jeżeli w dodatku dołączymy do tego jeszcze nadużycia, świętokradztwa i zniewagi, na które P. Jezus w Przenajświętszym Sakramencie ukryty tak często pozwala i mimo to cześć tę samą i chwałę tę samą Mu oddajemy, to wiara nasza jaśnieć będzie silniej, bo większe są ciemności, które rozprasza, — i zasługa będzie obfitsza, bo większą chwała Boża, na którą się zdobywamy.

Że wobec cudów, jakie się na górze Synai działy, Żydzi padli ze drżeniem i trwogą na twarz i cześć P. Bogu oddali, to być inaczej nie mogło: ale kiedy my teraz czynimy to samo, mimo, że w Sakramencie Najświętszym Go nie widzimy, mimo zniewag, jakie Go tam spotykają, — to akt naszej wiary jest oczywiście bez porównania doskonalszy, wznioślejszy, szlachetniejszy, czystszy, niżby był, gdyby choć częściowe objawy Jego potęgi, jak Żydów na puszczy, do tego nas przymuszały.

Otóż, powiadam, że właśnie ta wiara nasza jest chwałą, jakiej od nas P. Bóg po świeżo dokonanem świętokradztwie się domaga.

Zresztą wiara i wiara: to dwie rzeczy różne. Miał wiarę Tomasz niewierny, kiedy ujrzał zmartwychwstałego Pana i ręce swe włożył w rany Jego rąk, nóg i boku, — miał i święty Ludwik, król francuski. Pierwszy, aby w Bó-

stwo Chrystusa Pana uwierzyć, chciał o zmartwychwstaniu Jego przekonać się sam przez własne zmysły, a drugi, kiedy mu znać dano, że w pewnym kościele paryskim z poza postaci sakramentalnych pokazuje się wszystkim Dzieciątko Boskie, z miejsca się nie ruszył, mówiąc: »Niech tam idzie, kto nie wierzy: ja cudów nie potrzebuję, bo i bez nich wierzę«.

Kto z nich większą okazał wiarę i większą P. Bogu oddał chwałę?

Oczywiście św. Ludwik.

Otóż świętokradztwa, profanacye, uchodzące na razie bezkarnie, dają nam sposobność pomnożenia wiary naszej, umocnienia się w niej i większego uczczenia P. Boga.

Stąd to pomnożenie wiary naszej jest ową trzecią i zwykłą przyczyną, że na świętokradztwa i profanacye pozwala P. Bóg.

* * *

Kto się pyta, dlaczego P. Jezus pod sakramentalnemi ukryty postaciami, pozwala Siebie znieważać, ten przypomina mi Faryzeuszów, stojących pod krzyżem. Przecież i oni tak samo się pytali: »Czemu, jeżeli jest Synem Bożym, nie zstąpi z krzyża. Innych zdrowymi uczynił, niech zbawi samego siebie« itd.

Otóż jak na krzyżu tak i w Najśw. Sakramencie widzimy tego samego P. Jezusa znieważonego, poniżonego, zapoznanego, ukrywającego przed nami Swą potęgę i Swój Majestat, z miłości nadmiernej ku nam.

Tu i tam może on słusznie powiedzieć o Sobie: »Jam jest robak, a nie człowiek, pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa, Żydom zgorszenie, a Grekom głupstwo, lecz samym wezwanym i Żydom i Grekom mocą Bożą i Mądrością Bożą«.[1])

Tu i tam »kto uwierzy i odda chwałę Panu Bogu, ten zbawion będzie«.

Myśmy uwierzyli, mój Ty najdroższy, wytrwajmy tedy do końca a będziemy zbawieni i my.

To poniżenie naszego Pana, poniżenie aż do śmierci, a śmierci krzyżowej z naszego powodu, z miłości ku nam powiększa mą wiarę w Niego, przejmuje gorętszą czcią, miłością i zachęca do Jego naśladowania.

»Jam jest robak« powiada o sobie On, Pan świata a mój Stwórca i Zbawiciel.

»Jam jest robak.«

Ile razy u stóp mych widzę pełzającego robaka, — to nędzne, słabe i wstręt wzbudzające stworzenie, przypominają mi się owe słowa prorocze psalmu: »Jam jest robak«.

Wszak to z mego powodu, aby wybawić mnie od piekielnego robaka, mającego kiedyś duszę mą dręczyć wiecznie — i od robaka ziemskiego, mającego me ciało obrócić w proch: On stał się do robaka podobnym!!!

P. Bóg tak się poniżył!

---

1) I. Kor. 1, 23.

A jednak właśnie w tem poniżeniu jaśnieje najwięcej Jego Wielkość i Potęga! Zdaje się bezsilnym — a jest Wszechmocnym; zdaje się milczącym — a jest wszystko wiedzącym; zdaje się pokrzywdzonym — a jest sędzią żywych i umarłych.

Zaiste wszystko na świecie — to marność! Jedno tylko coś znaczy, a tem jest służba i miłość P. Boga.

* * *

Ale możeby kto wolał, żeby chwała Chrystusa Pana była głośniejsza niż ta, którą Mu wiara nasza daje.

Otóż choć ta chwała co do zewnętrznych swych objawów jest daleką od chwały, składanej Mu przez Świętych i Aniołów w niebie, to jednak w tych smutnych wypadkach, jakiemi są profanacye miejsc świętych i głośne świętokradztwa, nie brak jej i na ziemi; bo właśnie wtedy wiara, miłość i gorliwość dusz pobożnych objawia się zewnętrznie więcej niż kiedyindziej; bo one wtedy tak długo nie mają spokoju, aż u stóp swego znieważonego Ojca i Pana złożą akty cnót heroicznych, zadośćuczynienia i synowskiego wynagrodzenia.

I sprawdza się wtedy fakt w dziejach Kościoła katolickiego częsty, że w przeciwnościach i prześladowaniu wiara św. się wzmaga, rośnie, rozszerza po świecie i to tym bardziéj, im większe są te przeciwności i prześladowania.

Weźmy np. prawdę objawioną Macierzyństwa Bożego Najświętszej Maryi Panny. Zawsze

w nią wierzył Kościół, ale całym blaskiem zajaśniała dopiero, gdy dumny i ambitny Nestoryusz odważył się jej zaprzeczyć.

Podobnież w naszych czasach im wiara w posłannictwo Papieża, Chrystusowego Namiestnika jest więcej pomiatana i lekceważona, tym żywiej świeci i tym większą jest miłość, cześć i posłuszeństwo dla Stolicy świętej ze strony wiernych Kościoła synów.

Tak samo za każdą większą zniewagę, wyrządzoną cudownym obrazom, kościołom a najbardziej samemu Panu Jezusowi w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza — wierni wszelkiego stanu współzawodniczą, w gorliwości, aby ją wynagrodzić tak, że sam P. Jezus zdaje się tym mniej ją odczuwać, im więcej ją odczuwają oni.

Przecież to w takich razach urządza się expijacyjne nabożeństwa, wystawia publicznie Przenajświętszy Sakrament, i serdecznie przeprasza Pana Jezusa za wyrządzoną Mu przez złych ludzi zniewagę. Czyż to wszystko nie są objawy czci, chwały i miłości, którychby nie było, gdyby nie świętokradztwa i profanacye? Tłumy pobożnych, zebrane u stóp ołtarzy, aby przepraszać, wynagradzać, zadosyćuczynić, czyż to nie widok wspaniały i wzruszający. Toż przecie dzieci zgromadzone około Ojca, aby Mu powiedzieć, że jest im tym droższym, im bardziej został znieważonym.

Przytem kiedy świętokradztwa dopuszcza się jeden człowiek a najwyżej kilku, — przez

udział w expijacyjnych nabożeństwach zadosyćuczynią Panu Bogu setki, tysiące, całe miasta i kraje, okazując Mu swój żal, smutek i oburzenie.

Co P. Bóg czyni, czyni dobrze, pięknie, mądrze i doskonale, a jeżeli na zło pozwala, wie zawsze dlaczego pozwala i w jaki sposób swego czasu wyprowadzi zeń dobro i obróci na Swoją chwałę.

On jeden święty, jeden najwyższy!

Jemu samemu cześć i chwała na wieki!

## List V.

# O cudach.

»Cud — to rzecz niemożliwa.« — »Dziś cuda się nie dzieją.« — »Kto wie, może przypadkiem jakie nieznane nam jeszcze prawo przyrody potrafi zdziałać to samo?« — »Bywają przecie cuda tylko pozorne.« — »Uwierzę w cuda, jeśli będę świadkiem choć jednego.«

Łatwo zrozumieć, dlaczego tak wielu zaprzecza istnieniu piekła. Piekło to rzecz straszna, przerażająca.... i bardzo niewygodna. Ktoby tam chciał do niego się dostać? A ponieważ takim ludziom sumienie wystawia świadectwo, że na piekło zasługują, więc biedacy, przed sobą samymi się broniąc, o piekle nie myślą, o nim słyszeć nie chcą i dlatego istnieniu jego przeczą.

Ale dlaczegoż ciż sami z tąż samą zaciętością odrzucają także cuda? dlaczego uznają je z góry za niemożliwe — to na pierwszy rzut oka może wydać się mniej zrozumiałem.

Co im na tem zależy?

A zależy nie tyle im, co ich pysze. Oni czują, że do wytłomaczenia cudów nie wy-

starcza sama ich wiedza, — że raz uznawszy fakt cudu, wraz z dzieckiem i pobożną niewiastą ukorzyć się będą musieli i uznać nad sobą wszechmocną rękę Najwyższego Pana; a na to nie pozwala im pycha.

Na ten krok zdobyć się im trudno i dlatego krótkim procederem załatwiają się z cudami, jak się załatwili z istnieniem Pana Boga... sumieniem... piekłem, wolną wolą itd.

Cud im nie na rękę, więc cudów niema!

Jakie to proste i łatwe! ale czy logiczne? rzeczywiste? krytyczne?

»Cudów być nie może!«... tak musi być!

A! ba!

Szczęściem, że od tego, co ci panowie chcą, do rzeczywistości bardzo daleka droga. P. Bóg im zawadza, piekło zawadza, sumienie zawadza, oniby chcieli, żeby tego wszystkiego nie było; ale niestety! na zachciance pustej, czczej, jałowej, musi się skończyć, bo rzeczywistość od nich nie zależy.

To też mimo ich gorące życzenia jest i Pan Bóg, jest i piekło, jest i sumienie... są i cuda.

Oni to wiedzą i dlatego szukają wymówek, aby, jako tako, wytłomaczyć się i przed sobą samym i przed innymi, — dlatego zdanie swoje opierają wprawdzie nie na podstawie rozumnej, ale przynajmniej na czemś, co pozoru takiej podstawy może im udzielić.

* * *

Otóż najpierw powiadają, że »cud — to niemożliwość«...

Doprawdy? niemożliwość? A wolno wiedzieć dlaczego? Czyż dla wszechmocy Bożej może być coś niemożliwego? Czyż dla P. Boga który przyrodzie nadaje prawa i stworzeniom Swoim zakreśla drogi, jest niemożliwem poddanie ich pod inne prawo, wprowadzenie na inne tory?

»Ale prawa te są niezmienne!?«...

Są niezmienne, ale ze względu na nas, na inne stworzenia, ale nie ze względu na Tego, co je postanowił i w którego woli wszechmocnej czerpią swą stałość i żelazną, niczem przełamać się nie dającą, niezmienność.

* * *

»Na to i my się zgadzamy, że prawa przyrody są od P. Boga zależne i że P. Bóg je może zawiesić, ale nam się zdaje, że Mu tego uczynić nie wypada ze względu na Siebie Samego. Czyniąc bowiem wyłom w prawach przyrody, P. Bóg by je poprawiał, a to znowu sprzeciwia się Jego Mądrości. Co Bóg raz uczynił, to uczynił doskonale i dlatego niezmiennie...«

Dzieła Boże są doskonałe, oczywiście, ale wtedy, gdy z rąk P. Boga wychodzą. Stąd jednak nie wynika, że doskonałemi pozostają zawsze, — że się popsuć, odmienić na gorsze nie mogą.

Tak samo prawa, któremi P. Bóg stworzenie swe wyposaża, są w sobie także doskonałe, ale stąd również nie wynika, że w razie potrzeby nadzwyczajnej nie może zajść w nich wyjątek.

Czy do Swoich celów musi P. Bóg koniecznie zawsze używać tych samych stworzeń, a nie może wyjątkowo użyć innych, albo obejść się bez żadnych, aby Sam bezpośrednio skutek dany osięgnąć?

Do oświetlania i ogrzewania ziemi ustanowił P. Bóg słońce. Pod tym względem jest ono doskonałem narzędziem, które z zadania swego wywięzuje się jak najlepiej. Ale z tego nie wynika, żeby P. Bóg nie mógł ziemi oświecić i w sposób inny, bez słońca, przez jakąś inną gwiazdę, meteor, albo tylko wszechmocą Swej woli twórczej.

* * *

Zresztą nie trzeba sądzić, że, kiedy się cud dzieje, jakieś prawo natury musi być zaraz zniesione, odmienione lub zastąpione innem. O tem niema mowy; cud bowiem jest tylko zawieszeniem wyjątkowem danego prawa, nie sprowadzającem żadnej zmiany w ogólnem prawodawstwie przyrody. Wyjątek bowiem regułę stwierdza. Inaczej musielibyśmy powiedzieć, że kodeks kryminalny zmienia się, naprawia, ulepsza za każdem ułaskawieniem zbrodniarza, ogłoszeniem stanu wojennego, zaprowadzeniem sądów polowych.

Tak samo ma się w Królestwie Bożem. Ile razy Panu Najwyższemu podoba się uczynić cud, prawo Przezeń postanowione a w tysiącznych i milionowych wypadkach mające swe zastosowanie, w jednym tylko wyjątkowym zostaje zawieszone.

Nie zapominajmy przytem, że i ten poszczególny wypadek jest także od Pana Boga przewidziany i wchodzi w całokształt Jego planu twórczego, jak inne, które prawom przyrody zwykłym mają podlegać. Gdzie tu co niezgodnego z mądrością, wszechwiedzą, potęgą P. Boga?

Kiedy P. Bóg na początku stworzył świat, postanowił n. p., że woda będzie gasić ogień, ogień palić drzewo, trucizna organizmowi żyjącemu szkodzić, ciało ciężkie na ziemię spadać, woda pod stopami człowieka się rozstępować i t. d., a jednocześnie postanowił, że w tym i owym wypadku, zaraz od początku przewidzianym, woda ognia nie będzie gasić, ogień — palić, trucizna — zabijać, ciało w powietrzu zawiśnie, człowiek stąpać będzie po wodzie itd.

Jeszcze raz powtarzam, niema reguły bez wyjątku: stąd cud, jako taki, Mądrości Bożej nietylko się nie sprzeciwia, ale owszem, jest jej postulatem, — zjawiskiem do harmonii i całości planu stworzenia nawet potrzebnem.

To też Rousseau powiedział mądrze: »Nie więzienie, jako zbrodniarzowi, ale zakład waryatów, jako szaleńcowi, należy się temu, kto zaprzecza P. Bogu moc działania cudów«.

P. Bóg dlatego że jest, dlatego że jest Wszechmocny, dla tego że jest Mądry, może działać cuda — i to z natury rzeczy On tylko Sam, — On jako Stwórca i najwyższy Prawodawca świata: to Jego wyłącznym przywilejem.

* * *

»Cuda dziać się mogą, powiadacie — niech i tak będzie; ale czy się dzieją?«

Zobaczmy!

Dotychczas mówiliśmy o cudach, o ile są możliwe, nie wchodząc w to czy i kiedy miały na świecie miejsce. A teraz zobaczmy, czy kiedy rzeczywiście się działy?

Rozumie się, że jeżeli nam się uda udowodnić fakt cudu choćby jednego, to tem samem udowodnimy, że cuda są możliwe, według znanej zasady filozoficznej: a posse ad esse valet illatio. Wiedząc, że coś jest, możemy twierdzić, że może i być.

Contra factum nullum argumentum — mawiali starzy prawnicy.

Dlatego ludzi, odrzucających cuda, wysłuchajmy spokojnie, a potem ich zapytajmy: »Co też oni sądzą o tym lub owym nadzwyczajnym fakcie? n. p. temu lub owemu uzdrowieniu w Lourdes? bo przecież to są fakta historycznie pewne. Otóż my powiadamy, że były prawdziwe cuda, bo prawa przyrody w nich

zostały zawieszone... a skoro były — cuda są możliwe«.

Czyż nie tak?

* * *

A takich faktów mamy pod ręką więcej niż potrzeba. Choćby te, o których mówi Ewangelia. Przecież były to fakta tak oczywiste, w oczy tak wpadające i współczesnym tak znane, że Chrystus Pan mógł się na nie powoływać, jako na dowód Boskiego Swego posłannictwa a potem powoływać się mogli na nie Apostołowie. »A odpowiadając Jezus (wysłańcom św. Jana Chrzciciela), rzekł: Szedłszy odnieście Janowi, coście widzieli i słyszeli. Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim Ewangelię opowiadają.«

Na to świadectwo cudów zwracał Chrystus Pan uwagę raz po raz, a nikt, nawet najzaciętsi Jego wrogowie, nie mieli odwagi faktów samych albo ich nadzwyczajności podawać w wątpliwość, a tem mniej im zaprzeczać.

Bo jakże tu było przeczyć, skoro działy się publicznie, wobec niezliczonej liczby świadków, często wobec nich samych, którym przecie zależało, aby wykazać bezpodstawność tych cudów — a jednak wykazać jej nie mogli.

Działy się tedy w świecie cuda. To wspomniany Jan Jakób Rousseau, ów koryfeusz

wolnomyślnej filozofii XVIII w., wyznaje równie wymownie: »Co wiemy o Sokratesie ma za sobą dowodów historycznych bez porównania mniej, niż to, co wiemy o Chrystusie i Jego cudach: a jednak któż wątpi o tem, co historya mówi o Sokratesie«?

* * *

Zresztą, po co daleko szukać? Czyż to nie cud pierwszorzędny, że tenże Sam Pan Jezus, prześladowany za życia, spotwarzany, śmiercią najhaniebniejszą na krzyżu umierający, — potem, zmartwychwstawszy, przez wszystkie wieki, po całym świecie znajduje ludzi, którzy się doń tak silnie przywięzują, że Jego woli, przykazaniom poddają się bezwzględnie, w życiu i śmierci Jemu samemu służyć pragną i służą?

To fakt oczywisty.

Otóż jak ten fakt sobie tłomaczyć? Tu niema wyjścia: albo za pomocą wspomnianych cudów, jako takich, i wtedy zjawiska nadzwyczajne, na które powoływał się Chrystus Pan a za Nim Apostołowie, są cudami prawdziwymi, — albo bez nich. W pierwszym wypadku cuda są faktem historycznym, a w drugim będzie cudem fakt niesłychany, że pół miliarda chrześcijan uznaje za Boga Tego, który bez cudów serca ich podbić sobie potrafił. I fakt taki, spowodowany przez Chrystusa bez cudów ewangelicznych, byłby zjawiskiem w życiu społecznem świata z naturą człowieka i jej prawami tak sprzecznem, że musiałby być

uważanym za cud i to większy niż wszystkie tamte razem.

Tak czy tak, mielibyśmy zjawisko, przechodzące wszystko, co siły przyrodzone zdziałać potrafią, czyli mielibyśmy cud.

Innemi słowy mniejsza o to, czy cuda opowiadane w Ewangelii przyjmiemy, lub je odrzucimy; zawsze będziemy mieli fakt, z prawami przyrody rozumnej lub nierozumnej całkiem niezgodny, czyli będziemy mieli cud.

Jeśli zaś mamy przed sobą cud choć jeden to cuda w ogólności są możliwe.

A o to nam właśnie chodziło.

* * *

»Dawniej, dawniej, może tam się działy cuda — powiedzą — ale dziś... cuda się nie dzieją!«

Jakkolwiekbądź, postąpiliśmy o krok naprzód. Więc w zasadzie cuda są możliwe, działy się kiedyś, tylko kwestya, czy się dziś dzieją?

Oczywiście nikt z nas nie utrzymuje, że cud — to rzecz codzienna. Nie. Właśnie dlatego, że jest cudem, był on, jest i będzie zawsze czemś wyjątkowem: a więc rzadkiem.

Nasi przeciwnicy protestują, że dziś w epoce nowoczesnej kultury tu i owdzie cuda dziać się mogą i rzeczywiście dzieją.

No! przypuśćmy, że rzeczywiście na świecie dziś się cuda nie dzieją, to co? Czy przez to wiara św. ucierpi?

Otóż nie, bo jeżeli chodzi o uzasadnienie wiarogodności wiary chrześcijańskiej, cuda ewangeliczne wystarczają najzupełniej, ponieważ udowadniają aż nadto jasno najpierw 1) posłannictwo Boskie Chrystusa Pana, a potem 2) Boskość Jego religii. Stąd, ponieważ wiara nasza jest dziś ta sama, co była temu wieków dziewiętnaście: więc i to, co owe cuda wykazały i wtedy udowodniły, po wszystkie czasy wykazanem i udowodnionem zostało.

Ze względu na podstawy wiary naszej świętej, cuda nowe są nam zbędne — to fakt...

Są nam zbędne ze względu na samą wiarę... ale i to fakt, że w danym wypadku mogą nam oddać niejedną inną przysługę. Dlatego, dzięki Bogu, jesteśmy bardzo dalecy od tego, żebyśmy od czasu do czasu i dziś cudów stwierdzać nie mogli. Dzieją się one rzadziej, niż dawniej w wiekach pierwszych — ale zawsze dzieją.

Dowodów nie brak. Weźmy każdy proces kanonizacyjny, prowadzony w kuryi rzymskiej — potem niezliczone ex-vota, nagromadzone w kościele św. Antoniego w Padwie, bazylice Loretańskiej, w bazylice w Maria Maggiore, w Einsiedeln, Częstochowie itd., — wreszcie cuda w Lourdes, zbadane jak najdokładniej i skonstatowane jak najsumienniej przez utworzoną w tym celu komisyę, a będziemy mieli na to dowodów więcej niż potrzeba.

I wobec tego mówić, że za dni naszych cuda się nie dzieją? Nie dzieją poza Kościołem

katolickim, bo poza Kościołem katolickim niema pełności życia, łaski i darów, jakie przynosi ze sobą Duch św., Pocieszyciel, mieszkający w Kościele, — poza Kościołem katolickim niema pełni życia, tylko gałęzie odcięte od pnia, z którego przedtem czerpały w całej obfitości ożywcze soki a dziś więcej nie czerpią. —

Stąd w różnych sektach chrześcijańskich szukać będziemy napróżno cudów, jako wyjątkowych i rzadkich owoców Ducha św. Jedynie w naszym świętym, katolickim Kościele, nierozerwalnie złączonym z Chrystusem Panem, można wskazać na cuda prawdziwe, które dla Swej chwały a pożytku wiernych P. Bóg działał, działa i działać będzie do końca świata.

Takich cudów świat protestancki i schizmatycki niezna.

Te cuda — to jeden z objawów świętości Kościoła, o którym mówimy codziennie w Składzie Apostolskim: »Wierzę... w święty Kościół powszechny«.

* * *

»Dobrze, dobrze, jeżeli już tak być ma, niech się cuda dzieją i dzisiaj, ale kto zaręczy, że właśnie to dane zjawisko, w którem ludzie cud widzą, jest nim rzeczywiście, — jest objawem wyjątkowym wszechmocy Bożej, a nie działaniem zwykłych, choć dotychczas nam jeszcze nie znanych sił przyrody.

»Przecież przyroda tyle ma jeszcze tajemnic. Ot np. przypadkowe odkrycie promieni

Röntgena. Sił podobnych może być więcej. Dziś ich nie znamy, jak wczoraj nie znaliśmy tych promieni. One jednak ukryte przed nami istnieją i działają, my zaś, widząc ich działanie, brać je możemy za cud oczywiście pozorny. Otóż gdzie probierz, którym taki cud pozorny od rzeczywistego odróżnić można?«

Przedewszystkiem dziwić się trzeba, skąd u tych, co w ten sposób argumentują, bierze się naraz tyle skromności i pokory? Przecież to oni właśnie o tajemnicach wiary św. słyszeć nie chcą, mówiąc, że przyjmowanie za prawdę, czego zrozumieć nie mogą, ubliża ich indywidualności, rozumowi, — a tu znowu wyznają że w dziedzinie samejże przyrody trafiają się tajemnice niezrozumiałe, które znowu przyjmują bez żadnej trudności, z niemi się liczą, do nich stosują, na nie powołują!

Skąd ta podwójna miara? Jeżeli w samej przyrodzie wszystkiego nie mogą zrozumieć, czemuż się dziwią, że po za nią nie wszystko jest dla nich zrozumiałe, przystępne? A do przyrody mają przecie za pomocą swych zmysłów przystęp bezpośredni; do tego zaś co jest poza nią, albo raczej ponad nią, przystępu takiego nie mają i mieliby w tem mieć wiadomości więcej i światła obficiej!!

Przecież to brak konsekwencyi, jeżeli nie obłuda. Raz pozować na mędrców, mogących swym rozumem przeniknąć wszystko, — a potem na prostaczków, powołujących się na swą

nieświadomość... Czyż to postępowanie szlachetne?

Niestety, kiedy chodzi o zwalczanie wiary świętej nic tych panów nie kosztuje, nawet poniżenie się, choćby do poziomu zwierzęcia, i uznanie w małpie swego protoplasty.

* * *

To mimochodem; bo najchętniej przyznajemy, że nie wszystkie siły w przyrodzie są nam znane; owszem, że mimo ogromnego postępu w nauce utrzymuję, jeszcze bardzo i bardzo wiele ich pozostaje i pozostanie zawsze do poznania i odkrycia.

To jednak z cudami jako faktami historycznemi niema nic wspólnego. Stwierdzenie tych faktów swoją drogą, a postęp wiedzy przyrodniczej swoją. My przecież nie mówimy, że dla stwierdzenia cudu trzeba koniecznie znać wszystkie siły przyrody; tylko utrzymywaliśmy i utrzymujemy, że dla stwierdzenia cudowności danego zjawiska wystarczy znać te siły przyrody, które w niem mają zastosowanie i wiedzieć, co w danych okolicznościach zdziałać koniecznie muszą, a czego nie działają.

Czyż potrzeba stać na wysokości dzisiejszego postępu fizyki, aby wiedzieć, że ogień przyłożony do słomy, musi ją zapalić, albo że człowiek chodzący po wodzie, musi się zanurzyć, albo przyjmujący truciznę, musi się otruć i t. d. Stąd, jeżeli kto ma zdrowe zmysły

i widzi ludzi stojących, jak trzej młodzieńcy Babilońscy, wśród ognia i żadnej nie odnoszących szkody — albo św. Maurusa, chodzącego po wodzie, albo św. Benedykta bez szkody przyjmującego truciznę — to może o sobie z całą pewnością powiedzieć, że jest świadkiem cudu, bo jest świadkiem zawieszenia sił przyrody, właściwych ogniowi, wodzie i truciźnie.

Działanie tych sił w tych warunkach powinno było objawić się z całą koniecznością rzeczy, jak w innych analogicznych wypadkach, a ponieważ się nie objawiło, więc w tych prawach zrobiony został wyjątek... czyli stał się cud...

* * *

»Niech będzie tak. Przyznaję, że teorya cudów w zasadzie jest prawdziwa, ale w praktyce pozostanie zawsze trudnem wykazanie ich rzeczywistości. Przecież ci, co na dane zjawisko patrzeli, mogli się omylić i pozór cudu wziąść za cud. W Lourdes dzieją się np. rzeczy nadzwyczajne. Przyznajemy. Ludzie, co na nie patrzą, biorą je za cuda. Mogłyby niemi być, ale czy są? czy oni się nie mylą? czy to nie pozór tylko cudu?

»A ponieważ wątpliwość taka jest zawsze możliwa, nie tylko przy każdym fakcie przeszłym, ale także i każdym teraźniejszym, który ludzie za cud uważają; więc z żadnym cudem liczyć się nie potrzebuję.«

Oho! moi panowie. Tylko powoli. Omylić się może i wasz kucharz, podając wam złe grzyby na obiad; czyż dlatego grzybów panowie nigdy i w żadnych warunkach jeść nie będziecie?

Ale najpierw porozumiejmy się. Jeśli wam chodzi o cuda znane z Ewangelii albo o cuda stwierdzone uroczyście przez Kościół przy kanonizowaniu Świętych, utrzymujemy z całym naciskiem, że są to cuda prawdziwe, nie pozorne — cuda, nie mogące podlegać najmniejszej uzasadnionej wątpliwości, przynajmniej dla wierzącego chrześcijanina.

Co do cudów z Pisma św. rzecz to oczywista. Co do tamtych, stwierdzonych przez Kościół wiedzieć powinniście, panowie, że proces kanoniczny, poprzedzający ogłoszenie danego cudu, jest tak skrupulatny, drobiazgowy i surowy, jak tylko być może. Daubenton opowiada w żywocie św. Franciszka Borgiasza, że jakiś lord protestancki, bawiący w Rzymie, wyznał otwarcie pewnemu znanemu sobie kardynałowi, że cudów Kościoła katolickiego nie bierze na seryo. Na to kardynał wręczył mu protokóły, tyczące się kilku cudów, zdziałanych za pośrednictwem tegoż Świętego. »A to co innego«, oświadczył lord po ich zbadaniu. Jeśliby wasze cuda były wszystkie tak udowodnione, jak te, nie miałbym żadnej trudności w nie wierzyć«. — »No proszę? — odrzekł kardynał. — Oto trzeba panu wiedzieć, że żaden z tych cudów przez Kongregacyę Obrzędów nie

został przyjęty, właśnie dla braku dowodów wystarczających. Możesz pan stąd wnioskować, jakie są wymagania Kościoła, gdy chodzi o sprawę tak drażliwą, jak autentyczne stwierdzenie cudu. Prędzej odrzuci Kościół sto cudów pewnych, niż przyjmie jeden wątpliwy«.

Co zaś się tyczy innych cudów, to pewna, że nie mają tej samej co tamte powagi, ale mimo to nie przestają być faktami, z którymi człowiek rozumny liczyć się powinien. Oczywiście każdy taki cud powinien być udowodniony najpierw jako fakt historyczny, a potem jako fakt cudowny; co jeśli nastąpi, niema racyi go nie uznawać i nonsensemby było z góry bez podstawy go odrzucać. — Zboczenie w jedną i drugą stronę jest błędem i nieroztropnością. Źle wierzyć bez podstawy, ale źle także nie wierzyć, kiedy się taką podstawę ma.

Weźmy np. cuda w Lourdes. Wiadomo, że każdy chory przed uzdrowieniem i po uzdrowieniu jest tam badany przez osobną komisyę, w której skład wchodzą lekarze nieraz nie tylko niewierzący, ale szukający sposobności, aby ich bezpodstawność wykazać; a jednak rok rocznie ta sama komisya stwierdza cały szereg cudów, mimo, że trzyma się metody badania jak najbardziej naukowej.

* * *

Oczywiście ani ja, ani nikt myślący poważnie nie będzie nazywał cudownemi podań

i legend, choćby zresztą bardzo miłych i podnoszących ducha, ale z historyą ścisłą nic nie mających wspólnego. Dlatego, ktoby z ich powodu chciał odrzucać prawdziwe cuda, postępowałby jak człowiek, któryby wszystkie fakta historyczne odrzucał dlatego, że pomiędzy nimi trafiają się sfałszowane i niekrytyczne.

Kto chce, niech się takiej metody trzyma. Nam powinna wystarczyć inna. My powiadamy, że trzeba spokojnie, bezstronnie, bez uprzedzenia zbadać okoliczności, towarzyszące każdemu nadzwyczajnemu zjawisku, z którem się spotkamy, — trzeba według kryteryów historycznych odróżnić w nim fałsz od prawdy, niczego nie trzeba przyjmować na ślepo, ale się pytać, jak? co się stało? kto i jak opowiada? co za nim przemawia? — i wtedy sąd swój wyrobić.

Droga pośrednia jest zawsze najpewniejsza i najlepsza. Wystrzegajmy się łatwowierności, nie uznającej żadnej krytyki, ale też wystrzegajmy także niedowiarstwa, odrzucającego wszystko, co z góry powziętym zasadom się sprzeciwia. Wtedy prawdę znajdziemy. To też stwierdziwszy cud pozorny, potrafimy go odrzucić; a przeciwnie, stwierdziwszy cud rzeczywisty, potrafimy go uznać i weń uwierzyć.

Wiara św. fałszu nie potrzebuje. Na dowód jej prawdziwości wystarcza cud jeden dostatecznie udowodniony, bo każdy cud, zdziałany na jej potwierdzenie, jest pieczęcią, którą Stwórca świata i Najwyższy Pan przyrody do niej przykłada. A co P. Bóg raz potwierdził,

to potwierdził na zawsze, to zawsze pozostanie prawdą, nie potrzebującą ponownego a tembardziej wątpliwego stwierdzenia przez cud pozorny.

Z istnienia fałszu wnioskujemy na istnienie prawdy, z istnienia zła — na istnienie dobra; tak z istnienia cudów fałszywych możemy wnioskować na istnienie cudów prawdziwych. Dukaty podrobione są dowodem, że istnieją prawdziwe. Inaczej dlaczegoby je człowiek podrabiał?

* * *

»Róbcie co chcecie. Nie prędzej w cuda uwierzę, aż sam cud jaki zobaczę.«

Tomasz niewierny ma i dzisiaj swych naśladowców. Tylko szkoda, że, naśladując go w upadku, nie chcą go naśladować w poprawie. Św. Tomasz zaczął, jak oni, mówił to samo, co oni, nie wierzył, jak oni, ale jakże inaczej skończył?

Zaczął nierozumnie, bo się uparł, i zaciął bez podstawy. W oczach jego przepowiednie Pańskie nie znaczyły nic, nic nie znaczyły zeznania świadków naocznych i wiarogodnych — on nie wierzył w Zmartwychwstanie, aż Chrystusa Pana sam na oczy własne zobaczył. Wszyscy inni Apostołowie, uczniowie z Emaus, niewiasty pobożne, Marya Magdalena i sama Matka Najświętsza zaręczają mu, że widzieli Mistrza, z Nim rozmawiali, dotykali się Go, — przekładają mu dowody, proszą, zaklinają... nie

i nie; on trwa w swym nierozumnym uporze i swej zarozumiałości. Tamci mogli się mylić, on jeden — nigdy.

Czyż to postępowanie było rozumne i roztropne? Jakby dwadzieścia oczu nie widziało pewniej i lepiej niż dwoje?

Skarcił go też za to Chrystus Pan, ale ze względu na jego dobre serce podniósł na duchu, zachęcając łagodnie do poprawy. — »Iżeś widział — uwierzyłeś; błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.«

Tak jak św. Tomasz, poczynają też sobie ci nasi panowie... Chcą widzieć cud własnemi oczyma, aby w cuda uwierzyć. Czyż o faktach cudownych inną drogą przekonać się nie mogą? Tysiące ludzi przed nimi patrzało na różne cuda, lub na sobie skutków ich doznawało; o tem ich zaręczają. Czemuż im wierzyć nie chcą? Czyż sądzą, że tylko oni sami o prawdziwości tych cudów skutecznie przekonać się mogą?

A to skąd? Czyż może przypuszczają, że wszyscy inni znajdują się pod wpływem halucynacyi, widzą, słyszą, czują nie dobrze, — że nie są dość światli, uczeni, z postępem nauk przyrodniczych obeznani? O! oni potrafiliby inaczej!!

Ale zapominają, że gdy chodzi o zmysły, nie wchodzi w grę ani uczoność, ani przytomność, tylko dwoje oczu, wartych tyle, co oczy każdego innego człowieka albo może i mniej. Otóż przeciwko ich oczom, gdy chodzi o cuda,

mamy tysiące innych, wobec których ich świadectwo ginie jak kropla w morzu; nie wiele pomoże, ale też i nie wiele zaszkodzi.

Czy wierzą lub nie wierzą, prawdy, stwierdzonej przez tysiące świadków zmienić, nie potrafią; i bez ich świadectwa pozostanie przeciw nim prawdą fakt, że cuda się działy i dzieją. Ich świadectwo jest zbędne zarówno ze względu na innych, jak i ze względu na nich samych...

Ciekawa rzecz! Oni chcieliby na własne oczy widzieć cuda? Czemuż tedy nie spieszą do Neapolu, kiedy krew św. Januarego kipieć tam poczyna, albo do Lourdes, gdzie tyle osób cudownie odzyskuje zdrowie? — Tam mogliby widzieć cuda na oczy własne... Ale oni tego nie chcą... to dla nich za uciążliwe!? Pan Bóg powinien dostosować się do nich i dla ich kaprysu robić cuda, a oni dla P. Boga nic?...

Zresztą gdyby i w ich obecności cud się wydarzył, dla niedowiarstwa swego znaleźliby wymówkę i wtedy, — powiedzieliby, że wzrok im nie dopisał, że to było złudzenie, sen, chorobliwy objaw, itd. itd.

Znamy to, znamy... Kto oczy zamyka, ten nie widzi... bo n i e c h c e.

Z ludźmi tego rodzaju w dysputy się lepiej nie wdawać. Najlepiej zbyć ich udatną a ciętą odpowiedzią i iść dalej swoją drogą.

## List VI.

# O spirytyźmie.

---

Cztery kategorye zjawisk spirytystycznych. — Magnetyzm do ich tłumaczenia nie wystarcza. — Nie wystarcza przypisywanie ich duszom zmarłych, ani aniołom. — Spirytyzm podkopuje wiarę i obyczaje. — Zdania spirytystów o spirytyźmie.

Jest to zjawiskiem codziennem, że ludzie »postępowi« o ile wstręt czują do cudów prawdziwych, zdziałanych przez P. Boga, o tyle mają pociąg do cudów pozornych, zdziałanych przez szatana.

Oni wprawdzie cuda pozorne spirytystów lub hypnotyzerów przypisują wszystkiemu innemu, tylko nie szatanowi. Stoliki wirujące i piszące, eksperymenta z najróżniejszemi, szczególnie kobiecemi, mediami, zagadkowe odpowiedzi, jak wogóle prawie wszystkie zjawiska, właściwe posiedzeniom spirytystycznym a często i hypnotycznym: to wedle nich działanie ukrytych sił przyrody, w najgorszym razie dusz zmarłych, ale nie szatana.

Gdzieżby tam? On z tem wszystkiem, ich zdaniem, niema nic wspólnego.

Nic niema? A no zobaczmy!

*
* *

Zacznijmy od spirytyzmu.

We formie dziś praktykowanej, przyszedł spirytyzm ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tamto w 1847 roku dzieci farmera angielskiego Foxa, zamieszkałego w Hydesville, mieścinie Stanu Nowo-Jorskiego, usłyszały pewnego wieczoru w pokoju jakieś dziwne hałasy, pukania, szelesty. Trwało to z przerwami przez czas pewien. Ale że człowiek, a szczególnie dziecko, oswaja się prędko ze wszystkiem; to też choć z początku strach je zdjął, i w przerażeniu czekały co z tego wyniknie — wkońcu najmłodsze poczęło sobie nawet żartować z tych, jak sądziło, duchów, i, jakby przekomarzając się z nimi, uderzyło kilka razy w ścianę: »Zrób i ty to samo« — wołało.

Tyleż uderzeń tajemniczych w tęże ścianę było odpowiedzią na jej wyzwanie.

Pani Fox, tem zachęcona, powtórzyła to doświadczenie z tym samym skutkiem. Stało się tedy widocznem, że wchodzą tu w grę jakieś duchy, mogące myśleć i odpowiadać. Więc poczęto zadawać im pytania. Pani Fox zażądała, aby wypukały lata każdego z jej dzieci.

Odpowiedziały, jak się należy. Tak samo na inne pytania odpowiadały przez pukanie

w ścianę, mianowicie: że litery pojedyńcze przedstawiała liczba uderzeń, odpowiadająca miejscu ich w alfabecie; jedno uderzenie znaczyło *a*, dwa *b* i t. d. Po wypukaniu jednej litery następowała przerwa.

W ten sposób dowiedzieli się państwo Fox, że duchy przeznaczają ich do ogłoszenia światu nowej »nauki«.

* * *

Oto początek spirytyzmu. Foxów na razie o mało co nie zlinczowano w Rochester, gdzie spełniając wolę »duchów«, zaczęli urządzać swe spirytystyczne posiedzenia, bo pastorowie ich wyklęli, a ludność uważała za czarowników; — ale to nie przeszkodziło, że przez Zjednoczone Stany lotem błyskawicy rozeszła się wieść o ich rzekomem odkryciu. Poczęto ich wszędzie naśladować. A ponieważ oni sami nastarczyć wszędzie zaproszeniom na seanse nie mogli; więc się namnożyło innych »mediów« bez końca i na tysiącznych posiedzeniach spirytystycznych rozpoczęło się wywoływanie duchów i... robienie pieniędzy.

Oczywiście »nauka« tajemnicza musiała robić postępy. Z początku rozmowa z duchami toczyła się powoli, za pośrednictwem stołów zwykłych i żmudnego wypukiwania ich nogami każdej litery z osobna, potem wprowadzono odpowiedniejsze do tego trójnogie »stoliki«, które u spodu miały ołówek, piszący na podłożonym papierze! —

z czasem i te stoliki stały się zbędnemi. Medium brało samo ołówek do ręki a ołówkiem kierował duch, piszący na papierze lub rysujący.

Tego jeszcze nie było dosyć. Rozciekawieni spirytyści chcieli się duchom przypatrywać, widzieć je, słyszeć, i z nimi wprost rozmawiać.

Przyszło i do tego. A działo się tak. —

Najpierw w jednym pokoju lub alkowie zasypiało snem kataleptycznym medyum, a potem w sąsiedniej sali posiedzeń w ciemnościach pogrążonej spostrzegać poczynano świetlane ciała, obłoczki, unoszące się w powietrzu, ręce zimne jak lód, albo palące. »Jednę z tych rąk — opowiada Crookes — chwyciłem silnie i nie puszczałem. Z początku miałem wrażenie najrzeczywistszej ręki ludzkiej; powoli jednak wrażenie to nikło, jak gdyby się w mojej rozpływała, stawała parą. Po chwili nie czułem nic«.

Ostatecznie widywano już całe postacie w białych, długich szatach. Można je było dotykać... nawet fotografować. Na pytanie: »Kim są«? odpowiadały, podając się za osobistości, znane w historyi, za Sokratesa, Cezara, Napoleona, nawet za św. Pawła, Augustyna i t. d.

* * *

Na tem nie koniec. Ewolucya okkultyzmu doszła wprawdzie do swego punktu kulmina-

cyjnego, ale nie wyczerpała rozmaitości swych zjawisk.

Oto na niektórych seansach widywano stoliki, kręcące się już nie tylko, gdy osoby na nich oparte tworzyły t. zw. »łańcuch«, ale i potem gdy się usunęły, — widywano je, tupiące ze złości, szamocące się, podnoszące do góry same, albo z siedzącem na nich medyum. Bywało, że wraz ze stojącą porcelanową zastawą podnosiły się, pochylały na wszystkie strony, nie utrącając nic z tego, co się znajdowało na nich, — że w podskokach wtórowały im inne meble, pochylały na przednich nogach kanapy, jakby na powitanie obecnych, — że widywano latające dzwonki, kwiaty i t. d.

Wrażenie szczególne robiło zjawisko ze szklanką wody. Na dany znak szklanka się podnosiła, przewracała do góry nogami, a później wracała do pierwotnego położenia bez wylania kropelki.

W Nowym Jorku gitara grać nagle poczęła, choć była we futerale zamknięta; gdy ją z niego wyjęto, uniosła się w powietrzu i po kolei kładła na kolanach osób obecnych. W Hareforcie powtórzyło się z nią to samo; przyczem widziano rękę, trzymającą ją w powietrzu.

Na początku innego posiedzenia, opowiada Coleman, ciężki stół podniósł się do sufitu. Gdy Coleman go się dotknął, był lekki i zgrabnie spuszczał się na ziemię. Innym razem tenże sam stół robił znowu wrażenie na przemian to ciężkiego jak z ołowiu, to lekkiego

ak pióro na komendę, a przytem, choć był dwanaście stóp długi, obracał się, jak drzwi na zawiasach. Tym zjawiskom towarzyszyła katarynka, grająca znowu sama.

Raz stolik pukaniem zawiadomił o obecności ducha. »Kim jesteś?« — pytają go. »Jestem duszą dziecka«. — »Czy umiesz pisać?« — »Spróbuję«. Podkładają mu kawałek papieru z ołówkiem pod dywan. Po chwili słychać szelest wyraźny piszącego ołówka. Patrzą, a na papierze stoi: »Drogi tato, droga mamo!... Wat«.

W Sandgate, hrabstwie Kent, stół się podnosi na dwie stopy od ziemi, katarynka poczyna grać, a w powietrzu pokazuje się mnóstwo rąk i ramion wszelkiego kształtu i wielkości, — jedne złożone jakby do modlitwy, inne wskazujące na niebo a jedna przerzuca kartki leżącej na stole Biblii i w końcu wskazuje na wiersz 16 i 17, XIII rozdziału św. Mateusza: »Błogosławione oczy... i uszy, bo wielu proroków i sprawiedliwych chciało widzieć to, co wy widzicie i słyszycie a nie słyszało«.[1])

Tyle co do samych faktów.

* * *

Rzecz oczywista, że spirytyzm najwięcej zwolenników znalazł w protestanckiej Ameryce i Anglii. Ale i kraje katolickiej Europy nie pozostały pod tym względem w tyle. Niewiara

---

[1]) Bizouard.

i obojętność zakreśliła w nich zanadto szerokie koła, aby naturalnym biegiem rzeczy nie miała przygotować gruntu podatnego pod wszelkiego rodzaju zabobony i czary.

Ludzie, wyznający wiarę prawdziwą, nie są zabobonnymi. Są nimi wyznawcy religii fałszywych i... niedowiarkowie. Natura bowiem ludzka, domaga się tajemniczości. Nie będzie mieć tajemnic prawdziwych i wzniosłych — to sobie utworzy fałszywe i poniżające.

Apostołem spirytyzmu we Francyi i założycielem »spirytystycznej religii albo filozofii« czyli okkultyzmu, jest Allan Kardek, właściwie Hipolit Rivall. I jemu, jak Foxom w Ameryce, duchy się objawiły z początku także za pomocą pukania w ścianę. W podobnyż także sposób, jak z nimi, porozumienie nastąpiło, z którego się dowiedział, że przeznaczonym został na proroka nowej religii przez ducha mianującego się »prawdą«. Przy pomocy innych, rzekomo duchów św. Wincentego à Paulo, Augustyna, św. Ludwika, Platona, Sokratesa, Fenelona i t. d. — wtajemniczył go on w arkana okkultyzmu. Co też Kardak starannie spisał i ogłosił drukiem. Powstała stąd spirytystyczna literatura.

Nauka Kardaka da się streścić w punktach następujących: »Pan Bóg jest, ale ludziom się nie udziela... udzielają tylko dusze zmarłych. Dusze te po śmierci się błąkają, przechodząc z jednego ciała w drugie. Otacza je rodzaj nadzwyczaj subtelnego eteru, za pomocą którego

mogą udzielać się światu, i z ludźmi obcować Piekła i nieba niema, a mimo to człowiek powinien się doskonalić. Jezus Bogiem nie jest, ale jest wzorem godnym naśladowania. Kościoła niema co słuchać. Rozwody są dozwolone i t. d.

Rozumie się, że w tych rewelacyach nie brakło przepowiedni, przypominających aż do złudzenia wyrocznie starego pogańskiego świata w Delfach, Dodanie i t. d. Duchy przepowiadają, ale tak zręcznie, że albo »na dwoje babka wróży« albo przepowiadają fałszywie, czyli poprostu kłamią.

Co o tem wszystkiem sądzić?

* * *

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w seansach spirytystycznych gra rolę także szalbierstwo.

Powiadają, że wprawiający swego czasu w zdziwienie obie półkule i produkujący się nawet przed Napoleonem III. Douglas-Home pod koniec życia wyznał, że znał wiele sztuczek kuglarskich i niemi sobie czasem pomagał. O braciach Davenport wykazał Robert Houdin że czynili to bardzo często. W roku 1875 spirytyście Buguetowi wytoczono proces o szalbierstwo i udowodniono, że, zdejmując rzekomo fotografie dusz umarłych, w sposób bardzo prymitywny nadużywał łatwowierności obecnych.

Jeszcze gorsze zajścia miał spirytysta Harry Bastin. W trzech jego seansach spirytysty-

cznych wzięli udział arcyksiążęta Karol i Rudolf. Za każdym razem, gdy udawał się do drugiego pokoju, kładł się i zasypiał, — pojawiały się w ciemności iskry, cienie, dawały słyszeć hałasy... Wysocy goście podejrzywali jakieś oszustwo, ale nie byli swego pewni... Dlatego za trzecim seansem, kiedy w ciemności duchy gospodarować znowu poczęły, na znak dany przez nich drzwi do alkowy się zamknęły i zaświecono lampę. Okazało się, że duchem rzekomym był sam Bastin.

Szarlatanerya tedy jest, ale czy zawsze?

* * *

Tego znowu nie można w żaden sposób przypuścić; owszem można powiedzieć, że znaczna część tych zjawisk nadzwyczajnych, — to fakta tak samo autentyczne, jak, że teraz piszę, że pod Waterloo rozegrały się losy Napoleona, pod Sedanem Francuzi byli pobici itd.

Posłuchajmy Dr. Lapponiego, przybocznego lekarza papieży Leona XIII i Piusa X aż do swej śmierci, a w tym względzie specyalistę. —

»Ze statystyki — pisze — przedstawionej kongresowi spirytystycznemu, obradującemu 1889 w Paryżu, w sali Wielkiego Orientu masońskiego — wynika z pewnością, że na obu półkulach żyło podówczas co najmniej sześć milionów ludzi, mogących z własnego, naocznego doświadczenia poświadczyć prawdziwość

spirytystycznych zjawisk.[1]) Do tego dołączyć trzeba wszystkich zmarłych już spirytystów i tych co po roku 1889 do nich się przyłączyli.

»Zresztą o rzeczywistości tych samych zjawisk świadczy Jacolliot, misyonarz Huc i filozof Otkott, którzy w czasie pobytu swego w Indyach angielskich robili studya nad Hindusami i u Fakirów spotykali się z nimi często.

---

[1]) Członkowie tego kongresu w liczbie 400, przedstawiali 40.000 członków różnych towarzystw spirytystycznych. Przez pewną brawurę szli oni dalej, mówiąc o 15 milionach spirytystów żyjących. Ale to oczywiście przesada. (Il Vessillo spirytysta.)

W »Głosie Warszawskim« (Nr. 76, r. 1912) czytamy następującą kronikarską wzmiankę: W kołach spirytystów i okulitystów paryskich zawrzała prawdziwa burza. Najlepsze i najsławniejsze »medium« pani Demange została zdemaskowana.

Seanse pani Demange, na które uczęszczali tylko najznakomitsi spirytyści, odbywały się w podziemiach starożytnego kościoła św. Genowefy. Niskie, ciemne, sklepione izby nadawały się jak najlepiej do tego zawierania stosunków z duchami zmateryalizowanymi, to też na seansach działy się prawdziwe cuda. Na seansie, który się odbył w zeszłym tygodniu, wywołano ducha Klodwiga. Duch poruszał ciężkie ławy, stukał, rzucał różne przedmioty, zjawił się również w postaci świecącego cienia na tle sąsiedniej izby ciemnej, i na koniec zaczął dotykać obecnych. Ale to właśnie zgubiło »medium«. Jeden z obecnych spostrzegł długą trzcinę z miękką gałką, osadzoną na końcu i złapał ją, a inny złapał nogę... pani Demange, manewrującą pod blatem stołu. Powstał ogromny hałas i zamieszanie. »Medium« wyparło się wszystkiego: więc zaproponowano seans sprawdzający. Pani Demange po długim oporze musiała się zgodzić. Posadzono ją na krześle i związano ręce i nogi. Wszystkie nogi od krzeseł i stołów

»W swych dziełach przytaczają oni liczne fakta, których byli świadkami naocznymi.[1])

»Wszystko tedy razem wziąwszy, ma spirytyzm takie mnóstwo świadków za sobą, że byłoby lekkomyślnością nie do darowania odrzucać ich świadectwo, chociażby tylko dlatego, że z tych wszystkich milionów żaden nie został spirytystą, nie wziąwszy poprzednio udziału przynajmniej w jednem spirytystycznem posiedzeniu i nie przekonawszy się o prawdziwości spirytystycznych zjawisk.

»Czyżby wszyscy mieli się mylić? albo wszyscy dali się oszukać?

»W dodatku te świadectwa pochodzą ze wszystkich stron, z pośród narodów sobie obcych. Świadczą Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Duńczycy, Szwedzi, Holendrzy, Rosyanie, Hiszpanie, Włosi, Portugalczycy, nie mówiąc już nic o Egipcyanach i Hindusach. Przytem jedni z nich są mormonami, inni ateuszami, inni zno-

---

określono dokoła kredą, ażeby sprawdzić przesuwanie się tych przedmiotów i rozpoczęto seans.

Pani Demange drżała, dostała nawet konwulsyi, ale pomimo wszystkich wysiłków, które trwały prawie godzinę, żaden duch się nie zjawił. Po 20 minutach odpoczynku powtórzono próbę, również napróżno.

Na drugi dzień p. Demange zniknęła ze swego wspaniałego mieszkania przy rue d'Auber i już nie pokazała się wcale.

[1]) Huc, Souvenir d'un voyage dans la Tartarie et le Thibet Paris 1857. — Olcott Catéchisme Boudhiste Paris 1881. Révue Britanniquet XXXII p. 638.

wu materyalistami. Są między nimi i protestanci i dyzunicy greccy i nawet katolicy rzymscy.

»Przy dzisiejszym sceptyźmie możnaby pomyśleć, że wyznawcy tejże samej religii albo członkowie tejże samej narodowości umówićby się mogli (?), aby podać za prawdę fakt zmyślony; ale żeby niezliczona ilość ludzi, należących do różnych narodowości, wyznań, o dążnościach, aspiracyach, charakterach i interesach różnych, — miała zgodnie podawać za fakt autentyczny zjawisko urojone lub zmyślone, i to nie tylko w ogólności, ale i w najdrobniejszych jego szczegółach; — tego zdrowy rozum przypuścić nie pozwala.

»W dodatku ci świadkowie składają swe świadectwo nie gdzieś w zaciszu, w kółku prywatnem, ale o tem, co na własne oczy widzieli albo w czem sami brali udział, piszą publicznie, miewają odczyty, urządzają przystępne dla wszystkich posiedzenia doświadczalne, chełpiąc się, że są spirytystami z przekonania; kontroli, krytyki się nie boją, podawają swoje adresy, tak, że każdy, kto chce, może sam sprawdzić ich świadectwo. — »Przyjdźcie i zobaczcie« — powiadają. I niejeden, czytając ich sprawozdania, poszedł, zobaczył i uwierzył w to, co przedtem uważał za kuglarstwo.

»Zapewnie, między tymi sześciu milionami było wiele ludzi egzaltowanych, łatwowiernych, za dobrą monetę biorących wszystko; ale są także inni, których autorytet, kompetencya nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, — są

wybitni literaci, dziennikarze, profesorowie uniwersytetu, matematycy, fizycy, chemicy, przyrodnicy, antropolodzy, lekarze, filozofowie, teologowie, dygnitarze, politycy, dyplomaci, socyolodzy, nawet panujący, jak np. Napoleon III. Napoleonowi można wiele zarzucić, ale nie łatwowierność. Naiwnym nie był a jednak był zdumiony tem, co w obecności jego produkował Home, w warunkach, usuwających wszelką możliwość szalbierstwa.«

»Powagę tego świadectwa zwiększa jeszcze okoliczność, że świadkowie, z których czerpiemy, są uczonymi pierwszorzędnymi, którzy zwykli wszelkie zjawiska analizować jaknajdokładniej, badać każdą ich okoliczność, każdy szczegół, przyczynę i skutki.«[1])

Do tych uczonych należy William Crookes, znany ze swych prac nad analizą spektralną ciał niebieskich, z wynalazku fotometru poloryzacyjnego, z traktatu o analizie chemicznej itd.

Otóż Crookes postawił sobie za cel zbadanie jaknajdokładniejsze zjawisk spirytystycznych. Rezultat swych badań streścił w oświadczeniu następującem: »Utrzymuję, że te zjawiska — to fakt, nie tylko prawdopodobieństwo. Niech przyjdzie kto chce, niech się organizują komisye do ich badania, niech ludzie jakiejkolwiek narodowości przyjdą i osobno czy razem poczną im się przypatrywać, a powiedzą, co powiedziałem. Owszem twierdzę, że w historyi

---

[1]) Lapponi »Les faits du spiritisme« str. 154—156.

świeckiej, kościelnej, w rocznikach nauki niema faktu tak niezbicie, tak oczywiście stwierdzonego, jak te spirytystyczne zjawiska.«

* * *

Wyliczone wyżej praktyki spirytystyczne — to tedy fakt. Otóż wobec tego faktu różni różnie się zachowują.

Podzielićby ich można na trzy kategorye. Jedni wszystkiemu przeczą, drudzy wszystkiemu wierzą, przyczem oczywiście jedni i drudzy postępują nieroztropnie, lekkomyślnie; bo kto z góry wszystko przyjmuje albo wszystko odrzuca bez badania, ten wyrokuje zaocznie — bez krytyki i zastanowienia: a więc nieroztropnie, lekkomyślnie.

Inaczej kategorya trzecia. Oni idą drogą pośrednią, nie przesądzają nic z góry, badają. Jeśli się pokaże, że mają do czynienia z szarlataneryą — stwierdzają oszukaństwo prestidigatora: jeżeli zobaczą, że fakt jest rzeczywisty, dający się wytłumaczyć za pomocą praw zwykłych przyrody — uznają w nim zręczność kuglarską; a wreszcie jeżeli widzą nie tylko rzeczywistość faktu ale i jego niezgodność ze zwykłym biegiem praw natury — będą szukać przyczyny poza nimi, ale go nie odrzucą.

Do której kategoryi mamy należeć? Czy mamy brać wszystko za dobrą monetę i wierzyć będziemy wszystkiemu, co opowiadają spirytyści?

Nie, byłoby to nonsensem, bo na podstawie świadectw ze wszech miar wiarogodnych wiemy,

że znaczna, jeśli nie przeważna część tego, co opowiadają — to szalbierstwo i oszustwo.

Ale z tego znowu nie wynika, abyśmy za mistyfikacyę mieli uważać wszystkie ich zjawiska; bo znowu wiemy na podstawie świadectw wiarogodnych, pewnych, pochodzących z ust ludzi poważnych, uczonych, trzeźwo na rzecz patrzących a ze spirytyzmem nic nie mających wspólnego, że przynajmniej co do niektórych musi być wykluczone oszukaństwo; wskutek czego uznać trzeba ich nadzwyczajność.

Nic tedy nie pozostaje, jak z trzeźwą krytyką przystąpić do badania tych zjawisk, aby część odrzuciwszy, przyjąć resztę, i z nimi się liczyć.

Tyle co do faktu samego zjawisk.

* * *

Ale jak je tłomaczyć?

Zależy od tego jak jakie.

Zjawiska spirytystyczne podzielić można na pięć kategoryi: na zjawiska mechaniczne, fizyczne, fizyologiczne, psychiczne i czysto spirytystyczne — na:

czysto mechaniczne, jak wirujące, podnoszące się do góry stoliki; sprzęty latające po pokoju; drzwi zamykające i otwierające się same; uderzenia ręki niewidzialnej itd.;

fizyczne, jak błyskawice, grzmoty, błędne płomyki, szmery, szelesty itd.;

fizyologiczne, jak obniżanie się temperatury ciała u t. zw. medium, jego sztywność,

podobna do stężałości trupiej, przekształcanie się w masę bierną, nieruchomą, zachowującą pozycye najróżnorodniejsze i najdziwaczniejsze, choć nieraz z prawem ciężkości całkiem niezgodne;

potem zjawiska psychiczne, zawsze u medium, jak czytanie z zamkniętemi oczyma, jasnowidzenie tj. widzenie na wielką odległość, władanie nieznanemi językami, rozprawianie o gałęziach wiedzy sobie obcych, stawianie trafnej dyagnozy itd.

i wreszcie czysto spirytystyczne, zdradzające obecność przyczyny rozumnej, myślącej, mającej swą wolę, — jak odpowiedzi za pomocą pukania stolików albo pisanie na papierze, a tem bardziej objawianie się postaci eterycznych, rozmawiających, żartujących, chodzących itd.

Otóż odrzuciwszy zjawiska, w których rolę jakąkolwiek mogłoby odgrywać oszukaństwo i szarlatanerya, mamy cały szereg innych, jak powiedziałem, co do swej rzeczywistości, stwierdzonych dostatecznie a przytem bez najmniejszej wątpliwości nadzwyczajnych.

Wytłumaczyć ich nie możemy ani przez działanie obecnych na posiedzeniu ludzi, ani przez działanie znanych nam sił przyrody nierozumnej, więc jak?

Oczywiście musimy wynaleść przyczynę, któraby nam wyjaśniła nietylko jeden lub drugi z tych faktów, wziętych z osobna, ale

wszystkie razem. Trafia się bowiem często, że wszystkie zjawiska wyliczone występują razem u tej samej osoby i to tak, że dla badacza bezstronnego nie może ulegać żadnej wątpliwości, że pochodzą wszystkie z tego samego źródła. Stąd wniosek konieczny, że przyczyna, która je powoduje, gdy występują razem, powoduje je także, gdy występują osobno.

Wyjaśnimy później, o co nam chodzi. Na razie tylko narzucamy myśli.

A teraz uprzytomnijmy sobie wyliczone wyżej zjawiska i zapytajmy siebie spokojnie, co może być ich przyczyną? Czy stoimy wobec zjawisk przyrody, któremi zajmuje się nauka, albo też wobec czego innego?

* * *

Co może być ich przyczyną?

Spirytyzm jest w gruncie rzeczy stary jak świat. Zjawiska wyżej przytoczone były znane w starożytności, wiedzieli o nich czarnoksiężnicy, astrologowie wieków średnich. W XVIII wieku produkował się niemi Mesmer. On to pierwszy starał się zjawiska te wyjaśnić, określając ich naukową (!) przyczynę. Otóż zdaniem jego tą przyczyną jest magnetyzm. Twierdził on, że z ciała magnetyzera wychodzi jakaś substancya, jakieś fluidum magnetyczne, biotyczne czy nerwowe, które dostawszy się do osoby magnetyzowanej, wywołuje przez nią, w niej i koło niej te różne zjawiska.

Swój magnetyzm nazwał Mesmer magnetyzmem zwierzęcym a inni od niego — mesmeryanizmem.

Teorya jednak Mesmera wobec krytyki sumiennej nie mogła się długo utrzymać; bo zbyt wiele przedstawiała trudności.

Najpierw gdzie dowód a nawet choćby cień dowodu, że takie fluidum istnieje? Hypotezy stawiać wolno, ale pod warunkiem, że 1) coś za niemi przemawia, 2) przeciw nim nie przemawia nic i że 3) ze swego punktu widzenia tłomaczy ona wszystkie z danym faktem złączone zjawiska. Jeżeli choć jeden z tych czynników nie dopisze, hypoteza staje się bezpodstawną, bez znaczenia i wartości naukowej.

Otóż powiadam, że hypoteza Mesmera pod każdym z tych trzech względów nie dopisała. Dlatego najważniejsi przedstawiciele fizologii jak Müller, Magenzie, Grimelli itd. jednogłośnie ją odrzucają.

* * *

Najpierw powiadam, że za takim fluidem nie przemawia nic, chyba tylko to, że tak chce Mesmer; co jednak dla nauki jeszcze nie wystarcza.

Potem przeciw niemu przemawia wiele. W hipotezie bowiem Mesmera fluidum magnetyczne musiałoby być rozumnem, ba! nieraz rozumniejszem od samego magnetyzera. — Przecież przyjmuje ono dawane sobie rozkazy, z szybkością błyskawicy spieszy na wszystkie strony,

aby je wykonać, odkrywa tajemnice, przepowiada przyszłość. W myśl Mesmera, to rodzaj sługi, posłańca. Otóż kiedy i jak magnetyzer się z nim porozumiewa?

Fluidum nerwowe — rozumne! Wolne żarty.

Wreszcie jeżeli fluidum tłómaczy od biedy Mesmerowi zjawiska fizyologiczne, to już całkiem nie tłómaczy nawet jemu samemu zjawisk natury mieszanej, jasnowidzenia, rozmowy z umarłymi, odpowiedzi dawanych przez stoliki i t. d. albo tem bardziej zjawisk natury czysto psychologicznej, jak przelewania przez magnetyzera w magnetyzowanego myśli, narzucania mu jego woli?

Niechby to fluidum było ciałem najsubtelniejszem, zawsze pozostaje materyą, zależną od czasu i przestrzeni a więc pod żadnym warunkiem niezdolną do wywierania bezpośredniego wpływu w świecie ducha — powiadam bezpośredniego, jak Mesmer przypuszcza, a nie za pośrednictwem związanych z nim zmysłów.

Gdy chodzi o to wrażenie — zmysłów tj. wzroku, słuchu, powonienia itd. nie zastąpi nic, tem mniej jakieś fluidum magnetyczne.

Przypisywać ciału jakiemukolwiek wpływ tego rodzaju na duszę ludzką, jest to samo, co rąbać siekierą powietrze, dłutem rzeźbić wodę, albo szpilką dziurawić ogień.

Wobec tego nie dziwmy się, że dziś o mesmeryaniźmie nie wiele słychać. Nauka przeszła nad nim do porządku dziennego a miło-

śnicy jego zjawisk, coraz to nowych chwytając się hypotez, doszli w końcu do ostatniej, którą nazwali spirytyzmem.

Przekonano się ostatecznie, że materya sama, jej siły i prawa, tu nie mogą wystarczyć; trzeba sięgnąć wyżej, w dziedzinę ducha. Stąd powstała nazwa nowej teoryi: »spirytyzm«, od spirytus, duch.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w ten sposób zbliżyli się ludzie do prawdy. — Czego fluidum materyalne wytłumaczyć nie mogło, to mogą wytłumaczyć duchy.

Ale jakie?

* * *

Dwa rodzaje duchów są nam znane: duchy z ciałem kiedyś złączone, a dziś istniejące bez niego: to dusze umarłych; i duchy czyste, które ciała nie miały i mieć nie mogą — to aniołowie. — Aniołowie zaś dzielą się na dobrych i złych.

Otóż do jednej z tych trzech kategoryi duchów należeć będą duchy od zjawisk spirytystycznych. Ale do której?

Spirytyści powiadają, że do pierwszej. Zdaniem ich dusze zmarłych, wywołane przez medium, ukazują się ludziom, dokonywują rzeczy nadzwyczajnych, dają odpowiedzi, wróżą itd.

Mogłoby tak być; ale czy jest?

Aby coś pewnego w tym względzie powiedzieć, trzebaby najpierw wykazać, że dusze zmarłych w zwykłym porządku rzeczy z ludźmi

żyjącymi mogą się porozumiewać, że w świecie widzialnym mogą coś działać tak, jak to działali za życia.

Otóż tego nikt jeszcze nie wykazał. Owszem przeciwnie, na pierwszy rzut oka, zdaje się to niezgodnem z prawami natury, zarówno temi, którym podlegają ludzie żyjący, jak i temi, którym podlegają dusze umarłych: więc jest to niemożliwe.

Tak! przecież jednem z praw podstawowych, którym ulegać musimy, jest prawo, że dopóki żyjemy, ze światem zewnętrznym możemy się znosić jedynie za pośrednictwem zmysłów; bez nich o tym świecie nie wiedzielibyśmy nic i rozum nasz pozostałby papierem nie zapisanym — tabula rasa.

Inne znowu prawo, z tego wynikające, powiada, że, dopóki jesteśmy związani z ciałem, nie możemy w świat duchów sięgać bezpośrednio: stąd z duchami znosić się nie możemy tak, jak znosimy z żywymi. — Róbmy, co chcemy, nie potrafimy z umarłą osobą albo choćby ze swym Aniołem Stróżem porozumiewać się tak, jak porozumiewamy się ze znajomymi, bo jest jasnem, że między nami a niemi zachodzi przepaść, której nie możemy przeskoczyć, ile razy zechcemy, kiedy zechcemy i jak zechcemy.

Tyle co do nas.

A co do dusz zmarłych jest rzeczą pewną, że, w chwili śmierci rozstając się z ciałem, straciły one wszelką możność bezpośredniego udzie-

lania się nam, żyjącym; bo stało się z niemi coś podobnego, jak z ptakiem, któremu obcięto skrzydła, albo z człowiekiem, któremu odjęto nogi. »Pan Bóg przez Swą Opatrzność — powiada św. Tomasz — dał duszom zmarłym takie warunki bytu, że między nimi a ludźmi żyjącymi na świecie leży przepaść, która jednych od drugich oddziela całkowicie«[1]).

* * *

Przypuśćmy jednak, że dusze zmarłych mogą się udzielać ludziom żyjącym nietylko wyjątkowo, za szczególnem pozwoleniem P. Boga a więc na sposób cudu, — ale w zwykłym porządku rzeczy, jak np. ludzie żyjący udzielają się sobie nawzajem. Do wyjaśnienia wspomnianych zjawisk spirytyzmu to samo jeszcze nie wystarcza; dlatego, że w takim razie trzebaby w dodatku przypuścić, że po rozłączeniu z ciałem stały się one mędrsze, bardziej obznajmione ze siłami i prawami przyrody, z energią większą, niż miały za życia.

Już o tem nie mówię, że nieraz w dodatku zmienićby musiały całkowicie swe dawne przekonania, ponieważ zalecają po śmierci to, co potępiali za życia, albo przeciwnie odrzucają, czego nauczali — za co życie swoje łożyli. Według spirytystów np. św. Paweł, Augustyn, Ludwik XI. i t. d. występują po śmierci prze-

---

[1]) Summa Theol. I. q. 89, 2, 8.

ciwko Kościołowi, zaprzeczają istnieniu piekła, doradzają rozwody i t. d., co stoi w tak jaskrawem przeciwieństwie do ich przekonań, słowem i pismem głoszonych za życia, że ani na chwilę przypuścić nie można, żeby te występy od nich rzeczywiście pochodzić miały. —

Zresztą skądby się wzięła u nich ta wiedza? skąd znajomość sił ukrytych przyrody? Skąd władza wywoływania zjawisk, o których przedtem nie mieli nawet pojęcia? Bo przecież rzecz jasna, że dopóki żyli na ziemi tej znajomości, wiedzy, władzy nie mieli. Skądże teraz do niej przychodzą? jakim sposobem?

Czy może samo rozstanie z ciałem obdarza ich nową siłą a ich dusze nowemi wiadomościami, — te dusze, którym śmierć odebrała środek jedyny, jaki posiadały, do znoszenia się ze światem?

Na to wszystko odpowiedzi, przynajmniej rozumnej, spirytyzm nie daje. Dlatego też i my nie mamy żadnej krytycznie uzasadnionej, na znanych nam prawach przyrody opartej podstawy przypuszczania, że przyczyną zjawisk spirytystycznych są dusze zmarłych.

* * *

Przytem uważaj dobrze, że kładę nacisk na zwykły, naturalny porządek rzeczy. Rozumie się bowiem samo przez się, że P. Bóg w Swej wszechmocy ma środków dosyć, aby te braki uzupełnić i duszom zmarłych w razach nadzwyczajnych udzielić mocy występywania

w świecie widomym, jak było za ich życia. Ale to będzie zawsze wyjątkiem, przywilejem tej lub owej duszy, w tym lub owym pojedyńczym wypadku, stać będzie zawsze poza obrębem przyrody: więc w dziedzinie rzeczy nadprzyrodzonych czyli cudów.

Tak może być i tak nieraz bywało. W istocie dusze zmarłych ukazywały się nieraz ludziom, przemawiały do nich, strasząc, przestrzegając, upominając, ucząc, odpowiednio do wyroków Opatrzności Bożej. W Żywotach Świętych spotykamy to często.

Ale ze spirytyzmem czyli nekromancyą niema to nic wspólnego. P. Bóg, ile razy chce, może cud zdziałać, wywołując w świecie zewnętrznym zjawisko nadzwyczajne z właściwemi cudom cechami; ale z tego nie wynika, żeby wszystko, co jest nadzwyczajne, było zaraz cudownem. Są cuda prawdziwe, są i fałszywe; są także cuda pozorne. Gdzie P. Bóg występuje jako czynnik bezpośredni, tam wszystko dostrojone być musi do Jego Majestatu, Świętości, Mądrości, Dobroci i Sprawiedliwości.

To też ile razy w świecie umarłych dzieje się cud prawdziwy i Wszechmoc Boża dzieło śmierci naprawia w części, do świata żyjących zbliżając dusze zmarłych, — to wszystkie towarzyszące takiemu cudowi okoliczności muszą być zgodne ze Świętością i Majestatem Bożym.

Jeżeli zaś zgodne nie są — to cudu prawdziwego niema; jest albo cud fałszywy, kiedy prestidigitatorzy rzekomem pojawieniem się duchów oszukują swych widzów, albo jest cud pozorny, kiedy występują duchy złe.

* * *

Otóż powiadam, że to, co się dzieje na posiedzeniach spirytystycznych, jest P. Boga niegodnem: i dlatego nie może być cudem prawdziwym.

Celem cudu prawdziwego jest zawsze chwała Boża. Tymczasem w zjawiskach spirytystycznych o chwale Bożej nietylko niema mowy, ale przeciwnie jest mniej lub więcej wyraźna obraza Bożego Majestatu przez niewiarę i rozpustę... a nieraz i samobójstwo... Pożytku z nich nie odnosi nikt: ani pojedyńczy ludzie, ani społeczeństwo, ani nauka, sztuka, a szkody jest bardzo wiele. Zły owoc pochodzić może jedynie z drzewa złego.

Przytem P. Bóg działa cuda, kiedy Sam chce, nie kiedy tego chcą ludzie, a tu zjawiska spirytystyczne powtarzają się na skinienie aranżerów, w dni przez nich oznaczone, o pewnych godzinach, zupełnie tak, jak przedstawienia teatralne lub koncerty.

Przytem głośniejsi spirytyści utrzymują, że na każde pytanie otrzymać mogą od duchów odpowiedzi z każdej dziedziny: religii, obyczajów, nauk przyrodniczych lub inne wiadomości.

Otóż powiadam, że tego rodzaju nauczanie ludzi żyjących nie odpowiada warunkom bytu ani naszego, ani umarłych:

Nie odpowiada warunkom bytu naszego, bo jest niezgodnem ze zwykłym porządkiem rzeczy i prawami, kierującemi rozwojem normalnym wiedzy ludzkiej. To też rezultatem spirytyzmu jest chaos, zamieszanie pojęć i niepewność.

Tak w dziedzinie wiedzy czysto ludzkiej. Cóż dopiero, gdy chodzi o religię i kwestye z nią w związku stojące. Pięknaby to była rzecz, gdybyśmy przekonania swe religijne mieli stosować do tego, co we śnie lub na jawie objawią nam duchy! Tą drogą idąc, musielibyśmy prędko zrezygnować nietylko z religii, ale i ze zdrowego rozsądku. Kto z filozofią spirytystyczną jest trochę obeznany, ten wie, że to nie przesada.

Nie odpowiada takie nauczanie warunkom bytu umarłych, bo z nimi pogodzić się nie da. Dusze zmarłych mają co innego do roboty, jak nas ludzi nauczać. Nauczanie jest obowiązkiem i powołaniem ludzi żyjących: rodziców, nauczycieli, uczonych, różnego rodzaju fachowców; a w sprawach tyczących się wiary św. jest obowiązkiem widomych przedstawicieli Chrystusa Pana czyli Kościoła nauczającego, ale nie umarłych.

Stąd wynika, że jeżeliby zjawiska spirytystyczne pochodziły rzeczywiście od dusz zmarłych, P. Bóg dopomagałby im do mieszania się

nie w swoje sprawy. A tego bez bluźnierstwa nie można pomyśleć.

Dlatego mało która religia fałszywa jest z duchem wiary Chrystusowej tak niezgodna, jak właśnie filozofia spirytystyczna.

* * *

Ze względu tedy na warunki bytu dusz zmarłych, na środki będące w ich rozporządzeniu, na ich wiadomości, na porządek ustanowiony przez Opatrzność, na rozwój religijny, umysłowy i nawet materyalny świata: jest rzeczą oczywistą, że dusze zmarłych udzielać się ludziom mogą tylko w sposób cudowny: stąd nie mogą być przyczyną zjawisk, o których mowa.

* * *

Dajmy tedy pokój nieboszczykom i idźmy dalej.

Ponieważ przyczyną zjawisk spirytystycznych nie mogą być ani siły materyalne przyrody martwej ani dusze zmarłych: więc mogą nią być tylko dobrzy albo źli aniołowie, dobre albo złe duchy.

Co się tyczy aniołów, czyli duchów dobrych, jest rzeczą jasną, że i oni tą przyczyną nie są. Większa część bowiem tych zjawisk spirytystycznych jest, jak widzieliśmy, tego rodzaju, że z ich charakterem, godnością,

świętością i zadaniem stoją w zupełnej sprzeczności.

Przecież, w czasie spirytystycznych posiedzeń tak zw. media duchom rozkazują, duchy na każde zawołanie im służą, spełniają zlecenia, dają odpowiedzi, zjawiają się, znikają. Prawda, czasem pokazują im także pazury, bywają kapryśne i złośliwe, ale zazwyczaj są potulne, usłużne i posłuszne.

Otóż takie służalstwo nizkie ze strony Aniołów, duchów wspaniałych, wielkich panów i książąt niebieskich to — nonsens.

A teraz weźmy w dodatku sposób, w jaki te duchy spirytystom służą!

Pełnienie najdokładniejsze woli Bożej, Jego poleceń — to pokarm Aniołów. Ile razy występują w świecie, działają wedle wskazówek Boga na pożytek dusz ludzkich, a więc zawsze i wszędzie godnie, święcie. Tymczasem duchy, o których mówimy, zachowują się po błazeńsku, straszą, oszukują, kłamią, do rozpusty i niewiary zachęcają.

Ostatecznie tedy przyczyną zjawisk spirytystycznych nie są także i dobrzy Aniołowie.

Więc kto?

Jeżeli przyczyną zjawisk spirytystycznych nie jest siła materyalna, ani dusze zmarłych, ani Aniołowie, więc chyba tylko szatan.

Tak, szatan, ów kłamca od początku, — on jest tą przyczyną. To też, gdybyśmy ża-

dnych innych dowodów nie mieli, że złe duchy istnieją, spirytyzm dostarczyłby ich nam więcej niż potrzeba.

Gdy widzimy dym, wiemy, że w pobliżu pali się ogień. W spirytyźmie mamy działanie widoczne istoty rozumnej, a więc duchowej, a przytem złej i przewrotnej: — więc mamy dowód oczywisty, że są duchy złe.

## List VII.

# Magia czarna.

Magia czarna czyli czarnoksięstwo. — Spirytyści o spirytyźmie. — »Spirytyzm to — bajki.« — »Co w tych zjawiskach jest prawdziwego, da się wytłomaczyć siłami przyrody.« — Co do niektórych zjawisk nie może zachodzić żadna wątpliwość. — »Przy spirytyźmie dzieją się nawet nawrócenia.«

Naturalnie, naturalnie! Spodziewałem się tego, mój drogi! Zasypujesz mię pytaniami i trudnościami.

Tylko powoli! Spirytyzm, — to kwestya zawiła, której w jednym liście niepodobna było wyczerpać tak, żeby żadnych nie pozostawało wątpliwości. Idźmy tedy dalej.

* * *

Postawiwszy raz hypotezę, że przyczyną zjawisk, jak kto chce »magnetycznych« czy »spirytystycznych« — są złe duchy, nienawidzące człowieka, szukające jego szkody, mogące mu się udzielać — wszystko się wyjaśnia i tłumaczy.

»Z owoców ich poznacie je.«

Bo jakie to są te owoce spirytyzmu? Jakie jego skutki? Oto pierwszym i najważniejszym jest podkopywanie wiary.

Fakt to znany. Wprawdzie stoliki gadające tu i owdzie mówią o Aniołach, duchy, przez nie przemawiające, podają się za świętych, zachęcają do doskonalenia się, cnoty; ale jeszcze częściej zachęcają do złego, powstają przeciwko tajemnicom wiary św., Sakramentom, Papiestwu, a już stale, systematycznie przeczą istnieniu piekła, nieba, a szczególnie złych duchów, przytem podają w wątpliwość cuda, stawiając je na równi ze zjawiskami spirytystycznemi..

Tymczasem pomiędzy cudami a temi zjawiskami zachodzi różnica wielka, istotna. W spirytyźmie dużo słów, hałasu, szarlataneryi a w rezultacie treści mało, — u cudotwórcy przeciwnie słów mało, a za to są fakta; spirytyzm wycieńcza, sprowadza choroby[1]) a nawet śmierć przedwczesną, wtedy, gdy cuda wzmacniają, leczą i do życia wracają, to też między uzdrowieniem spirytystycznem a cudownem jakaż ogromna zachodzi różnica! Spirytysta w najlepszym razie podaje choremu odpowiednie lekarstwo, gdy cudotwórca bez lekarstwa daje mu zdrowie.

---

[1]) Sam Allan Kardec wyznaje, że obcowanie z duchami naraża wielu na silne wstrząśnienie nerwów, które dochodzi czasami do obłąkania... a prawda każe dodać i do prawdziwego opętania. Bywało i to. Ale o tem się milczy.

Słowo spirytysty samo przez się nie znaczy nic, nie działa nic, dlatego, że do osięgnięcia swego celu używa on pewnych, najczęściej tajemniczych środków, — a cudotwórca i bez niczego osięgnąć może to, czego pragnie. Zjawiska spirytystyczne mają pozór cudów ale cudami nie są. Daleko im do tego.

Szatan małpuje P. Boga, ale nie może Mu dorównać. Przekonali się o tem czarnoksiężnicy egipscy, kiedy wobec Faraona usiłowali dorównać Mojżeszowi przez zjawiska nadzwyczajne, do jego cudów podobne. I wyszło wobec prawdziwych cudów Mojżesza, coś tak marnego, jak płomyk błędny wobec promieni zwrotnikowego słońca, świecącego w południe.

Nie! spirytyzmowi do cudów daleko. Pomyślmy jakby to wyglądało, gdyby spirytysta który poszedł na cmentarz i, wezwawszy choćby wszystkich dyabłów, albo choćby wszystkie dusze najsławniejszych umarłych, jak Platona, Arystotelesa, Marka Aureliusza, Napoleona itd., — chciał spróbować wskrzesić umarłego, będącego już w rozkładzie!

Zły duch może stosować prawa natury, ludziom nie znane, i wywoływać zjawiska nadzwyczajne, ale nie może powstrzymać koniecznego ich działania, jak w tym naprzykład wypadku; bo naturalnym porządkiem rzeczy dusza ludzka z ciałem się łączy jedynie w łonie matki. Po za tem jest to niepodobieństwem dla każdego stworzenia, a tem samem i dla szatana. Szatan wskrzesić umarłego nie potrafi. — To też wskrze-

szenia umarłych między zjawiskami spirytystycznemi nie spotykamy nigdy. Tego nawet i nie próbują.

Otóż z tych cudów pozornych wynika tylko to, że spirytyzm jest bardzo szkodliwy dla religii i wiary św., a przedewszystkiem dla dobrych obyczajów. Na posiedzeniach spirytystycznych bowiem rzadko się obywa bez nadużyć, a częściej, niż się zwykle sądzi, dochodzi nawet do orgii, o których lepiej zamilczeć.

* * *

Może kto chce wiedzieć, co spirytyści sami o sobie sądzą.

Oto Dupotet, ich znakomitość, wyznaje otwarcie, że »Spirytyzm jest dawnem, w szaty nowoczesne przybranem czarnoksięstwem. Z początku sądziłem inaczej. Patrzałem, a nie widziałem, dlatego, że jak tylu innych magnetyzerów, zamykałem oczy, aby nie patrzały i nie widziały.«

A Cahenet, inna ich znamienitość powiada: »Przyczyną tych zjawisk jest zły duch, nie kto inny. Spirytyzm — to nie wynalazek czasów naszych, ale to starożytność unowożytniona, oczyszczona z mistycznej tajemniczości: a więc nie prowadząca, jak tamta, do przesądów, bo oświecona postępem cywilizacyi i rozwojem nauk pozytywnych«.

»Starożytność« czyli poprostu i jasno: pogaństwo, panujące 2000 lat temu daleko i szeroko na świecie, zanim światło Ewangelii ciemności jego rozproszyło, — pogaństwo, wciska-

jące się nazad tam, gdzie to światło słabnąć poczęło, — pogaństwo, przypisujące otwarcie złym duchom zjawiska, które dzisiejsi jego przedstawiciele dla zachowania pozorów kładą na karb dusz umarłych.

Nie dziwmy się tedy, że Kościół św. stanowczo i bezwzględnie spirytyzm odrzuca, potępia go i zakazuje[1]).

Musiał tak czynić, musiał zabronić zabawy z dyabłem. Tak — zabawy z dyabłem!..

Wyobraźmy sobie, że mamy przed sobą człowieka, będącego tak okrutnym, jak Neron, Henryk VIII lub podobni im ludzie — tygrysy, — że jest przebiegłym i chytrym, jak Macchiavel a zepsutym do szpiku kości jak Heliogabal i Kaligula, ambitnym jak Cezar albo jak Napoleon, gotowym do poświęcenia milionów ludzkich egzystencyi dla swej ambicyi — w rozpuście i cyniźmie wyrównującym najwyuzdańszym i najdzikszym zwierzętom: jednem słowem człowieka, mającego na sumieniu niezliczone gwałty, morderstwa, krzywdy, zbrodnie, występki — gotowego odważyć się na wszystko a w dodatku nienawidzącego nas z całego serca: i zastanówmy się, czy z takim człowiekiem chcielibyśmy wchodzić w bliższe stosunki? do niego się zbliżyć? i z nim się zabawić? Co?

---

[1]) Dekret z 2 kwietnia 1864 zakazuje czytania książek spirytystycznych, bawienia się w stoliki kręcące: wogóle wszelkiego komunikowania się z duchami, — zabrania nawet uczestniczenia w seansach, choćby tylko biernie, z ciekawości.

Nie?. . Obawialibyśmy się, aby nas nie podszedł, nie oszukał, nie zgubił?

Otóż od takiego człowieka gorszym, okrutniejszym, dzikszym, potworniejszym, bezwzględniejszym, przewrotniejszym, a bardziej na nas zawziętym jest szatan... ten, którego Pismo św. porównuje do zgłodniałego lwa, krążącego koło nas i szukającego sposobów, aby nas pożreć.

I z nim mamy się bawić? Jego o radę pytać? Czyż nie pamiętamy, co przez usta trojańskiego wodza powiada Wergiliusz o wrogach jego ojczyzny.

Timeo Danaos et dona ferentes?

(Obawiam się Greków nawet, gdy ślą mi dary.)

Otóż bójmy się i my szatana i jego w spirytystycznych posiedzeniach nie szukajmy. On znajdzie nas i bez nich w chwili pokusy. Wtedy go przyjmijmy, ale jako nieprzyjaciela. Wtedy z nim walczmy, ale się z nim nie bawmy nigdy.

* * *

»Szatan, przyczyną zjawisk spirytystycznych! Co za zacofany punkt wyjścia! Możnaby tak mówić, gdyby duchy wogóle istniały. Tymczasem materya tylko i siła — to jedynie czynniki rzeczywiste w świecie. Wszystko inne — furda.«

»Na świecie żadnych duchów niema, więc niema i duchów złych. Dajmy im pokój i szu-

kajmy przyczyny tych zjawisk, gdzie je znaleść można t. j. w łatwowierności jednych a szalbierstwie drugich.«

No proszę! Wykręt ten materyalistów, jak widzieliśmy wyżej, dla wykształconego i myślącego człowieka nie wystarcza. Mamy bowiem więcej niż potrzeba świadectw poważnych, w najwyższym stopniu wiarogodnych, stwierdzających tych zjawisk rzeczywistość. Dlatego, my ludzie pozytywnie myślący, nie mamy prawa uważać ich za oszukaństwo.

Nie dziwimy się zresztą materyalistom, że mówią inaczej. Oni bowiem sami siebie do tego zmuszają przez swe niczem nieuzasadnione założenie. Ponieważ za pomocą sił czysto materyalnych wytłomaczyć tych zjawisk nie mogą, a za pomocą sił duchowych nie chcą, więc nic im nie pozostaje jak trzymać się znanej metody i przeczyć, przeczyć faktom.

Cudów mieć nie chcą: więc cudów niema. P. Boga mieć nie chcą: więc P. Boga niema; wolnej woli a szczególnie odpowiedzialności za nią mieć nie chcą, więc jej niema. Znana to piosenka. Zjawisk spirytystycznych, tych pewnych, najautentyczniej stwierdzonych, o których mówimy, mieć nie chcą: więc ich znowu niema. Raz bowiem przyjąwszy ich rzeczywistość i nie mogąc ich przez siły samej materyi wytłomaczyć, musieliby uznać przyczynę inną, istniejącą poza światem materyi widzilanej, czyli uznać świat duchów. A tego znów nie chcą.

Konieczność tego wniosku jest tak nagląca, że wielu materyalistów przez spirytyzm doszło do wyrzeczenia się swych monistycznych poglądów i poczęło wierzyć w istnienie duchów.

Owszem, zdaje się, że Opatrzność Boża pozwala na spirytystyczne zjawiska, aby ludzie, którzy w istnienie duchów dobrych a przedewszystkiem w istnienie P. Boga, tego Ducha Najlepszego wierzyć nie chcą — byli zmuszeni uwierzyć w istnienie przynajmniej duchów złych. Źle na tem wychodzą, prawda: ale służą za przestrogę innym a tego chce P. Bóg.

* * *

— Żadnych duchów niema, a więc niema i duchów złych!

— A to dlaczego?.

— Dlatego, że według nauki nowoczesnej, oprócz materyi i siły nie istnieje nic i nic istnieć nie może.

— Szanujemy postęp, ale prawdziwy; przyjmujemy naukowe postulaty, ale udowodnione. Otóż proszę panów wskazać nam na czem opiera się pewnik, że oprócz materyi i siły nic nie istnieje i nic istnieć nie może?

— Opiera się... opiera... na tem... że my ludzie nauki znamy tylko materyę i siłę.

— A tak! Wy panowie nauki uznajecie tylko materyę i siłę z nią związaną. Macie zapewne na to i dowody. Raczcie nam tedy wskazać na czem polegają? jak wygląda metoda, przez którą dochodzicie do wniosku, że

po za materyą nie istnieje nic, że istot niemateryalnych niema, — niema duchów?

— Co? panowie milczycie? Otóż my wam pomożemy. Panowie użyć do tego możecie albo metody eksperymentalnej czyli doświadczenia albo metody metafizycznej czyli rozumowania. A której panowie używacie? której używaliście?

Milczycie?

Panowie! grajmy w karty otwarte!

Po co głowy sobie i innym zawracać? Wy ani jednej ani drugiej nie używacie, wy mówicie na wiatr, bo mówicie bez podstawy. Stąd jeżeli kogo o szalbierstwo i oszukaństwo obwiniać wypada, to przedewszystkiem was, którzy materyalistyczne wasze utopie podajecie za postulat nauki, postępu, oświaty i nie wiem już czego.

Stąd słusznie powiedział o was słynny fizyolog Claude Bernard: »W oczach naszych, oczach ludzi nauki, pozytywizm i naturalizm — to szaleństwo, które utrzymać się nie da«.

I tak jest! Bo najpierw do zasad antyspirytystycznych nie doszliście, panowie, drogą doświadczenia. Jakież to u kaduka mogło być doświadczenie? Gdzie? Czy może w waszych laboratoryach? Ależ te laboratorya do świata materyi należą razem z wami i z wszystkiem, nad czem doświadczenia wasze robicie. Albo może nie? A w takim razie, jakimże sposobem poza świat materyi się wydostajecie, aby po za nim robić

doświadczenia, że nie istnieje tam nic? Doświadczenie można robić z tem, co jest; można stwierdzić, że w danej kombinacyi braknie jakiegoś składnika materyalnego, ale eksperymentować nad tem, czego niema?... To chyba żarty, panowie.

Więc waszego materyalizmu drogą doświadczenia nie potrafiliście i nie potraficie udowodnić. To my wam powiadamy. Inaczej ślepy od urodzenia potrafi udowodnić, że niema światła, dlatego, że w świecie swego doświadczenia on się z niem nie spotyka.

A potem nie dochodzicie do tego drogą rozumowania. Czy wy może rozumujecie? Wy, materyaliści?! Bylibyśmy ciekawi jak? Bo my rozumujemy w tym samym kierunku i za pomocą rozumowania, prawda, logicznego, a opartego na żelaznem prawie przyczynowości, dochodzimy do wniosku pewnego, jak »dwa razy dwa cztery«, że świat materyalny ma swoją przyczynę i to rozumną, istniejącą oczywiście poza nim i przed nim i nie mogącą być materyalną, jak on, lecz będącą Duchem osobowym, najdoskonalszym i tę przyczynę pierwszą my nazywamy Bogiem. Ta przyczyna jest, musi być. Więc P. Bóg jest, musi być: — więc jest i musi być poza materyą Duch czysty, nieskończenie doskonały, wieczny, wszechmocny: – więc w świecie nie jest tylko jeden pierwiastek, jak panowie chcecie, ale dwa, nie monizm, jak chce Haeckel, ale dualizm, jak chce wiara.

Rozumiecie panowie.

A teraz tą samą drogą rozumujmy dalej. Skoro jest Bóg, Duch nieskończony, mogą być także i inne podobne do Niego duchy, — duchy skończone w swych przymiotach, a więc mogące się doskonalić i psuć. A jeżeli być mogą, to P. Bóg może je stworzyć, a jeżeli je stworzył, to mogą się popsuć i stać złemi, popsutemi duchami.

Więc duchy złe mogą być.

* * *

Ale czy rzeczywiście są i to w warunkach takich, że w świecie materyalnym mogą czynnie występować? To znowu inna kwestya.

Z góry przesądzić ją byłoby głupstwem. Tu decyduje doświadczenie, ale doświadczenie innego rodzaju niż naukowe — doświadczenie historyczne, czyli świadectwo wiarogodne, stwierdzające, jako zjawisko dziejowe, fakt istnienia duchów złych, działających w świecie widomym.

Otóż wszystkie narody, od czasów najdawniejszych aż do tych, co dziś żyją, podają sobie zgodnie fakt, że wpływ duchów złych objawiał się i objawia tak widocznie, tak namacalnie ze szkodą pojedyńczych ludzi i całych społeczeństw, że dla człowieka myślącego nie może ulegać żadnej wątpliwości, że one są.

Na pierwszem miejscu powołać się musimy oczywiście na świadectwo zabytku historycznego najstarszego i najpoważniejszego, jakim jest

Pismo św. Nowego i Starego Testamentu. Otóż złe duchy występują w nim prawie na każdej stronnicy a zawsze jako czynnik pozytywny i człowiekowi szkodliwy. Zaraz na wstępie mamy fakt upadku pierwszych rodziców za sprawą ducha złego, mamy magów egipskich z ich fałszywemi cudami, mamy wzmiànkę o gusłach, czarach, urokach, opętanych: wszystko jako o faktach stwierdzonych, pewnych, niemal codziennych.

Do świadectwa Pisma św. przyłączają się inne, mniej święte, ale przez swą powszechność i zgodność zarówno wiarogodne i pewne: mianowicie świadectwa wszystkich innych religii, zresztą fałszywych, — zakonodawców, wielu znakomitych lekarzy, prawników i innych sławnych a uczonych ludzi, którzy to samo utrzymują.

To wszystko razem wziąwszy, widzimy, że mało który fakt historyczny jest tak uzasadniony, mało które zjawisko społeczne tak zakorzenione, mało które przekonanie tak powszechnie przyjęte, jak właśnie fakt, zjawisko, przekonanie o istnieniu duchów w ogólności, a w szczególności duchów złych.

* * *

Tyle co do faktu istnienia duchów, opartego na samym tylko r o z u m i e.

Wiara święta tego faktu nie tylko nie zaprzecza, ale go wynosi do wysokości jednego

ze swych podstawowych dogmatów. Cała bowiem ekonomia zbawcza przed Chrystusem Panem i po Nim, synagoga i Kościół, Zakon i Ewangelia, Stary i Nowy Testament — opierają się na wierze w upadek pierwszego człowieka i złączonej z nim nauce o grzechu pierworodnym, potrzebie Zbawiciela itd. Otóż odrzuciwszy istnienie szatana i duchów złych, musielibyśmy odrzucić także i te prawdy, a z niemi wszystko co wiara św. zawiera.

Więc dla każdego kto umie i chce myśleć, pozostanie prawdą niezbitą, stwierdzoną przez rozum i wiarę, że są duchy złe, które w świecie widzialnym występować mogą czynnie i rzeczywiście występują.

W jaki sposób się to dzieje? — prawda, nie wiemy; ale gdy chodzi o wyjaśnienie spirytyzmu, samo stwierdzenie faktu wystarcza. Skoro w tylu innych wypadkach złe duchy mogły występować czynnie, więc i w tym wypadku mogą, czemu nie? Contra experimentum nullum argumentum.

Stąd jeżeli z jednej strony pomiędzy sumą zjawisk, składających się na świat materyi, znajdować się mogą takie, których przyczyn szukać musimy w duchach złych, a z drugiej pewnych praktyk spirytystycznych wytłumaczyć sobie nie możemy inaczej, jak tylko za pomocą tychże samych duchów, to czemuż tego uczynićbyśmy nie mieli? Przyczyną tych zjawisk nie mogą być siły samej materyi, bo stwier-

dzamy w niej działanie jakiegoś rozumu: więc dlaczegożby nie mógł to być rozum złych duchów, skoro działanie wszelkiej innej przyczyny rozumnej musi być wykluczone?

* * *

»Ale czyż koniecznie aż do tego trzeba się uciekać, aby spirytyzm wyjaśnić? Czyż nauka wypowiedziała swoje ostatnie słowo? Czyż istnieć nie może jakaś siła ukryta przyrody, coś w rodzaju promieni Röntgena, których tajemnicę odkryje nam kiedy jakiś przyszły geniusz lub... przypadek. Tą siłą nie może być magnetyzm Mesmera — na to zgoda, ani inne siły przyrody nam znane, ale może być siła nieznana. Więc po co wciągać tu w grę koniecznie szatana?«

Aha! Do tegośmy doszli.

Nie, nauka nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego słowa, ale cóż z tego? co nas to obchodzi? skoro powiadamy, że w tych zjawiskach żadna nawet nieznana siła przyrody nie może wchodzić w grę dlatego, że mamy do czynienia z siłami, które znamy.

Czyż panowie nie znacie n. p. prawa, że żadna siła fizyczna nie jest zależna od samej woli człowieka. Spróbójcie panowie przyłożyć rękę do ognia i chciejcie się nie poparzyć, choćby najenergiczniej, czyż to co pomoże? albo wejdźcie na jezioro i chciejcie nie pójść na dno...

Otóż wszystkie zjawiska spirytystyczne, o których mówiliśmy wyżej, są tak dalece zależne od woli prestydygitatora i spirytysty, że w tych samych warunkach okazują się lub znikają stósownie do tego, czy on zechce lub nie zechce je wywoływać.

Podobnież znacie, panowie, także inne prawo fizyczne, że działanie sił w przyrodzie nie może być przerwane przez sam akt woli człowieka.

Proszę rzucić kamyk do góry i spróbować chcieć, żeby się w biegu zatrzymał lub spadł wcześniej, niż powinien. Czy to co pomoże? — Otóż spirytyści tak robią, zawieszając, jak twierdzą, siłą swej woli działanie sił przyrodzonych i to nieraz na godzin kilka.

Dalej może, panowie, znacie i to prawo, że żadna siła materyalna nie może być przyczyną zjawisk duchowych, ponieważ te ostatnie z natury rzeczy należą do świata innego, — do świata zjawisk, wymagających rozumu. Między skutkiem a przyczyną musi być proporcya. A jakaż tu może być proporcya między myślą, objawiającą się w tych zjawiskach a materyą, mającą być ich rzekomą przyczyną?

To też wszystkie Akademie Umiejętności świata całego, uważajcie, panowie, dobrze: wszystkie orzekły jednomyślnie, że »zjawiska spirytystyczne, o ile są nadzwyczajne a pra-

wdziwe, przez znane prawa fizyczne wytłumaczyć się nie dadzą«.

* * *

»Jakto nie dadzą? Więc się nie da wytłumaczyć n. p. katalipsya i inne podobne objawy fizyologiczne? Po co w nich przynajmniej uciekać się do szatana, kiedy wytłomaczyć je można w sposób naturalny.«

Gdyby o te objawy same przez się chodziło, mniejsza o to, ale ponieważ występują w związku z innymi, których w ten sposób wytłomaczyć nie można, — ponieważ mogą i one także pochodzić z przyczyn, stojących po za światem materyi: więc utrzymujemy, że w tych okolicznościach tak jest, t. j. kiedy te zjawiska występują w ścisłym związku z innemi zjawiskami spirytystycznemi, pochodzą z tego samego źródła co i one. A tem źródłem, jak wiemy, są duchy złe.

Wogóle mówiąc, każde zjawisko nadzwyczajne, którego wywołać nie możemy przez znane nam siły przyrody widzialnej, pochodzi tem samem z przyczyn po za nią stojących; a nie przeciwnie. Owszem możemy z góry nawet powiedzieć, że przyczyna zjawiska, zresztą nam znanego, znajduje się w danym wypadku także po za tym światem, ile razy towarzyszące jej inne, przez siły z po za świata materyalnego wytłómaczone być tylko mogą.

Jak jest w danym wypadku, nie wiemy. Przewidzieć nam nie podobno, co wywołuje zja-

wisko? Czy same siły fizyczne? człowiek lub też duchy złe? Z góry nie wiemy. Może tak być, może tak i nie być. Aby wydać sąd ostateczny trzeba zbadać okoliczności.

* * *

Naturalnie każdy zapyta, na czem sąd ten ma się opierać?

Powiadam: Na zbadaniu okoliczności danego zjawiska, tj. sposobu, w jaki się wywołuje i celu, do którego jest skierowane. Widzę n. p. człowieka, uśpionego snem kataliptycznym, albo chodzącego, jak lunatyk po dachu, albo inne zjawisko, skądinąd mi znane. Oczywista rzecz, że na razie tłomaczyć je będę za pomocą zwykłych sił naturalnych, — o ile się da.

Ale gdy spostrzegę, że z niem łączą się w związku przyczynowym inne, — że staje się ono pierwszem ogniwem całego łańcucha zjawisk, znajdujących się na pewno po za zwykłą sferą sił fizycznych, jestem zmuszony zmienić swój sąd i wyprowadzić wniosek, że cały łańcuch: a więc nie tylko ogniwa dalsze, ale przedewszystkiem pierwsze mają swą przyczynę poza światem widomym i jego materyalnymi czynnikami. Wszystkie bowiem razem wzięte — to kółka tej samej maszyny, część składowa tego samego budynku: a jeśli tak, to i przyczyna ich musi być ta sama.

* * *

»Coby w spirytyźmie robił szatan? Czyż on taki głupi? Zabawiając ludzi spirytyzmem onby sobie samemu szkodził, bo przecież przez spirytyzm wiele osób się nawraca a nawet nie jeden materyalista wobec oczywistości zjawisk spirytystycznych odzyskuje wiarę w istnienie duchów, duszy i jej nieśmiertelność.«

Tylko tych nawróceń nie bierzmy na seryo! Szatan wie co robi. Już on poprzednio dobrze się obliczył ze skutkami spirytyzmu i wiedział, że tą drogą krzywda mu się nie stanie. Nawrócenie spirytystyczne to jego czysty zysk. Gdyby z posiedzeń spirytystycznych spieszyli ludzie do konfesyonału, wyrzekali grzechu i rozpoczynali życie cnotliwe, toby on robił głupstwo; ale kiedy z materyalistów stają się spirytystami, nie wiele on na tem traci. Bo proszę, co może mu szkodzić, że ten, który przedtem nie wierzył w nic, teraz wierzy w to, co na wiarę nie zasługuje? — on przecie go w szponach swych ma tak czy tak. A o to mu ostatecznie tylko chodzi, żeby człowieka mieć i prowadzić do piekła. Czy to się stanie drogą spirytyzmu lub materyalizmu: to mu obojętne. Oczywiście!

Zresztą, gdyby nawet w nadzwyczajnym jakim wypadku spirytyzm był zewnętrzną sposobnością dla kogoś do opamiętania się i prawdziwego nawrócenia, szatan tąż samą drogą potrafi nieprzewidzianą, bo przypadkową, stratę stokrotnie sobie wynagrodzić, odbijając ją na innych przez spirytyzm w złem umocnionych

Owszem właśnie z powodu takich nawróceń jest spirytyzm niebezpieczny. Gdyby zrzucił z siebie maskę i objawił się światu otwarcie jako narzędzie złego ducha, używane przezeń do wyzyskiwania ludzkiej łatwowierności, — każdy rozsądny i uczciwy człowiek od niegoby się ze wstrętem odwrócił; ale że od czasu do czasu maskuje się przynętą religijności i pewną okrasą etyki, rozpraszają się uprzedzenia nieostrożnych i z wielką szkodą dusz ludzkich tem łatwiej się on szerzy i utrzymuje.

## List VIII.

# O hypnotyźmie.

Hypnotyzm jako gałąź wiedzy przyrodniczej. — Sen kataleptyczny. — Objawy w obiegu krwi. — Spotęgowana energia zmysłów. — Wpływ suggestyi na wyobraźnię. — Pamięć w hypnozie. — Umysł. — Wola. — Suggestya. — Hypnotysta i hypnotyzator. — Dwa warunki, aby suggestya była skuteczną. — Zjawiska wątpliwe hypnotyzmu. — Przyczyna zjawisk hypnotycznych. — O. Coconnier i O. Franco. — Skutki hypnotyzmu. — Jak się ma katolik zachować wobec hypnotyzmu? — Dr. Lapponi. — »Po co te ostrożności?« — »Ale ja z szatanem nie chcę mieć nic wspólnego!« — Uzdrowienie cudowne i hypnotyczne. — Extaza i hypnoza. — Asceza i halucynacya.

Wszystko na tym świecie poczyna z czasem być nudne... — począł nim być i spirytyzm. Ścisłe nad nim badania wykazały albo szalbierstwo, albo czarną magię, przewrotną i szkodliwą. Rewelacye rzekome dusz zmarłych, podobne jak krople wody do siebie i wracające się w koło, przestały zaciekawiać; nadzieje osiągnięcia tą drogą zdobyczy nowych dla wiedzy zawiodły na całej linii: więc spirytyzm stracił na swej aktualności. Trzeba było w dziedzinie okkultyzmu wynaleść coś nowego.

I wynaleziono... hypnotyzm.

W poprzednich listach zlekka naszkicowany przezemnie obraz spirytyzmu byłby niedokładny, gdybym go nie uzupełnił kilku słowami o hypnotyźmie.

Hypnotyzm: — co to jest? jakie jego objawy? skutki? czy dozwolony i o ile?

* * *

Hypnotyzm od spirytyzmu różni się tem, że jego zjawiska są tylko dwojakiej natury: fizyologiczne i psychiczne. Zjawisk mechanicznych, fizycznych i czysto duchowych nie zna. Przedmiotem zaś jego jest dusza ludzka i jej wewnętrzne życie.

Jak widzieliśmy pomiędzy zjawiskami spirytystycznemi są także fizyologiczne i psychiczne i to albo takie, które na pewno mogą być wywołane przez znane nam siły przyrody, albo też takie, co do których pochodzenia zachodzi wątpliwość.

Otóż te same prawie zjawiska powtarzają się w hypnotyźmie, to też o ile chodzi o zjawiska kategoryi pierwszej, można uważać hypnotyzm za gałąź wiedzy przyrodniczej, zajmującej się psychą człowieka i to w szczególności jej chorobliwymi objawami. Co innego zjawiska kategoryi drugiej.

Oczywiście zawsze jest i tu możliwe nadużycie sił przyrody zarówno przez człowieka (szalbierstwo) jak i przez złego ducha (magia czarna), jak to widzieliśmy w spirytyźmie.

Hypnotyzm nie stanowi w tem wyjątku, dlatego wymaga i on czujności przed szarlatanem i... szatanem.

* * *

Hypnotyzm od greckiego słowa: »hypnos«, sen — znaczy tyle co sen sztuczny, podobny do snu lunatycznego. Różnica zachodzi tylko w przyczynie i skutkach. Sen hypnotyczny da się wywołać w każdej chwili, we dnie i w nocy stosownie do woli hypnotyzera; — sen zaś lunatyczny przychodzi sam. Hypnoza oddziaływa na wolę tak silnie, że człowiek zahypnotyzowany zostaje pod wpływem jej i później na jawie; — u lunatyka tego niema. Lunatyk na pytania sobie zadane odpowiada, a zahypnotyzowany daje robić ze sobą, co zechce hypnotyzer, stając się w ręku jego narzędziem tak podatnem, że nie tylko w czasie hypnozy, ale przez suggestyę i potem wykonuje nieomylnie, co mu w niej zostało podsunięte.

Dla lepszej oryentacyi przejdźmy po kolei wszystkie zjawiska hypnotyczne zarówno te, które hypnoza może zdziałać na pewno w zmysłach, pamięci, umyśle i woli osoby zahypnotyzowanej, jak i te, których także na pewno zdziałać nie może, a potem zobaczmy, co między niemi jest wątpliwem, — co jedni podają za fakt, a inni odrzucają.

* * *

Pierwszym objawem hypnotyzmu, nie ulegającym żadnej wątpliwości jest sen sztuczny w różny sposób wywoływany.

W bliższe szczegóły wchodzić nie będę. To tylko powiem, że sen ten sprowadza na ciało uśpionej osoby tężyznę, podobną do tężyzny trupa, wskutek czego staje się ono nieczułem, zatrzymując jednak wszelkie, choćby najniewygodniejsze pozycye, w jakich je sen zaskoczy, albo które mu potem nada hypnotyzator.

Następnie nie ulega wątpliwości, że hypnoza ma wpływ na obieg krwi i działanie serca.

I tak np. Dr. Bourru zahypnotyzowanemu marynarzowi odsłonił ramię, końcem noża wypisał na niem swe imię i rozkazał, żeby o godzinie 4. w miejscach dotkniętych żelazem, poczęła się sączyć krew. I tak się rzeczywiście stało.

Podobnież prof. Farses oświadczył w hypnozie pewnej dziewczynie, że pod pachą ma oparzelizne, choć o tem nie było mowy. Nazajutrz rzeczywiście w wyznaczonem miejscu znać było silne poparzenie do tego stopnia, że inny lekarz, nie wtajemniczony w przebieg sprawy, urzędownie je stwierdził.

Albo taki fakt. Dr. Leboeuf, Belgijczyk, swemu pacyentowi uśpionemu na obu ramionach porobił tem samem rozpalonem żelazem dwie identyczne rany, a potem mu zasuggestyonował, że rana prawej ręki ma się prędzej

zagoić, niż lewej. I rzeczywiście pierwsza nie była bolesną i zagoiła się prędko, a druga goić się nie chciała. Dopiero nowa suggestya sprowadziła i jej wyleczenie.

* * *

Dalej nie ulega żadnej wątpliwości, że jak u lunatyków i w hypnozie zmysły nabierają bystrości i wrażliwości znacznie większej niż na jawie.

I tak, choć zahypnotyzowany ma oczy prawie zupełnie przymknięte, tak, że nadzwyczaj mało światła do nich dochodzi, jednak pismo najdrobniejsze potrafi czytać z daleka.

Tak samo i słuch jego się zaostrza: może on słyszeć dźwięki odległe; szmer ledwie dosłyszany, oczywiście, jeśli zostaje w związku z ideą, która go zajmuje.

Tak samo siła muszkułów u niego się powiększa tak, że kiedy chodzi o usunięcie przeszkody w wykonaniu rozkazu zdobyć się może na wysiłki herkuliczne nawet kobieta, z natury słaba i wycieńczona.

Wspomniałem wyżej, że we śnie kataleptycznym traci się czucie: otóż tak jest w chwili tężenia członków; w późniejszych jednak fazach hypnozy bywa przeciwnie. Zmysł dotyku nabyć może wrażliwości nadzwyczajnej. I tak Dr. Azam opowiada, że nad pacyentką swoją zahypnotyzowaną trzymał po kolei rękę i kawałek lodu w odległości 40 centymetrów. Mimo, że była ubrana, jak zwykle, skarżyła

się na przemian na gorąco i zimno, i odchylała w stronę przeciwną, usiłując usunąć się z wpływu przyczyny, wywołującej w niej to przykre wrażenie.

* *

Złudzenie zmysłów jest innym charakterystycznym objawem hypnozy. — Zahypnotyzowanemu można wytłomaczyć wszystko: np. że je owoce, jest żołnierzem, starą babą, nowonarodzonem dzieckiem i t. d.

»Pani G...., osobie inteligentnej, opowiada Dr. Brennheim, wrażliwej, ale zresztą mającej nerwy zdrowe, powiadam np., że słychać muzykę wojskową, żołnierze się zbliżają, wchodzą na salę... Ona to wszystko widzi i słyszy. Powiadam, że ten oto trębacz wywraca koziołki, tamten pijany zbliża się do jej łóżka... Ona przelękniona poczyna wołać Siostrę miłosierdzia. Zaręczam, że Siostra przybiegła i wyrzuciła intruza. Uspokaja się, bo to wszystko widzi, jakby na jawie. I choć jej potem po przebudzeniu mówię, że to była halucynacya, ona znowu uśpiona to wszystko bierze na seryo.«

Albo to. — Dr. Voisin zasuggestyonował pewnemu epileptykowi, że złoto go pali. I rzeczywiście ile razy mu potem na jawie podawano coś złotego, bronił się, cofał, a zmuszony wziąść je do ręki, dostawał na palcach oparzelizny. — Następnie tenże lekarz zasuggestyonował mu, że nie złoto ale srebro go pali.

Wtedy na jawie brał on bez trudności monety złote do ręki, a nie chciał dotykać się srebrnych, twierdząc, że go parzą. A kiedy dr. Voisin go do tego zmusił, znowu okazała się ręka zaczerwieniona, a potem oparzona.

* * *

Oto jedna serya zjawisk hypnotycznych pewnych. Ciekawemi są inne zjawiska natury wewnętrznej.

Najpierw wprost zdumiewającą jest u osób zahypnotyzowanych pamięć. Oto np. prosta dziewczyna poczyna w hypnozie recytować długi ustęp po łacinie. Obecni przyjść nie mogą do siebie ze zdziwienia. Gdzie i skąd się tego nauczyła? — Bada się sprawę i znajduje, że kilka lat przedtem ktoś ustęp wspomniany przedeklamował w pokoju, sąsiadującym ze sypialnią, gdzie ona leżała, złożona jakąś chorobą. — Słowa tedy obce, niezrozumiałe, utkwiły jej dziwnym sposobem w pamięci a dopiero hypnoza, je ożywiając, wyprowadziła na wierzch[1]).

Podobnież i umysł pracuje nieraz w hypnozie daleko intenzywniej niż w stanie nor-

---

[1]) Takie chwilowe zaostrzenie pamięci jest faktem zresztą znanym w patalogii i poza hypnozą. Podręczniki psychologii lekarskiej przytaczają między innemi fakt klasyczny terminatora masarskiego, który w czasie napadów szaleństwa recytował całemi ustępami »Phedre« Racina. — Stwierdzono, że był raz tylko na jej przedstawieniu i w stanie normalnym nie mógł powtórzyć ani jednego wiersza. (Lapponi.)

malnym. Pod tym względem hypnoza nie różni się od somnabulizmu. — Dr. Bremaud opowiada fakt, jaki się przytrafił jego krewnemu lunatykowi, gimnazyaście. Otóż w czasie napadu rozwiązał on zadanie trygonometryczne, którego na jawie ani dzień przedtem, ani nazajutrz po przebudzeniu rozwiązać nie mógł.

Ale najciekawsze i najdonioślejsze zjawiska hypnotyczne należą do dziedziny woli. Wola osoby zahypnotyzowanej staje się w hypnozie i po za nią tak niewolniczo zależną od hypnotyzera, albo hypnotysty[1]), że wykonuje jak najdokładniej, co w hypnozie jej podsunął, zasuggestyonował.

Siła suggestyi jest zdumiewająca. O. Franco był świadkiem, jak chłopcu dziewięcioletniemu

---

[1]) O. Coconnier odróżnia hypnotystę od hypnotyzera. Hypnotysta zajmuje się zjawiskami hypnotycznemi jako środkiem lekarskim, a hypnotyzator jako środkiem do zaspokajania ciekawości widzów i zapełnienia pustek swej kieszeni. Dla hypnotysty hypnoza — to objaw patologiczny, mogący usunąć pewne cierpienia nerwowe, dla hypnotyzatora — to rzemiosło i sposób utrzymania. U hypnotysty pewne zjawiska nie trafiają się nigdy: jak np. przepowiednie, jasnowidzenie, rozkazy na odległość; przeciwnie u hypnotyzera. To też hypnotysta ma swe ścisłe granice, których obserwacye jego nie przekraczają, aby wkroczyć w dziedzinę spirytyzmu; przeciwnie hypnotyzator. Dlatego też zjawiska hypnotyczne w laboratoryach hypnotysty mogą być tłómaczone przez same siły przyrody widomej, na seansach zaś hypnotyzatorów można często przypuszczać, — owszem nawet trzeba przypuścić równoczesne działanie tychże samych przyczyn wyższych, co w spirytyźmie czyli duchów złych.

rozkazano wziąść pistolet nabity i strzelić do matki rodzonej. Bez żadnego wahania zabrał się zaraz do wykonania rozkazu, pistolet wynalazł, zbliżył do matki i strzelił, oczywiście bez szkody, dlatego, że mu podsunięto pistolet wprawdzie nabity, ale tylko prochem. Niech hypnotyzator niesumienny osobie zahypnotyzowanej rozkaże o dniu i godzinie oznaczonej po przebudzeniu popełnić zbrodnię: kradzież, morderstwo, poddać się rozpuście, — albo zrobić coś nawet z widoczną swą szkodą, podpisać np. weksel, uczynić akt darowizny, albo sporządzić testament przeciwny swej woli itd. — to wszystko on niechybnie uczyni o godzinie wyznaczonej i to tak, że uczynek jego będzie miał pozory aktu zupełnie samodzielnego. I biedna ofiara hypnozy będzie jeszcze uczynku swego bronić, tłomaczyć go, nie zdając sobie sprawy, że podawane przez nią racye są oczywiście naciągane i nic nie znaczące. —

Tak samo może hypnotyzer rozkazać zahypnotyzowanemu zapomnieć o czemś, czego był świadkiem lub w czem brał udział, — nie widzieć kogoś, co przed nim stoi i t. d., i ten rzeczywiście nie będzie mógł sobie tego przypomnieć, nie będzie tej osoby widzieć. — Albo niech mu każe bronić zdania wprost przeciwnego temu, jakiego trzymał się dotychczas, i w tem się do niego zastosuje, będzie się trudził i wyszukiwał racyi dla uzasadnienia swych nowych przekonań. (Lapponi.)

* * *

Tu dodać trzeba, że suggestya się udaje pod dwoma tylko warunkami mianowicie:

1) że zahypnotyzowany suggestyę przyjmie. Trafia się bowiem, że hypnotysta podsuwa zahypnotyzowanemu coś tak sprzecznego z jego dotychczasowem usposobieniem wewnętrznem, tak odrażająco przedstawiającem się ożywionej jego wyobraźni, że bezwiednie, odruchowo nie przyjmie on rozkazu i go nie wykona;

2) że w pamięci osoby zahypnotyzowanej jest obraz odpowiadający suggestyi. Suggestya czynności, o której pojęcia nigdy nie miał, nie doprowadzi do niczego.

»Napróżno — powiada profesor Fares — nalegać będziemy na zahypnotyzowanego, aby zaśpiewał aryę, której nie słyszał nigdy; on tego nie uczyni. Tak samo nie okażą się na nim skutki oparzenia, jeśli nigdy przedtem na jawie nie był poparzony.«

Dr. Podjapolski wmówił zahypnotyzowanemu przez siebie włościanowi, że przykłada mu wizykatoryę, wskutek czego skóra się w tem miejscu zaczerwieni i zaogni. Stwierdzono lekkie wrażenie ciepła, ale skóra się nie zaczerwieniła, bo się pokazało, że mu jej jeszcze nigdy nie przykładano. Za to kiedy dr. P. mu ją raz na jawie przyłożył, a potem w hypnozie swój rozkaz powtórzył, skóra się zaczerwieniła i zaogniła.

Z tego widać, że w hypnozie wchodzi w grę wyobraźnia, opanowana przez hypnotystę

i w sposób tak decydujący oddziaływa na wolę zahypnotyzowanego, że go pozbawia najszlachetniejszego jej przymiotu, tj. wolności.

Mamy tu stan podobny do obłąkania, z tą różnicą, że u waryatów wolę paraliżuje wyobraźnia, wykolejona stanem anormalnym mózgu, a w hypnozie — dobrowolną abdykacyą na korzyść innego człowieka, w którego ręku staje się ślepem narzędziem do wszystkiego. W pewnych nielicznych wypadkach może hypnotysta użyć swej władzy na korzyść zahypnotyzowanego, ale ile razy może jej nadużyć? Liczne procesy są tego dowodem[1]).

Z tego samego widać, że pominąwszy kwestyę złych duchów, z hypnotyzmem niema co żartować.

Nie pojmuję ludzi, co mogą się z lekkiem sercem bawić, kładąc na kartę nie tylko swój majątek, ale nawet cześć, honor, duszę... w ręce pierwszego lepszego hypnotyzera, amatora czy szarlatana.

* * *

Co do zjawisk hypnotycznych wyżej wyliczonych nie może zachodzić najmniejsza wąt-

---

[1]) Swojego czasu był we Francyi słynnym proces Castellaniego, żebraka, kulawego kaleki. Nędznik ten udawał przytem głuchoniemego i obchodził kraj, prowadzony przez uczciwą, ale ubogą dziewczynę, którą wbrew jej woli hypnozą tak przykuł do siebie, że go opuścić nie mogła, mimo to, że rozstać się z nim koniecznie chciała. Dopiero kiedy ludzie poczciwi, dowiedziawszy się o tem, zamknęli ją i ukryli, zbrodnia wyszła na jaw.

pliwość. Wywołują ją zarówno hypnotyści-lekarze w swych klinikach jak i hypnotyzerzy na swych przedstawieniach.

Inaczej ma się rzecz ze zjawiskami następującemi.

Otóż jedni powiadają, że za pomocą hypnozy np. widzieć nie można przez ciała nie przezroczyste, przez mur, ciało ludzkie, mieć jasnowidzenia itd., — nie można utrzymać dyagnozy chorób wewnętrznych osoby trzeciej, odczuć transpozycyi zmysłów, t. j. że się widzi uszami a słyszy oczami i t. d., — nie można uśpić osoby nieobecnej, albo przelać jej myślą swój rozkaz bez żadnego zewnętrznego znaku, tak samo nie można odczytywać myśli, niczem na zewnątrz się nie zdradzających i t. d.

Inni zaś co do niektórych wyliczonych zjawisk powołują się na stwierdzone przez siebie fakta i powiadają, że można.

Więc co do tych faktów zachodzi wątpliwość.

W tem wszystkiem jest dla nas to wielkiej doniosłości, że większość lekarzy-hypnotystów, szczególnie słynnych reprezentantów szkoły paryskiej Charcota i Nansejskiej dr. Bernheima, o tych ostatnich zjawiskach stanowczo nie chce słyszeć, powołując się na swe doświadczenia.

Podaje się np. zahypnotyzowanemu zegarek po za osobą, której on nie widzi, bo tak mu w poprzednim śnie hypnotycznym drogą suggestyi negatywnej wmówił hypnotyzujący

lekarz. Pytają go: »Która godzina?« — »Jedenasta.« I rzeczywiście zegarek wskazuje na jedenastą. Myślałby kto, że on patrzy przez ciało ludzkie i widzi. Tymczasem on tylko usłyszał przed chwilą, jak na ratuszu biła jedenasta i tem się w swej odpowiedzi kierował, a nie odczytywaniem godziny z zegarka. Dowodzi tego, że zapytany, jak wygląda łańcuszek na którym zegarek wisi, nic powiedzieć nie umie, przeciera oczy i tłómaczy się, że nie widzi, bo pomiędzy »nim a zegarkiem jest jakaś mgła«.

Nie trzeba zapominać, że zmysły zahypnotyzowanej osoby, skoro w pewnym kierunku ich uwaga została zwrócona, spostrzegają to, czego bez niej spostrzedzby nie mogły. To też w zeznaniach, tyczących się tego, co widzą lub słyszą, łatwo w błąd wprowadzić mogą.

Podobnież wątpliwym jest fakt rozkazów myślnych. Na fakta rzekomo stwierdzone powołuje się Ochorowicz, Gibert i Pierre, ale powoływał się także dr. Luys, któremu jednak wykazano, że w swych obserwacyach nie był dokładnym. Tak samo może być i z tamtemi.

W każdym razie to pewno, jak stwierdza Dr. Bernheim, powaga w hypnotyźmie pierwszorzędna, że »hypnoza nie może naprawić ciała, którego tkanki są zjedzone albo poszarpane«[1]). Wyznanie to bardzo ważne, trzeba

---

[1]) »Suggestion dom la therapatique«. Książkę tę napisał w celu, aby wiarę w cuda obalić. Przez to wspo-

sobie zapamiętać, bo według instrukcyi Benedykta XVI., przy badaniu cudów, na pierwszem miejscu starać się trzeba właśnie o stwierdzenie uzdrowienia takich tkanek. Stąd porównywanie cudów z uleczeniami hypnotycznemi jest z góry wykluczone dlatego, że w każdym przez Kościół stwierdzonym cudzie, musi być czarno na białem wykazane: 1) że w danym wypadku tkanki albo już nie były, bo była zjedzona chorobą, albo była poszarpana, a potem 2) że bez żadnych przyrodzonych środków leczniczych tęż samą tkankę znaleziono całą i zdrową.

* * *

A teraz zobaczmy, jaka może być przyczyna hypnotyzmu?

Tu rozchodzą się zdania nawet uczonych katolickich. Jedni sądzą, że wszystkie zjawiska, hypnotyczne pewne, wyliczone na pierwszem miejscu, dadzą się wytłomaczyć siłami samej przyrody widzialnej. Do nich należy uczony fryburski Dominikanin O. Coconnier, ks. Guibert Sulpicyanin i dr. Lapponi. To też będąc konsekwentnymi, w granicach odpowiednich, przy należytej rękojmi, że wszelkie nadużycie będzie usunięte, — są oni gotowi pozwolić na hypnozę, jako lekarstwo.

Za to inni, jak O. Franco, we wszystkich

---

mniany pewnik jednak obalił to co z takim trudem zbudował: mianowicie że cuda są to hypnotyczne uzdrowienia za pomocą własnej lub cudzej suggestyi.

zjawiskach hypnotycznych widzi wpływ szatana, nie dlatego, że wszystkie same przez się przewyższają siły przyrody, ale że przewyższa je sposób, w jaki są zdziałane.

Przedewszystkiem podnoszą, że są one zupełnie zależne od woli człowieka, który je wywołuje i usuwa momentalnie, jak zechce. Otóż utrzymują, że to siły natury przechodzi.

Wreszcie inni z ks. bisk. Meric'em rozróżniają. Idąc drogą pośrednią: z O. Franco zgadzają się o tyle, że, po za prawami natury widomej i nam przystępnej, umieszczają fakt rozkazu na przyszłość, określoną dokładnie. »Rozumiem, powiada ks. M. jeszcze to, że człowiek zahypnotyzowany, jakiś czas po hypnozie zostaje pod wpływem hypnotyzatora albo raczej samego obrazu wyprowadzonego na pierwszy plan przez suggestyę, — ale nie rozumiem, jak za pomocą praw zwykłych, rządzących wyobraźnią ludzką, ten obraz mógłby wrócić na pierwszy plan później, sam przez się, w chwili dokładnie oznaczonej przez hypnotyzera? To też sądzę, że w tym wypadku trzeba przypuścić czynnik, stojący po za człowiekiem a mogący sen, dziś poddany osobie zahypnotyzowanej, wywołać w wyobraźni dokładnie za dni 10, dwa tygodnie, rok.«

Za to co do innych zjawisk podziela ks. Meric zapatrywanie Dr. Lapponiego i O. Coconnier'a.

* *
*

Co się tyczy siły leczniczej hypnotyzmu nie da się zaprzeczyć, że w cierpieniach czysto nerwowych zależnych od wyobraźni może on wiele zdziałać. Tak np. Dr. Fares, w 1906 r. dostaje do szpitala 18-letnią dziewczynę, głuchą, o pokładzie histerycznym. Pokazało się, że głuchota, wywołaną u niej została przestrachem, podczas pożaru. Suggestya ją uleczyła.

Dr. Brenheim we wspomnianym wyżej dziele przytacza podobnych wypadków wiele.

Wyleczenia tedy są, tego zaprzeczyć nie można, ale i tego także nie, że przez hypnotyzm więcej może osób napędziło sobie różnych chorób, nawet straciło życie. I nic dziwnego. Już sam sen kataleptyczny, złączony z podnieceniem nadzwyczajnem nerwów, wyczerpuje bardzo i osłabia organizm. To też eksperymenta hypnotyczne często kończą się na waryactwie, lub samobójstwie. »Widziałem ludzi silnych jak dęby — powiada Dupotet — całkiem rozstrojonych już po kilku minutach hypnozy.« Doktorowie Gross [1]), Demarquayi, Girard-Teulon[2]), i Gigod-Suard[3]) przytaczają takich wypadków tysiące.

Naturalnie skutki etyczne na zdrowiu duszy osób hypnotyzowanych bywały jeszcze gorsze, każdy bowiem łatwo zrozumie, jak szerokie pole

---

1) Répertoire de medecine domestique dec 1687.

2) Recherches sur l'hupnotisme.

3) Figuier, L'histoire du merveilleux t. III p. 381.

otwiera hypnotyzm do nadużyć najbardziej krzyczących. Czemużby ludzie źli korzystać z tego nie mieli?

I nieraz niestety! korzystali.

* * *

Jakie tedy stanowisko katolik wierzący ma zająć praktycznie wobec hypnotyzmu?

Samo przez się zrozumiałe, kiedy się przypomni trzy fakty:

1) że hypnotyzm wprawia osobę zahypnotyzowaną w stan chorobliwy, mniej lub więcej dla zdrowia niebezpieczny, w skutek czego komisya lekarska, obradująca w Rzymie w 1886 r. zakazała urządzanie przedstawień hypnotycznych we Włoszech,

2) że hypnotyzujący opanowuje osobę zahypnotyzowaną do tego stopnia, że ona traci przytomność umysłu, swobodę woli i staje się w ręku jego automatem żyjącym, którym pokierować on może jak zechce: do zbrodni, błażeństwa, krzywdy własnej i cudzej,

3) że pewne choroby hypnotyzm leczy skutecznie.

Otóż wobec tego komisya św. Officyum zajęła stanowisko jasne i na posiedzeniu z dnia 26 lipca zadecydowała, że:

»Raz na zawsze są zakazane zjawiska hypnotyczne, przewyższające na pewno zwykłe siły przyrody jak np. kiedy się odgaduje cudze myśli, nie zdradzające się żadnym zewnętrznym znakiem, rozkazuje na odległość albo w myśli

tylko, miewa jasnowidzenie, a tembardziej, kiedy się otrzymuje odpowiedzi za pomocą stolików itd.

»Zjawiska zaś inne, co do których źródła zachodzi uzasadniona wątpliwość, mogą być tolerowane, byleby osoba dająca się hypnotyzować, miała wolę stanowczą nie brania w nich udziału, jeżeliby ich przyczyna leżała poza obrębem zwykłych praw przyrody albo w razie zgorszenia, mogącego stąd dla bliźnich wyniknąć«.

* * *

Jak zawsze tak i w tym wypadku, Kościół postępuje roztropnie. To co zakazuje, nie jest bynajmniej właściwością hypnotyzmu, ale, jak widzieliśmy, trafiało się i w spirytyźmie. Zresztą lekarze-hypnotyści nie uznają tego za jego objaw. A w tem co zakazuje ma zupełną słuszność, bo bez interwencyi szatańskiej wytłómaczyć tego nie podobna.

Co innego sama suggestya a tembardziej zjawiska czysto fizylogiczne, o ile wszelkie ich nadużycie i szkoda jest wykluczona. To też Kościół bezwzględnie ich nie zakazuje.

W każdym razie jest rzeczą pewną, że oddawać się praktykom hypnotycznym bez d o s t a t e c z n e j a w a ż n e j przyczyny, dla zabawy lub z ciekawości — jest lekkomyślnością nie do darowania, grzechem szczególnie wtedy, gdy posiedzenia hypnotyczne przekształcają się w seanse spirytystyczne jak np. bywało na

siedzeniach słynnego Dupoteta. Nie da się zaprzeczyć bowiem, że choć znaczna część zjawisk hypnotycznych pozostaje w dziedzinie materyalnego świata, szatan jednak może ich użyć do rozbudzenia ludzkich namiętności, szkodzenia im na zdrowiu, osłabiania ich woli, doprowadzania nawet do formalnej obsessyi, jeśli nie zupełnego opętania.

»Nie mówiąc o wypadkach zupełnie wyjątkowych — pisze Dr. Lapponi — o których wspomnieliśmy wyżej, z hypnotyzmem powinniśmy obchodzić się tak, jak z ciężkiemi chirurgicznemi operacyami, amputacyą członków, rozcinaniem wrzodów itd. Jak byłoby złem etycznem, grzechem bawić się w operacye chirurgiczne dla popisywania się swą wprawnością lub zaspokajania ciekawości ludzkiej, — tak bawienie się w hypnotyzm w tychże samych warunkach jest rzeczą złą, grzeszną i powinno być zakazanem jak najsurowiej. Przytem, jak do wielkich chirurgicznych operacyi zabierać się może tylko ten, kto ma odpowiednią kwalifikacyę, tak i hypnotyzmem zajmować się powinni tylko upoważnieni lekarze.«

To też dobry katolik powinien wystrzegać się hypnotyzmu. A jeżeliby z biegiem okoliczności był kiedy zmuszony dać się hypnotyzować, nie powinien czynić tego bez przyczyny ważnej i stanowczego postanowienia nie poddawania się wpływom szatana. Do tego zaś służy stan łaski, modlitwa, westchnienie do Matki Boskiej,

trzymanie w ręku medalika poświęconego, pokropienie wodą święconą itd.

* * *

»Ale poco tyle ostrożności?«

Poto, aby się zabezpieczyć od większego daleko nieszczęścia, niż jest choćby najboleśniejsza choroba: mianowicie od dobrowolnego wdawania się z szatanem przez szukanie u niego pomocy i ratunku. To przecieby było ciężką obrazą Pana Boga, a naszą oczywistą szkodą. Przecież szatan jest naszym nieprzyjacielem a przytem wrogiem zawziętym najłaskawszego naszego Pana i najmiłościwszego Ojca. Czy wierny sługa wdawaćby się chciał bez potrzeby z wrogiem swego pana, syn — z wrogiem ojca, przyjaciel z wrogiem przyjaciela?

Przytem nie trzeba nigdy zapominać, że szatan, zbliżając się do nas, szuka jedynie naszej szkody. On się nieraz stara przemienić w Anioła światłości — prawda, ale szatanem pozostaje zawsze.

Zresztą wszelkiego rodzaju czarodziejstwo jest w Piśmie św. wyraźnie zakazane. I tak w księdze Deuteronomium, w rozdziale 18 czytamy: »Niech się nie znajduje w tobie... któryby się radził praktykarzów i wierzył snom i wróżkom... ani nie będzie guślarz, ani czarownik, ani ktoby się duchów złych radził, ani wieszczków, albo się od umarłych prawdy dowiadywał«.

Z tych słów można się zresztą przekonać, co wyżej powiedzieliśmy, że ani magnetyzm, ani spirytyzm, ani pewne objawy hypnotyzmu, ani wogóle wszelkie praktyki okkultyzmu, nie są czemś nowem, tylko rzeczą starą jak świat.

Nil novi sub sole. — Nic nowego pod słońcem.

Cóż dziwnego, że wobec tego Kościół jest tak ostrożnym i w razie wątpliwości robi tyle zastrzeżeń, grożąc swemi karami tym, którzyby praktykom podejrzanym, niepewnym lekkomyślnie się oddawali.

Jeżeli mamy wątpliwość, czy chleb jest zatruty, ruszać go nie będziemy. A jeśli głodem zmuszeni na to się zdecydujemy, przecież stosować będziemy wszystkie w mocy naszej zostające środki, aby w danym wypadku od trucizny się zabezpieczyć.

Otóż tak postępuje Kościół, przy pewnych zjawiskach hypnotycznych, kiedy zachodzi uzasadniona wątpliwość, że są trucizną dla duszy.

* * *

»Ale przypuśćmy, że, biorąc udział w posiedzeniach hypnotycznych, wyrzekamy się szatana, zastrzegamy przed jego wpływem i wiemy, że nikogo przez to nie gorszymy? Czy i wtedy mi uczynić tego nie wolno?«

Zależy od tego: O ile chodzi o zjawiska, co do których zachodzi uzasadniona wątpliwość, czy się dzieją za pośrednictwem szatana, Kościół trudności nie robi, bo zastrzeżenie takie

ma wtedy sens. Ale tam, gdzie mamy dowody jasne, że to pośrednictwo ma miejsce, tembardziej, jeżeli tak orzeka Kościół, tego sensu niema. Co bowiem pomoże zastrzegać się i wewnętrznie protestować przeciwko szatanowi, kiedy się go równocześnie jeśli nie słowami, to w każdym razie uczynkiem na pomoc wzywa? Mają swe znaczenie słowa, ale mają także i uczynki.

Brać udział w posiedzeniach spirytystycznych i zastrzegać się przed wpływem szatana, znaczyłoby tyle, co ciągnąć za dzwonek i nie dzwonić, spuścić kurek i nie strzelać...

* * *

»Jakkolwiekbądź rezultaty osiągnięte przez hypnozę są zadziwiające. Wobec nich dotychczasowa teorya cudów nie może się ostać. Zjawiska nadzwyczajne, zwane cudami, zaprzeczyć się nie dadzą, ale dadzą wytłómaczyć za pomocą suggestyi. Chory prosił, modlił się, powoli bezwiednie zasuggestyonował sam siebie i nagle wyzdrowiał. Wyzdrowienie to przypisuje on pośrednictwu Matki Boskiej, Świętych, wodzie cudownej z Lourdes, tymczasem on sam uleczył się przez swą wyobraźnię.«

No! no! no! tylko powoli.

Najpierw obok cudownych uzdrowień znamy cały szereg innych zjawisk nadzwyczajnych, idących na przełaj żelaznym prawom natury, a z chorobami ludzkiemi nic nie mających do czynienia. Weźmy wskrzeszenie umarłych.

Kiedy Łazarz wstawał z grobu, — kiedy św. Hilary, wracając z Frygii wskrzeszał umarłe dziecko, św. Marcin — katechumena, umarłego w jego nieobecności, — kiedy św. Wilhelm, kanonik klasztoru św. Wiktora, św. Wawrzyniec, arcybiskup Dubliński, św. Elżbieta Portugalska, św. Stanisław Szczepanowski, św. Ludwik Tuluzki, Leopold austryacki, Filip Nereusz, Franciszek Ksawery, Tomasz z Wilanowy i wielu innych wskrzeszali umarłych, czyż może także używali suggestyi? albo może ci wszyscy umarli zasuggestyonowywali siebie sami?

A cud św. Januarego — to może suggestya tłumów, żądnych widzenia cudu?

Wolne żarty.

Hypnotyzmowi do cudów nic. Leczy on niektóre cierpienia a moc cudowna leczy wszystkie; hypnotyzm nie może naprawić tkanek zniweczonych ani nóg połamanych wyprostować ani wzroku dać słabym od urodzenia, ani długoletniem leżeniem wyniszczonemu ciału w jednej chwili przywrócić czerstwość od lat utraconą i siłę, co tyle razy zdziałać potrafiła woda z Lourdes.

Nie, hypnotyzm a cuda — to nie to samo.

Kiedy n. p. cudotwórca umarłym przywraca życie — to hypnotyzer żywych pogrąża w stanie pozornej śmierci; kiedy cudotwórca ślepym, kulawym i paralitykom przywraca normalne używanie członków — hypnotyzer sprawia, że zdrowi poczynają kuleć, czołgać się, zachowywać jak kaleki; kiedy cudotwórca opętanym

i obłąkanym przywraca używanie rozumu — hypnotyzer to używanie ludziom zdrowym na umyśle odbiera; kiedy cudotwórca nakłania wolę do cnoty i do dobrego — hypnotyzer zmusza do kradzieży, rozpusty, morderstwa; kiedy wreszcie cudotwórca chorym przywraca zdrowie — hypnotyzer zazwyczaj sprowadza na zdrowych choroby...

Chyba dość, aby się przekonać, że hypnotyzm i cudotwórstwo, to nie jedno i to samo.

* * *

Na zakończenie słówko o ekstazach świętych. Przecież są tacy, co osoby zahypnotyzowane i ekstatyczne stawiają na równi; a ekstazę uważają za szczególny objaw hypnotycznej autosuggestyi.

Najpierw porozumiejmy się co do pojęcia ekstazy. Otóż ekstazą nazywam stan nadzwyczajny, w którym człowiek zatopiony w rozważaniu rzeczy niebieskich, traci styczność ze światem zewnętrznym: nie widzi, nie słyszy, nie czuje uderzenia, kłucia, poparzenia; nieraz nawet nie widać, że oddycha, bo i krążenie krwi jakby było zawieszone. Za to im mniej się objawia życie egstatyka na zewnątrz, tym silniej pracuje ono wewnątrz. Umysł jego i wola podnoszą się do wyżyn spekulacyi i heroizmu, potęgującego się z każdą chwilą. Na pozór jest bezczynny, w rzeczywistości jednak właśnie dlatego, on wszystkie swe siły życiowe koncentruje w czynnościach ducha: stąd ciężaru

ciała nie czuje. Ekstaza ani w sobie ani w swych skutkach nie jest chorobą żadną.

Jakże inaczej wygląda stan człowieka zahypnotyzowanego! I u niego życie zewnętrzne we wszystkich objawach jest zawieszone, w skutek stanu chorobliwego nerwów, co sprawia, że umysł jego, jak u obłąkanych, przestaje funkcyonować normalnie, stając się zależnym od hypnotyzera; a wola traci swą wolność, cały zaś człowiek poniża do rzędu automatu.

Hypnoza, to sen a ekstaza, to rzeczywistość. Skutki hypnozy najczęściej podkopują zdrowie a zawsze wyczerpują ducha; skutki za ekstazy odświeżają ciało i potęgują energię ducha. Hypnozie uledz może każdy, szczególnie nerwowo rozstrojony, a ekstazy miewać mogą jedynie święci.

Zresztą przy bliższem rozpatrzeniu w jednym i drugim wypadku objawy nawet zewnętrznego znieczulenia są między sobą istotnie różne. Według Dr. Charcot ekstazę chorobliwą albo hypnotyczną poprzedza zawsze sen kataleptyczny, czego w ekstazach u świętych nie widzi się nigdy. Święty wchodzi w ekstazę naturalnie, jak gdyby usypiał snem zwykłym, a wychodzi z niej zadowolony i szczęśliwy, zazwyczaj na siłach wzmocniony.

Ekstaza różni się także od naturalnego z a c h w y t u człowieka głęboko zamyślonego, jak przytrafić się miało Platonowi i św. Tomaszowi z Akwinu, którzy aż do zupełnego znieczulenia na wszelkie wpływy zewnętrzne

bywali roztargnieni. Taki zachwyt naturalny jest zresztą objawem rzadkim, nie przechodzącym jednak sił przyrodzonych psychy ludzkiej. To też wspomniany Benedykt XVI w swej instrukcyi co do badania cudów ściśle go odróżnia od zachwytu nadprzyrodzonego czyli ekstazy.

* * *

»Poco dręczyć swe ciało? Te posty? biczowania, modlitwy i czuwania? — Przecież wiadomo, że asceza po średniowiecznemu pojęta, prowadzi do histeryi i wywołuje nerwowe halucynacye, nawet napady obłąkania. Ileż to po klasztorach ofiar czuwania, postów i maceracyi ciała!«

No! Z temi ofiarami już nie jest tak źle. Bywają. Jedną z nich była nieszczęśliwa krakowska karmelitanka Barbara Ubrich.

Ale cóż stąd? Przesada szkodzi zawsze, w klasztorze jak i gdzieindziej i Kościół jej nie pochwala. Prawda, uczynki pokutne, właśnie dlatego, że są pokutnemi, muszą wycieńczać organizm i osłabiać, szczególnie, gdy jest on z natury wrażliwy i już wycieńczony. Wtedy dojść może do pewnych objawów histeryi przypominających hypnozę, jak do sztywności członków, halucynacyi itd.

To przyznajemy chętnie. Takie chorobliwe objawy zdarzają się i po klasztorach jak zdarzają się i na świecie. Ale żeby asceza taka jak ją Kościół rozumie, miała do nich prowa-

dzić, to znowu nie. Dowodem, że ogromna większość zakonników i zakonnic są ludźmi pod każdym względem zupełnie normalnymi. Wyjątek reguły nie obala. Zresztą z temi wyjątkami liczą się i asceci. Czytając ich dzieła, możemy się o tem przekonać. W takich wypadkach doradzają... zaprzestanie wspomnianych surowości i przez jakiś czas... odpowiednią kuracyę.

Tak np. św. Teresa założycielka zakonu, do którego należała Barbara Ubrich, w takich razach przepisała wstrzymanie się od uczynków pokutnych i pilne zajmowanie się pracą ręczną...

## LIST IX.

# Cud św. Januarego[1]).

Na czem on polega? — Wszelkie oszukaństwo jest tu wykluczone. — Aleksander Dumas. — Usiłowanie wytłómaczenia go sposobem naturalnym. — Lavoisier. — Prof. De Luca i dr. Punzo. — Eksperyment p. Giaccio w sali domu ludowego w Rzymie. — Jenerał Champollion. — Znaczenie tego cudu w kościele. — Wnioski stąd wypływające.

Powiedziawszy tyle o cudach prawdziwych i nieudałych ich naśladownictwach, wypada na zakończenie dodać słów kilka o cudzie św. Januarego w Neapolu.

Jest to cud w swoim rodzaju jedyny. Ta krew zakrzepła św. Męczennika, która rok rocznie w oczach tysiącznych tłumów staje się płynną, jest faktem nadzwyczajnym, że przeciwnicy cudów nie mogą z nim dać sobie rady. Przedstawiciele materyalizmu i pozytywizmu napróżno się silą, aby wykazać, że to nie cud

---

1) Św. January, biskup Benewentu, skończył około r. 305 śmiercią męczeńską. Szczątki jego śmiertelne przeniesiono do Neapolu w r. 1447.

Owszem, im więcej się o to starają, tem bardziej przyczyniają się do wyświecenia i stwierdzenia jego prawdziwości.

Głośny w ostatnich czasach epizod z p. Giaccio, socyalistą włoskim, jest tego nowym dowodem.

* * *

Cud św. Januarego polega na tem, że ile razy naprzeciw relikwiarza[1]), zawierającego jego głowę, ustawioną zostanie flaszeczka z jego krwią skrzepłą, krew ta po dłuższej lub krótszej modlitwie obecnych poczyna się rozpuszczać, zamienia w płyn ciemnobrunatny, podnosi, kipi; poczem po nabożeństwie, odniesiona do niszy, gdzie ją przechowują, staje się znowu taką samą skorupą zastygłą, jak była przedtem.

Takie uroczyste wystawienie tych relikwii ma miejsce 18 razy każdego roku, mianowicie: 9 razy w maju, t. j. w rocznicę przeniesienia zwłok Świętego do Neapolu i w każdy dzień oktawy; — 8 razy we wrześniu: w samo święto błogosławionego męczennika i znowu przez całą oktawę; — wreszcie raz jeden 16 grudnia, w święto patrona Neapolu.

Więc rorocznie cudów 18, czyli w jednym wieku cudów 1800!

Cóż dziwnego, że ludziom, którzy o cudach

---

[1]) Tak zazwyczaj. Bywały jednak wypadki, że krew Świętego stawała się płynną, gdy ją stawiono obok innej jego relikwii, a nawet zaraz po wyjęciu z niszy znajdywano ją już rozpuszczoną.

wogóle słyszeć nie chcą, krew św. Januarego krwi wiele psuła i psuje?. Co tu począć z cudem, przez wieków 16 tyle razy się powtarzającym w obecności milionów świadków!

»Ale, — powie kto — właśnie o to chodzi, czy ten cud jest cudem prawdziwym?«

W każdym razie jest on zjawiskiem nadzwyczajnem, wymagającem wytłomaczenia.

Otóż powiadam, że tłómaczyć go można: albo przez mistyfikacyę i oszukaństwo, albo przez działanie nieznanych jeszcze sił przyrody; albo wreszcie przez cud prawdziwy czyli przez wszechmoc Pana Boga. — Ponieważ zaś pierwsze i drugie tłómaczenie żadnej rozumnej podstawy niema, jak to zaraz wykażę; więc w tem, co się corocznie ośmnaście razy powtarza w katedrze neapolitańskiej, każdy człowiek myślący i bezstronny powinien widzieć cud.

* * *

Powiadam tedy najpierw, że wszelkie oszukaństwo lub szalbierstwo musi być wykluczone.

Sławny powieściopisarz francuski Aleksander Dumas, zresztą daleki od łatwowierności, jako świadek naoczny tego zjawiska wyznaje, że:

»Co się mnie tyczy, widzę w nim cud, bo choćbym chciał przypuścić, że to, co się w oczach mych działo, jest tylko zręcznem wyzyskiwaniem ukrytych sił przyrody, — tajemnicą z pokolenia na pokolenie przekazywaną starannie

i zazdrośnie strzeżoną przez kilku kanoników neapolitańskich: to w każdym razie sam fakt tego przekazywania i przechowania od IV, w. do dziś jest dla mnie cudem większym i mniej prawdopodobnym. Bo przecież po ludzku czyż podobna, aby setki i tysiące osób tak długo przechowywały tego rodzaju tajemnice bez żadnej zdrady, nieostrożności, żadnego wyrzutu sumienia?

»Otóż co do mnie, kiedy mam do wyboru pomiędzy temi cudami wolę przyjąć pierwszy«.

I rzeczywiście! Kto pomyśli, że mimo olbrzymi postęp fizyki i chemii, dzisiejsi przyrodnicy w swych laboratoryach nietylko nie mogą powtórzyć, ale za pomocą sił znanych przyrody nawet wytłómaczyć tego, co się z krwią św. Januarego dzieje, — skądżeby to mogli nieliczni kanonicy neapolitańscy już od IV wieku począwszy!

Nie, to jest niepodobieństwem! Więc przyczyny szukać trzeba gdzieindziej.

Panowie racyonaliści ją znajdują, jak zwykle... w przeczeniu; tylko że im z tem jakoś niezręcznie.

* * *

Bo zresztą czemuby mieli przeczyć? Czy może rzeczywistości k r w i ludzkiej we flaszeczce?

W istocie przeczenie to miałoby jakiś sens taktyczny. Kto bowiem zjawisko św. Januarego chce tłómaczyć za pomocą ciepła, miałby z krwią wielki kłopot, dla tej prostej przyczyny,

że, gdy chodzi o krew, podniesienie temperatury nietylko jej rozpuszczenia nie przyspiesza, ale przeciwnie, jak to ma miejsce z białkiem, przyspiesza jej krzepnięcie.

Stąd, raz przypuściwszy, że w relikwiarzu św. Januarego znajduje się krew, za pomocą ciepła wytłómaczyć nie podobna tego, co się z nią dzieje.

Więc, jak powiedziałem, panowie racyonaliści muszą zacząć od przeczenia, że krew św. Januarego jest rzeczywiście krwią.

»Kto wie, co jest wewnątrz relikwiarza? Zdaje się, że to krew; ale może być co innego. Przecie flaszeczki w nim zawarte są tak hermetycznie[1]) zamknięte i tak pilnie strzeżone, że analizy chemicznej z jej zawartością zrobić nie można.«

Wyznanie to przyjmujemy do wiadomości, bo się nam do czego innego przyda. Pozwolimy sobie za to tych panów spytać:

— Czy nauka dzisiejsza zna składniki, z których się tworzy słońce, Jupiter, Mars, i inne znane nam ciała niebieskie?

— A zna, albo co?

— A przecież nikt nie robił z nimi ana-

---

[1]) Dawniej tak nie było. W annalach »Świętego Skarbu« znajdujemy wzmiankę, że kiedy Karol VIII. zjechał do Neapolu, dla uczczenia krwi św. Januarego, dano mu laseczkę srebrną, aby sam się przekonał, że we flaszeczce płynu niema, tylko twarda skorupa, tam gdzie za chwilę jest płyn.

lizy chemicznej, bo przecież żaden chemik z retortą do nich się jeszcze nie dostał.

— Cóż z tego? Ale robiono analizę spektralną, a ta przecież — jak wiadomo — nietylko wystarcza, lecz nieraz jest nawet probierzem pewniejszym, niż analiza chemiczna.

— Doskonale. W takim razie panowie wiedzcie, że i w relikwiarzu św. Januarego za pomocą tejże samej spektralnej analizy nauka stwierdziła obecność krwi prawdziwej.

Oto 26 września 1902 r. profesor neapolitańskiego uniwersytetu, Rafał Januario z kolegą swym prof. Sperindeo[1]) i kilku innymi profesorami i przyjaciołmi, skorzystał z chwili wolnej, kiedy podczas kazania relikwiarz z krwią płynną Świętego umieszcza się za ołtarzem, — i otrzymał widmo zawartego w nim płynu. Spektroskop jego funkcyonował normalnie, czego dowodem było, że świeca, której knot uprzednio nasycono solą, dała widmo z linią D przewróconą, t. j. zastąpioną przez jasną linię żółtą, jaka jest cechą charakterystyczną sody.

»Po tem doświadczeniu przyłożyliśmy — powiada prof. Sperindeo w swem sprawozdaniu — do otworu spektroskopu relikwiarz, tak, żeby światło padało na miejsce, którędy płyn przed chwilą poruszony się prześliznął, zostawiając po sobie ślad w kształcie delikatnej czer-

---

[1]) G. Sperindeo, Dr. fizyki: »Il miracula di S. Gennario« 3. wyd. Nepol. str. 66.

wonej powłoki, — i ujrzeliśmy we widmie za liną D (linia α) w polu żółtem najwyraźniej pasmo ciemne, charakteryzujące krew, a w polu zielonem inne pasmo ciemne (koło E, linia zwana β), pomiędzy jednem zaś i drugiem przestrzeń światłą.«

To doświadczenie powtórzył prof. Januario kilka razy, demonstrując obecnym i powtarzając: »Czemuż nie mam pod ręką aparatu, aby to wszystko odfotografować!«

Szkoda, że go nie miał. W każdym razie przed śmiercią przedwczesną, która go wkrótce potem zaskoczyła, często mawiał: »To co jest w relikwiarzu św. Januarego jest krwią najrzeczywistą. Zjawisko całe jest cudownem. Ani na chwilę nie wątpię, że jest objawem sił, stojących ponad przyrodą«[1]).

* * *

Więc przeczyć nie można, że w relikwiarzu św. Januarego jest krew rzeczywista.

Wtedy przynajmniej możeby można podać w wątpliwość zjawiska, jakie przy jej wystawieniu się przytrafiają? Może to tylko się zdaje, że jest ona skrzepła i że potem staje się bez żadnej widocznej przyczyny płynną.

I to także nie. Chybaby trzeba przypuścić, że miliony oczu zdrowych mylą się w biały dzień, nie mogąc odróżnić stanu płynnego od stałego.

---

[1]) Tamże str. 71.

Zresztą pomiędzy świadkami są ludzie nauki, fachowcy w badaniu zjawisk podpadających pod zmysły, jak np. wyżej przytoczeni profesorowie. Stąd niebezpieczeństwo złudzenia jest tu całkiem usunięte, tembardziej, że nie chodzi o zjawisko jak błyskawica przemijające, ale o trwałe, któremu przypatrywać się można do woli całemi godzinami i z jednej i z drugiej strony i w ten i w inny sposób, jak kto chce.

Weźmy n. p. sprawozdania urzędowe z epok odległych od siebie o wiek cały.

W r. 1795 np. stwierdzono, jak podaje prof. Fergola, że 2. maja, w pierwszy dzień uroczystości świętego Biskupa, krew się rozpuściła, kiedy termometr, umieszczony obok relikwiarza, wskazywał 24 4° C.; w dwa dni później zjawisko powtórzyło się przy 26 4° C., dnia następnego przy 23 8°, dnia siódmego przy 25°, a dziewiątego już przy 19° C.

Z czego wynika, że stwierdzono wtedy: 1) stan stały krwi przy wyjęciu z niszy, 2) jej rozpuszczenie, 3) i to przy różnej temperaturze.

W r. 1879 podczas swych badań, robionych we wrześniu profesorowie de Luca i Punzo stwierdzili także urzędowo, że pierwszego dnia tj. 19. nastąpiło rozpuszczenie krwi przy 30° C., trzeciego już przy 27° a siódmego — przy 25° C.

A więc wynik co do samych faktów ten sam, jak w r. 1795.

* * *

Ponieważ do wytłomaczenia zjawiska za pomocą zwykłych praw przyrody, szczególnie za pomocą ciepła przeszkodą niepokonalną jest niezależność rozpuszczania się i krzepnienia krwi Świętego od temperatury zewnętrznej, więc może choć te okoliczności odrzucić można.

I to także nie.

W 1795 wspomniany prof. Fergola stwierdza urzędowo, że 2. maja krew rozpuściła się tylko do połowy, po 12 minutach wystawienia przy 24,4° C.

Dnia następnego stało się to przy tej samej temperaturze, ale już po 2 minutach i krew rozpuściła się cała, zupełnie.

Dnia trzeciego rozpuściła się dopiero po 41 minutach przy 25°.

Ósmego zaś po 33 minutach przy 20° C.

A dziewiątego po 15, choć termometr spadł do 19°.

W kronice »Świętego Skarbu« czytamy, że 1. stycznia 1662 roku zaledwie postawiono relikwiarz na ołtarzu, krew cała od razu się rozpuściła.

A przeciwnie 18. kwietnia 1702 r., podczas bytności króla Filipa V. hiszpańskiego czekano aż trzy godziny na rozpuszczenie.

W uroczystościach majowych 1678 r., pierwszego dnia i trzeciego krew się rozpuściła prędko; ale zato dnia drugiego, dopiero po dziesięciu godzinach, a czwartego i piątego nie rozpuściła się wcale.

Więc nie da się zaprzeczyć, że zjawisko omawiane z warunkami zewnętrznymi niema nic wspólnego i w tych samych warunkach raz występuje, raz nie, — co się w żaden sposób pogodzić nie da z naturą jakiejkolwiek siły przyrodzonej, bo każda z nich działa z koniecznością, miarowo, automatycznie, czy znamy ją lub nie znamy.

* * *

Stąd dla pp. przyrodników pozytywnych, jak powiedziałem, kłopot nielada. Środek zwykły, wobec ludzi naiwnych tak łatwo im dopisujący, tym razem zawodzi.

Z innymi cudami radzą sobie łatwiej i są więcej ze swej mądrości zadowoleni. W braku naukowych(?) dowodów na ich odrzucenie mają zawsze w rezerwie wspomniany sposób bardzo prosty, a od początku świata w podobnych wypadkach używany przez ludzi ograniczonych lub upartych; mianowicie odrzuca się bez dowodu to, co się nie podoba, poprze to jakimś mniej więcej udatnym żartem, złośliwem szyderstwem, albo nawet obelgą i jest.

Otóż tego sposobu, jak powiadam, używają panowie pozytywiści, ile razy chodzi o inne cuda. Kto tam np. cofnąć się zdoła w przeszłość i bezpośrednio, naocznie stwierdzić cud choćby najwiarogodniejszy, przekazany nam przez historyę? Więc się go odrzuca gołosłownie, pozorując tem, że świadkowie naoczni nie byli w możności stwierdzenia go do-

statecznie, nie stali na wysokości dzisiejszej wiedzy — dali się oszukać... itd...

Tymczasem w zjawiskach z krwią św. Januarego metoda ta nie dopisuje, bo każdy wie, że na takie pozytywne (?) argumenta, my, wierzący katolicy, mamy jeszcze bardziej pozytywną odpowiedź. Oto możemy im powiedzieć:

»Utrzymujecie panowie, że to mistyfikacya? Dobrze! Za kilka miesięcy prosimy panów do Neapolu. Możecie zabrać ze sobą wasze spektroskopy dla zbadania spektralnej analizy rozpuszczonego we flaszeczkach płynu, — wasze wagi, dla przekonania, czy, przybierając na oko w objętości, płyn we flaszeczce przybiera także na wadze, — wasze termometry, dla stwierdzenia, że z temperaturą zmienną powietrza, tworzenie się masy płynnej niema nic wspólnego. — Idźcie! Patrzcie i wtedy mówcie. — Chcecie doświadczać sami, możecie badać jak najdokładniej... Czekamy spokojnie.

»Tylko tego ciekawi jesteśmy, w jaki sposób potraficie udowodnić, że tam jest oszukaństwo. Przed wami, uczeni równej wam, a może większej miary, udowodnić tego nie potrafili. Nie potrafił Jan Chrzciciel Vico, nie potrafił Humphray Davy, Lalande, Lavoisier, C. Walterton, chemik Dumas, Kotzebue, profesorowie Fergola, De Luca, Denza, profesor Stoppini, który ze studentami medyolańskiej szkoły wyższej technicznej (Instituto superiore) przyjechał

do Neapolu naumyślnie, aby to spróbować... i nie potrafili, choć chcieli, choć się starali.

»Prosimy tedy...«

Otóż dla badaczy postępowych takie »pozytywne« zaproszenie nie jest na rękę. Wiedzą bowiem aż nadto dobrze, że w maju i we wrześniu z całym ludem obecnym w kościele św. Januarego musieliby stwierdzić, już nie wiem po raz który, rzeczywistość zjawiska. Ale że, będąc konsekwentni i uznawszy fakt tego cudu, musieliby w zasadzie zgodzić się także na inne cuda, a tego nie chcą: więc, dla uniknięcia upokarzającego dla siebie położenia, wolą się na nie nie narażać i z daleka fakt ten sobie tłomaczą za pomocą praw zwykłych przyrody.

Zobaczmy z jakim udaje im się to skutkiem i przejdźmy do drugiej kategoryi ludzi, którzy w cudzie św. Januarego widzą tylko zwykłe zjawisko.

Mimochodem tu tylko zauważę, że chodzi mi jedynie o materyalistów i pozytywistów włoskich. Innym do Neapolu jest bardzo daleka droga; na podróż do Włoch brak im środków i czasu, a w każdym razie brak chęci, to też trzymają się wobec siebie i innych metody łatwiejszej, o której tylko co wspomniałem, czyli że poprostu wszystkiemu przeczą.

»Klerykalny zabobon i rzecz skończona.«

Przepiórka myśliwego nie widzi — więc myśliwego niema.

* * *

Jednym z pierwszych, co się starał cud św. Januarego tłomaczyć sposobem naturalnym, był sześćdziesiąt lat temu słynny chemik Lavoisier. Niczego jednak nie dokazał, niczego nie wyjaśnił, tylko sformułował kilka zdawkowych zarzutów, które w 1841 roku Dr. Fergola, znakomity ówczesny fizyk, matematyk i profesor neapolitańskiego uniwersytetu, zbił w osobnej broszurze.

Po nim szczęścia próbował profesor neapolitański Albini, dla król. neapolitańskiej akademii nauk przyrodniczych i matematycznych wypracowując memoryał, w którym usiłował rozpuszczanie się krwi św. Januarego tłomaczyć przez »złudzenie, spowodowane pomieszaniem i rozruszaniem gęstej mieszaniny n. p. (!) wody ocukrzonej, tworzącej z proszkiem, dajmy na to (!) czekoladowym — zawartość flaszeczki«.

Zapomniał tylko, że mieszanina nie jest jakąś mieszaniną, tylko krwią prawdziwą, — potem, że gdyby taką mieszaniną była, ludzie, przynajmniej fachowi, byliby ją od krwi prawdziwej odróżnili, — a wreszcie, że kto chce referat naukowy o jakiemś zjawisku napisać, powinien przedewszystkiem sam je zbadać, tembardziej, jeżeli ma się do tego taką sposobność, jak on.

No! dla bohaterów pozytywizmu i materyalizmu takie omyłki — to bagatele.

My tylko p. Albiniemu przypominamy, że jeżeli jeden człowiek może coś podrobić, to

inny człowiek może to podrobienie wykryć. Na to nie trzeba nadzwyczajnej wiedzy; trzeba tylko w danej rzeczy być fachowym ekspertem. Proszę pokazać złotnikowi drogie kamienie ze szkła czeskiego. Laik da się niemi oszukać i weźmie je za brylanty, ale on — nigdy. Po wadze, błysku, załamaniu światła, twardości i innych właściwościach, on sobie prędko urobi sąd a sąd nieomylny i — potrafi to udowodnić.

Otóż jeżeli, jak powiada prof. Albini, w relikwiarzu św. Januarego niema krwi, tylko jakaś mieszanina, czemuż ludzie fachowi, lekarze, przyrodnicy, wykazać tego nie mogą?

Łatwo jest powiedzieć, że to »jakaś tylko mieszanina«, trudniej to udowodnić, a już najtrudniej wyjaśnić, jak się to dzieje, że ta mieszanina, przez tyle wieków przechowana na wolnem powietrzu, nie zepsuła się, nie rozłożyła. Jeżeli prof. Albini jeszcze zupełnie chemii nie zapomniał, powinien wiedzieć, że tłuszcze i oleje, wchodzące w skład takiej mieszaniny byłyby dawno zjełczały, — żelatyna by się rozpuściła, spleśniała i zrobaczała, a esencye ulotniły...

Nie udało się tedy prof. Albiniemu.

* * *

Nie udało i redakcyi »Siècle«, która opublikowała nie jakąś jak prof. Albini chimeryczną, ale już dokładną kombinacyę składników, mających rzekomo tworzyć krew

Świętego. Za nią powtórzył ją »Times«, »Pungolo« z Neapolu i inne pisma antyklerykalne.

Ta zaś ich kombinacya składać się miała z laku czerwonego, rozpuszczonego przy cieple umiarkowanego białego łoju i przymieszki eteru. — Byliby tryumfowali, gdyby na swe nieszczęście nie zapomnieli o kilku dość ważnych okolicznościach... mianowicie, że 1) przed wiekiem XVIII. eteru preparować jeszcze nie umiano, — 2) lak czerwony w takiej mieszaninie rozpuścić się nie da i po wstrząśnięciu flaszki zaraz opada w dół, — 3) łój pozostaje osobno i robi szkło matowem, — 4) wreszcie, że ciepło ręki do rozpuszczenia tej mieszaniny, szczególnie przez dwa szkła, nie wystarcza...

Więc fiasco!...

I tym razem fiasco zupełne.

* * *

W sposób poważny, z godnością prawdziwego uczonego, badał w 1879 r. krew św. Januarego prof. de Luca ze swym uczniem, także profesorem, Piotrem Punzo i to zarówno w tym celu, aby zjawisko samo naukowo zbadać i stwierdzić, jak, żeby je, jeśli się da, naukowo także wytłomaczyć.

Przed ogłoszeniem wyniku swych badań prof. de Luca umarł, ogłosił więc je jego towarzysz, który swój obszerny a szczegółowy memoryał zakończył oświadczeniem następującem:

»Ponieważ przejście krwi św. Januarego ze stanu stałego w stan płynny nie może być spowodowane ani przez ciepło, ani przez działanie innych czynników rozpuszczających: więc naukowo wytłomaczyć nie można ani samego zjawiska, ani okoliczności, które mu towarzyszyć zwykły. Stąd zmuszeni jesteśmy wyznać, że w obecnym stanie nauka zagadnienia tego tajemniczego rozwiązać nie może.«

Ze słów ostatnich widać, że dr. Punzo, jak i jego profesor de Luca, nie należy do ludzi wierzących; to też świadectwo jego jest tem cenniejsze.

* * *

Ponieważ to sprawozdanie dr. Punzo jest poważnem słowem nauki o cudzie św. Januarego, więc przytoczyć je muszę w głównych zarysach, podając najpierw zrobiony przezeń opis systematyczny samego zjawiska, potem jego spostrzeżenia, a wreszcie wnioski, do których dochodzi.

Sam cud opisuje on tak:

»Zaczyna się od tego, że kapelan miejscowy wyjmuje z niszy relikwiarz, zawierający flaszeczki[1]) z krwią Świętego, podnosi go, po-

[1]) Relikwiarz ma kształt monstrancyi. Między szkłem płaskiem i okrągłem, wypełniającem obie środkowe strony puzderka, umieszczone są dwie flaszeczki: większa i mniejsza. Obie są przymocowane lakiem, dnem do części dolnej, a szyjką do górnej, tak, że nietylko poruszać się nie mogą, ale są hermetycznie zamknięte i wszelka możliwość oszukaństwa jest z góry wykluczona.

kazuje obecnym i do góry nogami przewraca. W ten sposób każdy może się przekonać, że zawartość flaszeczek jest twarda i nieruchoma. Fakt ten stwierdza uroczyście słowami ceremoniału, mówiąc: »E duro« (jest twarda); poczem w towarzystwie służącego mu kleryka idzie do ołtarza głównego i tam relikwiarz ustawia.

»Lud się zaczyna modlić. — Od czasu do czasu zbliża się do ołtarza kapłan, bierze relikwiarz, przewraca do góry nogami i za każdym razem stwierdza uroczyście, że krew jest jeszcze skrzepła... a lud się modli dalej...

»Wreszcie po jakimś, krótszym lub dłuższym przeciągu czasu skorupa stwardniała poczyna się jednostajnie odrywać od ścian flaszeczki i, jak każdy płyn w takich warunkach, przybiera położenie odpowiednie do ścian naczynia.

»Przez czas jakiś środek skorupy jest jeszcze twardy, lecz wkrótce i on się rozpuszcza, tak, że w końcu mamy przed sobą płyn ciemny, barwy tej samej, co skorupa, gęsty jak miód, który przelany po ścianach flaszeczki, żadnego po sobie nie zostawia śladu.

»Wtedy dają się słyszeć głosy: »Cud! cud!« i lud się ciśnie do pocałowania relikwiarza. Zaspokoiwszy nabożeństwo obecnych, kapłan celebrujący odnosi relikwiarz za ołtarz główny, gdzie go ustawia naprzeciwko biustu Świętego, zawierającego tegoż głowę.

»Krew Świętego pozostaje w stanie płynnym aż do wieczora, kiedy ją odnoszą do niszy i składają jak najstaranniej w żelaznej skrzyni, zamkniętej na cztery klucze, z których dwa ma ks. Arcybiskup, a dwa inne t. zw. »Komitet Świętego Skarbu« (Deputatione de Tesoro[1]).

»Wszystkie są potrzebne, aby do relikwii się dostać.

»Kiedy dnia następnego ciż sami urzędnicy przystępują dy otwarcia niszy, krew jest znowu stwardniała, poczem w ten sam sposób podczas nabożeństwa staje się napowrót płynną.«

Tyle doktór Punzo o samem zjawisku.

* *

Obserwacye zaś swoje sprowadza do pięciu punktów:

1) »Faktem jest, że przy rozpuszczaniu i twardnieniu zawartości flaszeczki zachodzą zmiany w jej objętości i wadze, ale bez względu na nic, niestale i nieregularnie: raz rozpuszcza się skorupa bez zwiększenia objętości, innym razem się zwiększa. I tak np. w maju, rozszerzając się, wypełniła

---

[1]) Komitet ten istnieje od czterech wieków i składa się z 12-tu członków, obieranych w każdej dzielnicy Neapolu. Prezesem jest każdorazowy prezydent miasta (sindaco). Na liście byłych delegatów znajdujemy nazwiska najznakomitszych obywateli neapolitańskich. Przy otwarciu niszy muszą być w ten sposób obecni przedstawiciele obu władz, duchownej i świeckiej.

całą flaszeczkę, ale, w nocy stwardniawszy, miała objętość pierwotną; we wrześniu znowu znaleziono ją w stanie, w jakim była zostawioną w maju, a jednak, choć zaraz dnia pierwszego się rozpuściła, jednak co do objętości pozostała niezmienioną. Tak samo w dnie następne;

2) »Faktem jest, że przeciąg czasu, jaki czekać trzeba na rozpuszczenie skorupy, jest także niestały. Czasami kilka minut do tego wystarcza, a czasami czekać trzeba dwie godziny i więcej;

3) »Faktem jest, że inne okoliczności towarzyszące temu zjawisku, jak np. gotowanie się płynu itd., są także niestałe;

4) »Temperatura kaplicy i niszy, w której flaszeczka się przechowuje, jest mniej więcej zawsze jednakowa; w najgorszym razie oscyluje na jeden stopień Celsiusza bez względu na porę roku. Wogóle faktem jest, że zmiany temperatury i pogody, związane z porą roku, na rozpoczęcie zjawiska wpływu żadnego nie wywierają;

5) »Szkło jedno i drugie relikwiarza ma powierzchnię płaską; to też kto przykłada do niego usta takie odnosi wrażenie ciepła, jak przy dotknięciu każdego innego szkła kryształowego.

»To samo powiedzieć można i o metalowych częściach relikwiarza.«

Tyle Dr. Punzo.

Z tego widać, jak skrupulatnie, ściśle i przedmiotowo badał on zjawisko, które miał przed sobą.

* * *

Oczywiście po tem wszystkiem jest rzeczą ciekawą dowiedzieć się, jak on je tłomaczy i czy w niem uznaje cud?

Co do kwestyi cudu jest wymijający. — On się stara szukać najpierw wytłómaczenia zjawiska przez siły przyrody znane i rozprawia tak:

»Dwie tylko siły przyrodzone mogłyby w danym wypadku spowodować rozpuszczenie się materyi stałej: mianowicie ciepło albo działanie rozpuszczalników chemicznych.

»Otóż jedno i drugie musi w tym wypadku być wykluczone.«

»Znamy mieszaniny składników chemicznych, topniejące już przy temperaturze niższej od 30 stopni C. Sporządziliśmy sami jedną z nich z wyglądu do krwi najpodobniejszą, składającą się z tynktury kuriamu, nasyconej mydłem sodowem i przymieszką amoniaku. W stanie stałym wyglądała jak krew zakrzepła; mogła przytem przejść w stan płynny przez bezpośrednie zetknięcie z jakiemś ciałem ciepłem, np. ręką ludzką. Ale to bezpośrednie zetknięcie było niezbędnie potrzebnem. Stąd jeżeli np. ręka jej się nie dotykała, ale tylko unosiła nad nią, o rozpuszczeniu nie

mogło być mowy. Wogóle dla wywołania skutku, źródło ciepła, działające zdaleka musiało być znacznie silniejsze, szczególnie jeżeli pomiędzy niem a mieszaniną znajdowały się dwie szklanne ściany, jak w relikwiarzu św. Januarego.«

* * *

»Ale, powie niejeden — pisze Dr. Punzo dalej — gdy chodzi o cud św. Januarego, źródłem takiego ciepła może być wiele przyczyn: mogą być usta, całujące relikwiarz, może być świeca zapalona w ręku stojącego w pobliżu kleryka, albo świece palące się na ołtarzu.«

»Otóż powiadam, że to jest zarzut, na który zdobyć się może jedynie ten, kto nigdy nie był świadkiem naocznym zjawiska a w dodatku o doświadczeniach naukowych pojęcia niema.«

»Tem źródłem nie mogą być ani usta wiernych, gdyż relikwiarz daje się do pocałowania dopiero po rozpuszczeniu krwi Świętego, ani świeca kleryka, bo on stoi w odległości kilku kroków od relikwiarza i w dodatku płomień jego świecy jest w ciągłym ruchu, tem mniej mogą być świece, palące się na ołtarzu z daleka. Przytem nie należy zapominać, że wszelkie doprowadzanie ciepła np. za pomocą drutu lub prądu rozgrzanego powietrza, jest z góry wykluczone.«

»Z drugiej strony fakt, że to zjawisko jest zmienne i nieregularne, wyklucza wszelką mo-

żliwość działania temperatury środowiska, t. j. niszy i kaplicy, w której się odbywa. Ciepło[1]) tedy i oscylacya temperatury wytłómaczyć nie może tego, co się z krwią św. Januarego dzieje.«

»Ale może działają tu inne rozpuszczalniki chemiczne!«

»I to także nie. Bo jakieżby to być miały?«

Więc dla reprezentantów nauki szczerych, a nie mogących się zdobyć na otwarte uznanie cudu, nie pozostaje nic, jak z Dr. Punzo skończyć stwierdzeniem swej niewiadomości i oświadczeniem, że »nauka w obecnym stanie wyjaśnić tego nie może« i dlatego milczy, czyli innemi słowy myli się ten, ktoby cud św. Januarego chciał wytłómaczyć przez znane siły przyrody, a przeciwnie żaden uczony nie może naukowo wykazać, że się mylimy my, kiedy się tu na cud powołujemy.

Czyli innemi słowy: my możemy przeciwnikom cudu św. Januarego wykazać, że się mylą, a oni nam tego wykazać nie mogą.

* * *

»Nauka dziś milczy, ale może przemówić w przyszłości... Może odnajdzie jakieś siły natury obecnie przed nami ukryte. Przecież ileż to jeszcze tajemnic w przyrodzie ciemna okrywa osłona!«

---

[1]) Dr. Weedal pisał w »Cathol. Magazin«: »Łatwiej jest świecę zapalić przyłożeniem ręki do lichtarza, niż w tych warunkach (przez szkło podwójne) rozpuścić jakąkolwiek masę stałą«.

Prawda. Ale ze sprawą naszą nic to wspólnego niema, bo choć nie znamy praw przyrody wszystkich, znamy ich wiele, — znamy tyle, aby z całą pewnością módz stwierdzić, że w warunkach, w jakich się cud św. Januarego dzieje, wymagają one czego innego, — że to, co się tam dzieje, dzieje się przeciw znanym prawom natury, — dzieje się właśnie tak, jak dziać się według nich nie powinno. A to znowu wystarcza, aby stwierdzić, że to zjawisko jest praw tych zawieszeniem, czyli cudem.

Nie mówiąc już o zmienności i nieregularności zjawiska, co jest wprost przeciwnem znanemu prawu przyrody, że »w tych samych warunkach te same przyczyny te same wywołują skutki«, — weźmy znane prawo niezniszczalności masy. Polega ono na tem, że w świecie materyalnym nie ginie nic i nie przybywa nic. Otóż w cudzie św. Januarego dzieje się coś, co się prawu temu wprost sprzeciwia.

I tak np. w czasie obserwacyi, robionych przez Dr. P. w maju 1881 r. krew Świętego zaskrzepła, zajmująca we flaszeczce tyle miejsca, ile każda inna w tych samych warunkach, — poczęła się rozpuszczać, podnosić, tak, że w końcu we flaszeczce było płynu, ile potrzeba, aby ją napełnić, t. j. mniej więcej, ile na początku IV. w. w niej się znajdowało. To jeden fakt.

A drugim faktem jest to, że nazajutrz, kiedy z niszy wybierano relikwiarz, zawartość

flaszeczki była znowu taką, jak dnia poprzedniego. W jakiż sposób jej tyle ubyło?

A nie jest to tylko złudzenie optyczne, bo w tym samym stosunku co zwiększa się objętość płynu, przybywa relikwiarzowi i wagi.

Prof. Sperindeo w r. 1901 stwierdził jaknajdokładniej, że relikwiarz z zawartością stałą waży 0,987 kg. a z płynną, wypełniającą całą flaszeczkę — 1,015 kg.

Różnica jest 27 gr., co odpowiada najzupełniej ciężarowi 25 centymetrów sześciennych krwi, potrzebnych do wypełnienia reszty flaszeczki, biorąc za ciężar gatunkowy 1,055 kg.

Więc objętość się zwiększa.

Otóż wobec tego, że flaszeczka przypieczętowana jest lakiem i hermetycznie zamknięta, zwiększenie to sprzeciwia się wspomnianemu prawu natury, czyli jest cudownem. Objętość zaś ta naturalnym sposobem powiększyćby się mogła jedynie przez dolanie odpowiedniej ilości jakiegoś płynu, a dolanie oczywiście z zewnątrz.

Tymczasem to jest wykluczone.

A przeciwnie, kiedy w nocy płyn, wypełniający flaszeczkę, zmienia się w warstwę skorupy zakrzepłej i traci połowę swej wagi, to znowu na podstawie tegoż samego prawa przyrody nastąpić to może jedynie przez działanie atmosfery lub innego ciała, wsiąkającego w siebie wodę w krwi zawartą. Ale i to jest wykluczone.

Więc jedynie uzasadnionem, racyonalnem, a więc i naukowem wytłómaczeniem zjawiska wspomnianego jest cud.

Niema innego wyjścia.

* * *

Wobec tego niech nikt się nie dziwi, że my, katolicy wierzący, na cud ten tak chętnie się powołujemy, a z drugiej strony, że nasi przeciwnicy tak namiętnie go odrzucają... blamując się przytem fatalnie.

Świeżym dowodem tego jest eksperyment inżyniera Dr. Arnolda Giaccio, dokonanego przy pomocy p. Podrecco, redaktora dziennika »L'Asino«, w sali ludowej 22. grudnia 1906 r. w Rzymie. Miało to być zdarzeniem epokowem. P. Giaccio obiecywał z krwią zaskrzepłą cielęcia powtórzyć zjawisko, które się dzieje w Neapolu z krwią św. Januarego.

Obiecywał, chciał zdziałać, chełpił się z tego, że zdziałał, socyalistyczne »Avanti« i brudny »L'Asino« roztrąbił po świecie, że zdziałał... to wszystko prawda; ale to tylko nie jest prawdą, że potrafił powtórzyć to samo i w tych samych warunkach, co dzieje się w Neapolu.

Rzekome powtórzenie cudu jest nieprawdą i kłamstwem, opartem na mistyfikacyi, a raczej na całkiem pospolitem kuglarstwie.

* * *

Zobaczmy jak się rzecz miała. Otóż na owem sławnem posiedzeniu z 22. grudnia,

zapowiedzianem przez oba wyżej wymienione, a podejrzanej wartości dzienniki, było wielu socyalistów, którzy przyszli z postanowieniem, z góry powziętem, przyjęcia za dobrą monetę wszystkiego, co panom aranżerom będzie się podobało zademonstrować. Oni też przy końcu posiedzenia, które trwało do północy, zadecydowali, że doświadczenie się udało i że »cud się powtórzył«.

Nieszczęście chciało, że na tem zebraniu znalazło się kilku ludzi fachowych, studentów chemii, obeznanych z warunkami, jakim w czasach dzisiejszych każdy eksperyment naukowy fizyczny czy chemiczny odpowiadać powinien. Otóż zdaniem ich to, co pp. Giaccio i Podrecco robili, nie posiadało tych warunków, owszem zdradzało cechy mistyfikacyi i to niezręcznej. To też zaraz na poczekaniu w imieniu nauki zaprotestowali przeciw jej nadużyciu, żądając powtórzenia eksperymentu w warunkach przepisanych przez dzisiejszą wiedzę przyrodniczą.

Tego ci panowie znowu się nie spodziewali i straciliby głowy, gdyby entuzyazm obecnych »towarzyszy« nie wrócił im równowagi. Przyjmując tedy wyzwanie, odparli dumnie, że są gotowi zrobione doświadczenie powtórzyć wobec ludzi fachowych, z zachowaniem wszelkich warunków.

No! Nic nie kosztuje obiecać; ale trudniej obietnicy dotrzymać.

Zobaczmy co się stało.

* * *

Panów Giaccio i Podrecco wzięto za słowo.

Zaraz nazajutrz ludzie nauki: dr. Cingolini i dr. Serafini wystósowali do p. Giaccio list otwarty, z żądaniem, aby, dotrzymując obietnicy, stawił się w pewnej rzymskiej kawiarni dla bliższego omówienia warunków, wyliczonych w liście. Pan G. się nie stawił, tylko w gazecie »Avanti« umieścił swą odpowiedź, zawierającą oczywiście najsilniejszy argument naukowy tego rodzaju szermierzy: mianowicie szyderstwo i żarty niewczesne.

Ale na tem się nie skończyło, bo w kilka dni później znowu dwóch innych ludzi fachowych, chemicy dr. Luzzi i dr. Manzini ogłosili w gazetach (»Avanti«, »Messagero«, »Giornale d'Italia« e »Corriere d'Italia«), że u notaryusza rzymskiego Altarocca składają 1000 lirów i proponują tryumfatorom z »Ludowego Domu«, aby w warunkach, wymaganych przy każdem poważnem naukowem doświadczeniu, zechcieli swój eksperyment powtórzyć. W razie powodzenia 1000 lirów miało należeć do nich.

Do tego wyzwania panów Luzzi i Manzini przyłączyli się dwaj wyżej wspomniani chemicy. W ten sposób czterech ludzi fachowych podniosło rękawicę, rzuconą Kościołowi katolickiemu i domagało się wyświecenia prawdy.

* * *

Dzień 1. stycznia 1907 roku, wyznaczony na

ostatni termin przyjęcia wspomnianej propozycyi, minął.

O 1000 lirów nikt się nie pokusił.

Co więcej, dowiedziano się, że w jakimś bardzo ważnym interesie p. Podrecco wyjechał do Egiptu, a p. Giaccio — na prowincyę.

Mimo to »Avanti« starał się odzyskać pewność siebie i zaręczał że »katolicy jego doświadczeń zbić nie potrafili«...

No! skłamał, ale czy po raz pierwszy?... prawdopodobnie i nie ostatni.

Napróżno pp. Luzzi i Manzini starali się w liście otwartym przemówić do jego sumienia »naukowego«. »Avanti« odpowiedział po swojemu: »Dwóch doktorów chemii... katolickiej, pp. Luzzi i Manzini, nadesłali nam długi list, gdzie dowodzą, że cud św. Januarego to rzecz jasna jak słońce!... Szanowni panowie! możecie żartować wy, możemy i my, ale na powtarzanie głupstw pismo nasze miejsca nie ma«.

Z tego wszystkiego wynika:

1) że przyciśnięty do muru »Avanti« wykręcił się zwykłą takim pismom bezczelnością;

2) że przez ten wysiłek przeciwników, ich blagę i kłamstwa cud św. Januarego stwierdzony został na nowo;

3) że po tem wyzwaniu, — 1000 lirach, złożonych u notaryusza i haniebnej ucieczce panów Giacco i Podrecco — na cud św. Januarego można się powoływać z daleko większą siłą, niż przedtem.

4) Panowie ci odegrali tu rolę tę samą, co Faryzeusze, kiedy, postawiwszy straż przy grobie Pańskim, go opieczętowali. Pan Jezus zmartwychwstał a ich straże i pieczęcie posłużyły tylko do urzędowego stwierdzenia Pańskiego Zmartwychwstania.

* * *

Lecz oto jeszcze jeden zarzut.

Powiadają, że »podczas okupacyi Neapolu przez Francuzów na początku XIX w., kiedy cud św. Januarego w zwykłym czasie nie chciał się powtórzyć, komenderujący podówczas jenerał Champollion kazał przywołać kustoszów »Św. Skarbu« i groził im śmiercią, jeśli cud się zaraz nie stanie. I cud się stał na zawołanie? Jakże to?«

A no tak. Na pierwszy rzut oka można mieć w tem trudność, ale przy bliższem zastanowieniu zrozumie każdy człowiek myślący, że jedno drugiemu nie przeszkadza.

Przypomnijmy sobie, co w swym opisie tak szczegółowym, dr. Punzo powiada o cudzie (w oczach jego »zjawisku tylko nadzwyczajnem«) św. Januarego.

Oto powiada, że to zjawisko występuje po dłuższej albo krótszej modlitwie obecnych. Trzeba prosić, aby się stało.

Cóż tedy w tem dziwnego, że wówczas cud się stał, kiedy o niego z szczególną gorącością prosili kustosze »Św. Skarbu«? Stał się

po rozkazie jenerała Champolliona, ale nie wskutek jego rozkazu.

Zresztą faktem jest, że od czasu do czasu w dnie oznaczone cud się nie dzieje, albo trzeba nań długo czekać, choć wierni w kościele zebrani o to gorąco się modlą. A dzieje się to zazwyczaj, gdy P. Bóg chce zwrócić uwagę na coś, czego od modlących się domaga: odmiany życia, pokuty, usunięcia jakiegoś zgorszenia itd.

Musielibyśmy się dziwić, gdyby było inaczej.

A że podczas okupacyi przez wojska francuskie działy się w Neapolu rzeczy nie miłe P. Bogu: więc cud się nie stawał. W mieście wskutek tego powstało wzburzenie i nielicznej francuskiej załodze poczęło grozić poważne niebezpieczeństwo. To też jenerał Champollion zmuszony był do użycia środka, jakiego każdy dziki zdobywca w takich razach się chwyta: pokazał, że ma kułak.

I zjawisko się stało, ale w ten sam sposób i w tych samych warunkach, co przedtem i potem, więc i wtedy było cudownem.

* * *

»O prawdziwości cudu św. Januarego nie wątpię: tylko nie rozumiem dlaczego P. Bóg go tyle razy powtarza?«

Odpowiedź łatwa.

Dlaczego powtarza? Otóż dlatego samego dlaczego wogóle działa cuda. Cud każdy to pieczęć, jaką P. Bóg przykłada do nauki w Swo-

jem Imieniu głoszonej, — to podpis, którym poświadcza, że jest jego dziełem — to broń, którą daje Swym sługom.

Otóż cud św. Januarego jest tą pieczęcią, podpisem, bronią, tak samo jak cuda, które działał sam Chrystus Pan, albo które działali w Jego Imieniu Apostołowie, Święci, albo które w ciągu wieków działy się lub dzieją w katolickim Kościele. Tylko ta między nimi zachodzi różnica, że cuda inne należą do przeszłości, niektóre nawet bardzo odległej a cud św. Januarego — to nie tylko cud teraźniejszy, ale to cud dla każdego przystępny.

Stąd skuteczność tamtych cudów wobec ludzi, nie daleko widzących, nieraz nie jest dość silna, pozostawia im jakąś, wprawdzie nieuzasadnioną, nierozsądną, niekrytyczną, ale zawsze wymówkę: »Kto wie jak tam było? Uwierzylibyśmy, gdybyśmy byli ich świadkami«.

Tymczasem z cudem św. Januarego to nie idzie. On czyni i tę wymówkę niemożliwą, bo daje nam za dowód Boskości naszej wiary nie tylko cud współczesny, jak cuda w Lourdes, ale cud, którego każdy z nas stać się może świadkiem.

W oczach każdego, żyjącego dziś człowieka może się dokonać to przyłożenie pieczęci Najwyższego do naszej świętej wiary katolickiej; do naszego świętego Kościoła katolickiego, do głoszonej w nim nauki, sprawowanej w nim Ofiary, udzielanych w nim Sakramentów, do rządzącej nim hierarchii. I to wszystko P. Bóg

stwierdza na nowo, za każdym razem co działa cud z krwią św. Januarego.

Na takie potwierdzenie swej wiary powołać się nie mogą ani anglikanie, ani protestanci, ani schizmatycy.

Przytem przez ten cud pragnie P. Bóg przypomnieć nam także nadprzyrodzone nasze przeznaczenie, odciągnąć myśl od ziemi, w sercach rozpalić miłość a ożywić pobożność i wzmocnić wiarę.

Dziękujmy tedy Panu Bogu za ten nowy dowód Jego dobroci i wśród burz, szalejących ponad Kościołem, wśród spienionych bałwanów, grożących mu zatopieniem, bądźmy spokojni. Oto cud św. Januarego nam powiada, że Pan Bóg z nami.

A jeżeli Bóg z nami, to prędzej czy później będzie z nami i zwycięstwo.[1])

---

[1]) Kto chce się bliżej poinformować o cudzie św. Januarego, niech zaglądnie do dzieła p. Leona Cavène, p. t. Le célèbre miracle de Saint Janvier à Naples et à Puzzoles, examiné à double point de vue historique et scientifique avec introduction sur le miracle en général. (Paris 1909. Gabriel Beauchesne et C. XVI. 359 in 8⁰.)

## LIST X.

# O Darwiniźmie.

Ewolucya, jako hipoteza przyrodnicza. — Kto jest twórcą ewolucyi? — Co jest właściwością Darwina? — Darwinizm darwinizmowi nie równy. — Pewniki, z którymi teorya ewolucyi musi się liczyć ze względu na postulaty rozumu — wiedzy przyrodniczej — wiary. — Bankructwo darwinizmu Darwina i Haeckla. — Selekcya. — Walka o byt. — Dowód morfologiczny. — Przyczyny mechaniczne i dowód biogenetyczny Haeckla. — Dr. Friedenthal. — Człowiek małpa — człowiek torbacz.

»Jakże można — piszesz mi — lekko zbywać sobie potentata naukowego tej miary, co Darwin. Jego teorya — ma być mrzonką, bajką?«

Przyznajesz wprawdzie, że »na ostateczne wyniki ewolucyi Darwina nie chcesz się pisać, ale czujesz, że i w jego ewolucyi coś przecie prawdy być musi«.

I coś rzeczywiście jest, pod tym względem z Tobą się zgadzam. Ponieważ jednak chcesz, jak widzę, mieć jasne pojęcie nie tyle o Darwiniźmie, ile o ewolucyi, więc postaram się oddzielić Ci pretiosum a vili... t. j. rozróżnić, co w teoryi, uważaj, nie Darwina i Haeckla, —

ale w teoryi ewolucyi może być uznane za przedmiot naukowego badania, a co powinno być odrzucone, jako mrzonka i utwór chorej a wybujałej wyobraźni.

Nie myśl przytem, że, piętnując w ten sposób teoryę Darwina, mówię na wiatr. Mam bowiem oprócz wielu innych przyrodnika tej powagi co Dubois-Reymond, który powiedział, że wobec genealogii Darwina i Haeckla wyobraźnia Homera z jego rodowodami bóstw olimpijskich — to dziecięce gadanie.

* * *

Natura non patitur saltus, — powiadali starzy. Natura nie zna skoków.

Wystarczy na świat roślinny i zwierzęcy rzucić wzrok pobieżnie, aby się przekonać: 1) że przedewszystkiem w obfitości, bogactwie i rozmaitości gatunków, które się na te światy składają, widzimy stopniowanie powolne — gradacyę od istot, bardzo jeszcze niedoskonałych w swych potrzebach i objawach życiowych, do coraz to doskonalszych, aż do najdoskonalszego ze wszystkich człowieka. W świecie jest ewolucya planu i myśli.

Weź n. p. typ kręgowców. Jakie w nim stopniowanie! Nóg u jednych wcale jeszcze niema, u innych już są, ale grube i ciężkie; potem doskonaląc się, przetwarzają się one w pletwy, skrzydła, co raz zgrabniejsze, lżejsze, zdolniejsze do ruchu na lądzie, wodzie i po-

wietrzu. Wszędzie zasada, typ ten sam, ale przy tej tożsamości typu jaka rozmaitość jego przejawów, wskazująca na rozwój i doskonalenie!

Albo weź różne rodzaje drzew szpilkowych: sosnę, jodłę, świerk, modrzew, cyprys, cedr, jodłowiec i powiedz, czy zaraz na pierwszy rzut oka nie uderzy Cię pokrewieństwo tych gatunków, i typ ten sam w rozmaitości swych objawów.

Podobnież jeden i ten sam typ mamy u owcy, kozła, sarny, jelenia, łosia, renifera. Wszędzie jedność przy rozmaitości i stopniowanie od przejawów mniej doskonałych do doskonalszych czyli ewolucya (rozwój).

Na podstawie tej jednostajności form według większego lub mniejszego podobieństwa, układamy rośliny i zwierzęta w najbliższe sobie gatunki[1]), gatunki pokrewne — w rodzaje, rodzaje zaś w familie a wreszcie familie w typy.

Oto fakt pierwszy. — Idźmy dalej.

2) Toż samo o czasach przedhistorycznych mówi nam paleontologia. »Typy zwierząt i roślin, wśród których żyjemy, pojawiają się na arenie tego świata nie odrazu wszystkie, ale

---

[1]) Przyrodnicy do tego samego gatunku zaliczają zazwyczaj osobniki z wielu względów do siebie podobne, mogące ze skutkiem się krzyżować i to tak, że podobne do nich potomstwo jest także zdolne do rozmnażania. — O ile zaś mają być one do siebie podobne, nauka dokładnie dotychczas nie określiła.

powoli, po kolei, według pewnego systemu od typów mniej doskonałych do coraz to doskonalszych. Dzieje ich są różne, ale ile razy wyłaniają się z mgły przeszłości, zadziwiają nas zaraz swym wykończeniem. Są między niemi takie, co bez żadnej prawie zmiany przeszły przez najróżnorodniejsze ewolucye skorupy ziemskiej, nieruchome jak skała: jakiemi były od początku, takiemi są i dzisiaj. Możnaby je nazwać typami panchronistycznemi, bo do wszystkich czasów należą. Są inne, które nazwalibyśmy typami elastycznemi, bo, doznawszy pewnych zmian, z biegiem czasu wróciły do stanu pierwotnego, jak n. p. istoty stojące na niskim stopniu rozwoju.«[1])

»Inne znowu na pozór w przeszłości nie mają żadnego poprzednika, albo przeciwnie Przeszłość zna typy, które w dzisiejszym świecie żyjącym nie pozostawiły po sobie żadnego śladu.«[2])

Oto fakt drugi.

3) Wyrazem wreszcie każdego gatunku jest osobnik. Otóż w jego życiu ewolucya stanowi podstawę bytu. Widzimy w nim najpierw początek, zarodek, jako stan, potrzebujący wykończenia; potem rozwój tego zarodka czyli wzrost i wreszcie typ pełny, wykończony czyli wiek dojrzały. Początek zaś swój

---

[1]) Gaudry: Fossiles sécondaires 293.

[2]) Lapparent. Du role de temps dans la nature. (Rév. de Quéstions. Scient. avril 1885).

bierze każdy osobnik od rodziców tego samego gatunku, w łonie matki, od której, za pośrednictwem ojca, otrzymuje życie podobne do ich życia, ale nie wykończone, bo przeznaczone do rozwoju, ewolucyi, — a ewolucyi już nietylko planu i myśli ale wewnętrznej ewolucyi rzeczy.

Oto fakt trzeci.

Wobec tych trzech faktów, stwierdzonych przez zoologię, botanikę, paleontologię i biologię, nasunąć się musi mimowoli pytanie, czy przypadkiem gatunki pojedyńcze istot dziś żyjących — a jest ich w świecie zwierzęcym około 500,000, a w świecie roślinnym koło 300,000 — nie przeszły także takiego samego rozwoju wewnętrznego, jak ich osobniki, kształtując się w łonie swego rodzaju, familii, lub typu tak, jak w łonie matki kształtowały osobniki, z tą różnicą, że kształtowały się do życia coraz lepszego, doskonalszego a więc innego, niż było to, które posiadał poprzedzający bezpośrednio rodzaj, familia lub typ?

Na to pytanie odpowiadają uczeni rozmaicie, tworząc dwa główne obozy: zwolenników trwałości gatunków (fixyzmu) i ewolucyonistów, którzy znowu rozpadają się na różne szkoły, stosownie do granic, jakie każda z nich zakreśla ewolucyi i do sposobu, w jaki ją tłómaczy.

* * *

»W świecie przyrody żyjącej, wziętej w ogólności, uderzają przyrodnika dwa fakta: fakt podobieństwa, zbliżania się jednych gatunków do drugich, i fakt różnic pomiędzy niemi istotnych t. j. wzajemnego się oddalania. Jak to sobie tłomaczyć?

»Czy przez nowe akty twórcze, za każdem pojawieniem się nowego gatunku, podobnie jak za każdem zorganizowaniem się nowego ciała ludzkiego za pośrednictwem rodziców, stwarza Pan Bóg dla niego nową duszę i z niem łączy? — albo też przez stopniowe przemienianie się, transformacyę jednego i tego samego typu t. j. przez zaniechanie formy jednego gatunku, a przyjęcie formy drugiego, — więc formy innej, ale będącej udoskonaleniem poprzedniej?

»Na pozór za jednem i drugiem przemawia wiele. I tak nie da się zaprzeczyć, że u wielu istot żyjących w obu królestwach zachodzi widocznie jakiś wzajemny związek; ale i to jest pewne, że u wielu innych go niema.

»Stąd też i zdania uczonych są podzielone. Jedni przypuszczają, że P. Bóg bezpośrednio stworzył tylko niektóre formy, obdarzone zaraz w pierwszej chwili takim zasobem siły rozwojowej, taką możnością modyfikowania, naginania się — jak to mówi Gaudry — do najróżnorodniejszych warunków i potrzeb, że na podstawie praw, zresztą nam całkowicie nieznanych, przez powolne i niedostrzegalne przemiany, doszły do skrystalizowania się w sto-

pniach najrozmaitszych życiowego bytu, według planu, jaki im zakreślić podobało się Stwórcy.«

»Ci, którzy to przypuszczają, tworzą obóz ewolucyonistów albo transformistów.«

»Tego przypuszczenia nie chcą znowu uznać inni uczeni, utrzymując, że każdy nowy gatunek, niezależnie od poprzednich, mu podobnych, stworzony został osobno, kiedy na niego w wyrokach Opatrzności wypadała kolej.«

»To są zwolennicy teoryi fixyzmu t. j. trwałości gatunków.« [1])

. . . . . .

. . . . . .

Kto z nich ma słuszność? Nie nasza rzecz to rozstrzygać. Nam, mój drogi, jako laikom, wystarczy znać stan kontrowersyi, — wiedzieć co w twierdzeniach niektórych ewolucyonistów jest oczywistym nonsensem? gdzie przekraczają granice swojej wiedzy, a wdzierają na pole filozofii? co za ewolucyonizmem umiarkowanym a więc rozumnym przemawia? a co przeciw niemu?

O tem w tym liście i następnym pomówimy.

* * *

Zdaniem dziś w świecie dość rozpowszechnionem, za twórcę teoryi ewolucyjnej czyli transformizmu uważanym jest przyrodnik angielski, Karol Darwin. Choć w rzeczywistości

---

[1]) Nadaillac. L'Homme et le singe, 112.

tak nie jest, jednak dziwić się temu nie trzeba, bo imię Darwina do tego stopnia związane jest z ewolucyą, że darwinizm i ewolucya jakakolwiek u wielu stanowi synonim. Stąd nieraz się przytrafia, że się przeciwników Darwina uważa za przeciwników zasady ewolucyjnej, choćby całkiem inaczej pojmowanej, niż on ją pojmował.

Tymczasem, mój drogi, Darwin z wynalezieniem teoryi ewolucyjnej ma tyle wspólnego, ile podróżnik portugalski Amerigo Vespucci z odkryciem Ameryki. Odkrycia Nowego Świata dokonał wprawdzie Krzysztof Kolumb, Genueńczyk, ale je rozgłosił i spopularyzował Amerigo Vespucci, stąd nie Kolumb ale Amerigo przekazał mu swoje imię. Nie zawsze oddaje się każdemu, co mu się należy. Nieraz sam rozgłos popłaca więcej, niż cicha ale ukryta zasługa.

Tak samo było z teoryą ewolucyi. Już w starożytności wpadł na jej myśl grecki filozof Demokryt, a odnowił ją później Lukrecyusz: obydwaj z tychże samych powodów; obydwaj bowiem, jako ateusze, chcieli świat sobie wytłumaczyć bez Boga, przez samą materyę i dlatego chwycili się teoryi atomów, ewolucyi, selekcyi naturalnej, przypadku, walki o byt i t. d., aby ten swój ateizm jako tako uzasadnić i ułożyć w system filozoficzny.

Z całkiem innego punktu wyjścia i w znacznie ciaśniejszych granicach, nauczał w wiekach średnich rozwoju gatunków Albert W. a za nim wielu innych scholastycznych teologów. — Kto wierzy w Wszechmoc i Mą-

drość Stwórcy, ten w samej zasadzie ewolucyi nie może widzieć przeciwieństwa z wiarą; on ją owszem uważać będzie za prawdopodobną. Jeżeli P. Bóg wlał w osobnika taką siłę, że po kolei przeobraża się z robaka w poczwarkę, a z poczwarki w motyla, dlaczegożby nie mógł pojedyńczym gatunkom roślin i zwierząt dać mocy przeradzania się z biegiem czasu i zmianą warunków w typy coraz doskonalsze i nowe gatunki?

Do takiej ewolucyi scholastyka tak dalece nie czuła żadnego wstrętu, że, nie mogąc pojawienia się na ziemi niektórych żyjątek inaczej wytłómaczyć, uciekała się do teoryi samorodztwa, dziś naukowo i doświadczalnie przez wszystkich odrzuconej.

Do ogólnej ewolucyi, jako systemu filozoficznego, pod koniec XVIII wieku, wrócił Lamark i na swój sposób za pomocą zewnętrznych tylko przyczyn usiłował ją tłumaczyć, oczywiście bez pożądanego skutku.

Po Lamarku dopiero przyszedł Darwin.

* * *

»Ale w każdym razie, jeżeli Darwin nie wpadł pierwszy na myśl transformizmu, to przynajmniej teoryę ewolucyi udoskonalił i wzbogacił przez nowe spostrzeżenia, poglądy i hipotezy.«

I to także nie. Powiadam Ci jeszcze raz: Darwin nie jest ani pierwszym, ani głównym,

ale tylko najgłośniejszym przedstawicielem ewolucyonizmu.

Aby się o tem przekonać, dość przypomnieć właściwości ewolucyi Darwina, dzięki którym między zwolennikami tego systemu zajął on miejsce najwybitniejsze. Uważaj przytem dobrze, że mi nie chodzi tu o Darwina, jako przyrodnika, specyalistę w pewnym zakresie przyrodoznawstwa: jako taki może on mieć i ma swoje wielkie zasługi. Tych mu bynajmniej nie odmawiam. Mnie tu chodzi jedynie o Darwina ewolucyonistę i filozofa.

Otóż powiadam, że Darwin jako ewolucyonista, ma cztery właściwości:

1) Najpierw, że na uzasadnienie swej teoryi wprowadza nowy sposób argumentowania za pomocą pewników »niepewnych«. Jego zdaniem dość »módz sobie coś przedstawić«, »wyobrazić«, »przypuścić«, aby tezę najzawilszą udowodnić tak, że na niej jak na pewniku, dalsze swe rozumowanie można spokojnie opierać. Przecie w jego rozprawach o transformiźmie spotykamy co chwila takie zwroty, jak: »możemy sobie przedstawić«: a więc... »możemy sobie wyobrazić«: stąd wynika... »takby być mogło«: skoro tedy tak jest... »takby być było powinno« i t. d. — Tą drogą, mój drogi, udowodnić można bardzo i bardzo wiele, ale nie naukowo. Bo i czegoż to wyobrazić sobie nie potrafi wyobraźnia bujna poety, a nawet choćby każdego uzdolnionego młodzieńca? I to, co taka wyobraźnia stworzy, miałoby być zaraz

rzeczywistością! Tak przynajmniej sądzi Darwin, jako ewolucyonista. To też i rezultaty jego badań odpowiadają całkowicie tej metodzie.

2) Potem ku wielkiej uciesze swych filozoficznych spadkobierców wynalazł Darwin panaceum na wszystkie kłopoty, w które go niedyskretne pytania nieraz przychylnych ludzi a nawet uczniów wprowadzały.

Pytają go n. p. jakim sposobem tłómaczy on przeskok ze świata anorganicznego do świata życia? czyli co rozumie pod życiem? Na to Darwin: »Życie — to pangena«; ale go poprawiają uczniowie. Uszczęśliwiony Haeckel wtóruje mu i woła: »Nie — to plastidana«; Naegeli: »to ideoplasma«; Weissmann: »to biofora«; Verworn: »to biogona«; Sachs: »to energia«; Hertwig: »to idioplasma« i t. d. Co pod tem wszystkim rozumieją? w czem się różnią? to znowu ich tajemnica. Zanadto napastowani o jej wyjaśnienie, chowają się znowu za inny na poczekaniu wynaleziony wyraz grecki lub łaciński... i rzecz skończona. Któż magicznej sile złożonego wyrazu greckiego lub łacińskiego oprzeć się potrafi, szczególnie jeżeli łaciny i greki się nie uczył?

Czytając wywody Darwina i jego epigonów nieraz się wydaje, że ich słowa są strasznie uczone i mądre, a tu tymczasem niema w nich nic, jak tylko na niczem oparte, bezsensowne hipotezy, wielce rozmarzona i chora wyobraźnia i... trochę uczonej blagi.

»Mówię śmiało — wołał Virchow na kongresie antropologów we Frankfurcie 1882 — że rzadko kiedy doniosłą kwestyę naukową traktowano tak lekko, jak ewolucyę.«

Oto druga właściwość Darwina.

3) Dalszą jego właściwością jest sposób tłumaczenia sobie ewolucyi gatunków od protoplasmy aż do człowieka wyłącznie za pomocą czynników zewnętrznych: doboru naturalnego i walki o byt, dwóch czynników, które dzisiejsi przyrodnicy jednogłośnie wykluczają jako by mogły być główną przyczyną rozwoju gatunków.

4) Wreszcie Darwin wpadł pierwszy na myśl wyprowadzenia genealogii człowieka od małpy.[1]) Gdyby nie ta ostatnia jego właściwość, kto wie, mój drogi, czyby się stał tak sławnym i system jego tak rozpowszechnionym. To pewno, że ludzie niewierzący od razu zdali sobie sprawę, jak silnym sprzymierzeńcem dla ich niewiary a jeszcze bardziej dla ich swobody obyczajów jest teorya Darwina co do pochodzenia człowieka. Jeżeli człowiek pochodzi od małpy, to oczywiście stoi z nią na tym samym poziomie etycznym, — to ze śmiercią i dla niego jak dla małpy kończy się wszystko, — to i on nie potrzebuje obawiać się sądu po śmierci, — to nie ma racyi stłumiać swych namiętności itd. itd.

---

[1]) Der Darwinismus und die Naturforschung, Newton und Cuvier. B. III, 306.

Słusznie tedy zauważył Wigand, uczony przyrodnik, że »gdyby teorya descedencyi nie kończyła się wyprowadzeniem człowieka od zwierzęcia, dla większej części swych wielbicieli straciłaby wszelki urok.[1])« — Toż samo w chwili szczerej otwartości wyznaje Strauss i Vogt: »Darwinizm jest nam na rękę, bo to grunt, z którego bierzemy kamienie, aby szturmować do twierdzy zwalczanego przez nas chrześcijańskiego Kościoła«.

Co Ty, mój drogi, na to? Czyż nie prawda, że na podstawie takich właściwości, mógł się stać Darwin głośnym ewolucyi reprezentantem, ale nie głównym?

* * *

Ale mniejsza o samego Darwina. Faktem jest, że dla wielu dzisiejszych inteligentów darwinizm i ewolucya, to jedno i to samo, więc

---

[1]) Tak przynajmniej w naszej cywilizowanej Europie. Murzyni afrykańscy wynalazku tego dokonali o wiele wcześniej od Darwina. — Kiedy w 1901 r. bawiłem w Zambezyi, jako misyonarz tamtejszych Kafrów, studyowałem ich język i zbierałem bajki, będące jedynemi pomnikami ich literatury, — opowiadano mi między innemi o różnicy, jaką Kafer w swej naiwności widzi pomiędzy człowiekiem i małpą. »Oto małpa — powiada — jest takim samym człowiekiem, jak my, ale mądrzejszym, bo milczy i nie potrzebuje ani pracować, ani płacić »musoko«, (haracz roczny ściągany przez rząd portugalski z czarnych zdolnych do pracy, a wynoszący około 5 mk.): dwie rzeczy do których wstręt nieprzezwyciężony czuje każdy prawowity murzyn.

aby uniknąć nieporozumienia, za O. Wassmanem rozróżnić musimy darwinizm czworaki:

1) Darwinizm Darwina, jako system przyrodniczy czyli teoryę jego ewolucyi gatunków. 2) darwinizm Darwina jako jego teorya pochodzenia człowieka od małpy i 3) darwinizm, jako system filozoficzny czyli Haeckeljanizm od ucznia Darwina Haeckla, głównego jego przedstawiciela i wreszcie 4) darwinizm umiarkowany, czyli teorya ewolucyjna, nie przekraczająca granic, zakreślonych przez pewniki naukowe, znane z rozumowania, doświadczenia, wiedzy przyrodniczej i... Objawienia: a więc darwinizm jedynie racyonalny i naukowy.

Pierwszy darwinizm Darwina, zajmuje się kwestyą powstania na świecie gatunków, a rozwięzuje ją tak, że wszystkie gatunki wyprowadza od jednego nadzwyczaj prostego organizmu, który nazywa monadą, za pomocą samorodztwa utworzoną z przypadkowego połączenia odpowiednich atomów, a potem za pomocą doboru, selekcyi naturalnej t. j. znowu przypadkowej, rozwijającą się przez wszystkie stopnie życia roślinnego i zwierzęcego aż do małpy. — Z monady tedy, wedle tej teoryi, jakby ze źródła, rozlało się życie na ziemię, płynęło coraz to nowem łożyskiem i ostatecznie stężało w setkach tysięcy gatunków, aby się przelewać równoległe z osobnika w osobnik bez żadnych dalszych zmian zasadniczych i rozgałęzień gatunkowych.

Drugi darwinizm Darwina jest rozciągnięciem pierwszego na człowieka: jego ciało i duszę. —

Darwinizm trzeci albo Haeckeljanizm - to system Darwina podniesiony do wysokości systemu filozoficznego. Na wszystkie pytania zasadnicze, na które odpowiedź dać może tylko religia, Haeckel stara się odpowiedzieć ewolucyą. — Po za materyą w postaci atomów dla niego nie istnieje nic. — Atomy były zawsze, od wieków bez ruchu, aż w danej chwili, nie wiadomo kiedy? i dla czego... oczywiście przypadkowo, poczęły się ruszać, poczem powstały gwiazdy, systemy planetarne... powstała ziemia. A kiedy na ziemi znowu przypadkowo wyrobiły się warunki, sprzyjające pojawieniu się życia, przez »ruch mechaniczny i przemiany chemiczne atomów«, utworzyła się pierwsza komórka, żyjąca także przypadkowo i poczęła rozwijać się przez wszystkie stopnie, twory, aż do człowieka, jak uczy Darwin. — I w tym tytanicznym rozwoju monady przez setki tysięcy gatunków roślin i zwierząt niema kierownika, niema myśli przewodniej, niema celowości, bo wszystko się dzieje bez rozumu... ot przypadkiem.

W końcu pod darwinizmem umiarkowanym rozumiem teoryę ewolucyi, ujętej w ścisłe granice — teoryę, wyprowadzającą wszystkie gatunki z szeregu form pierwotnych, które bezpośrednio stworzył sam Bóg. — Tu

jedni idą dalej, inni nie tak daleko. Dla niektórych możliwość takiej ewolucyi wewnętrznej sił życiowych ogranicza się na tak zw. gatunkach (Art) w ścisłem tego słowa znaczeniu; inni rozciągają ją na rodzaje (Gattung) tej samej familii, a inni jeszcze na familie tego samego typu (Stamm), nigdy dalej.

Zresztą taka ewolucya jest dla nich tylko mniej lub więcej prawdopodobną hipotezą, ale nie pewnikiem, a tem mniej postulatem wiedzy. — Na to stan dzisiejszych badań naukowych podług nich, jeszcze nie pozwala.

»Mojżesz czy Darwin? — pyta dr. Hasert — i odpowiada: »Mojżesz i ewolucya. Jedno i drugie. Rozwój bowiem gatunków, jeżeli w ogóle ma miejsce, jest objawem Wszechmocy twórczej Pana Boga. Jeżeli się rozróżni pojęcie gatunku, jaki daje filozofia, od tego, jaki daje natura: i za gatunek uważa formy nazywane typami, każdy spokojny i rozsądny ewolucyonista przyzna Mojżeszowi słuszność, że Pan Bóg stworzył zwierzęta według rodzajów ich«.[1])

* * *

Nie tylko każda hipoteza, ale i każda teorya opiera się w nauce na prawdopodobieństwie, które we większem lub mniejszem stopniu po-

[1]) Antworten der Natur. (Graz 1908, str. 187.)

siada tylko wtedy, jeżeli pewnikom, zdobytym już przez rozum, się nie sprzeciwia.

Z chwilą, gdy choćby z jednym z nich stanie w oczywistej sprzeczności, przestaje być hypotezą naukową, i jako mrzonka musi być odrzuconą. Tak było z hypotezą albo raczej teoryą Ptolomeusza co do ruchu ciał niebieskich, dopóki Kopernik nie wykazał, że jest sprzeczna z rzeczywistością czyli, że się nie zgadza z pewnikami, jakich dostarczyło ściślejsze doświadczenie i głębsze badanie przyrody.

Pewniki są dla prawdziwego badacza punktami wytycznemi, drogowskazami, które go bronią od błąkania się i straty czasu. Dlatego pierwszym obowiązkiem każdego, kto w danym przedmiocie stawia hypotezę albo występuje z nową teoryą, jest znajomość pewników, jego przedmiotu się tyczących.

Oczywiście i ewolucyonista ma przed sobą także jakieś pewniki, z którymi liczyć się musi, jeśli chce być branym na seryo. Zobaczmy tedy jakie to są? czyli innemi słowy spytajmy się, co w sprawie początku i rozwoju życia na ziemi powiada nam na pewno filozofia? co nauka przyrodnicza? a co wreszcie wiara?

* * *

Prosty rozum, ta najzdrowsza filozofia, stawia nam pewniki następujące:

1) Zasadę przyczynowości. »Nic bez odpowiedniej przyczyny.« Jeżeli wszystko na świecie wyszło z pierwotnego atomu, to ten atom skąd się wziął? kto mu ruch ten a nie inny nadał? On sam sobie nie dał ani bytu, ani ruchu, więc dał mu ktoś inny, po za nim. Pewnikiem tedy rozumu jest, że po za atomami istnieje ich przyczyna i to rozumna... istnieje Bóg.

2) Pewnikiem rozumu jest, że przypadek niczego nie tłumaczy, bo go niema, — że jestto tylko wykręt nieuctwa i głupoty, bo przypadkiem na świecie nie dzieje się nic. — Dalej, że

3) z niczego nic powstać nie może. Jak ze świata organicznego do życia w roślinach, tak i ze świata roślinnego do życia zwierzęcego, a z tego świata do świata ducha niema przejścia, bo między niemi istnieje przepaść bytu nowego, będącego jeszcze w stanie nicości, — bo każdy z tych światów znajduje się na nowym szczeblu bytu, który z tym, co jest wyżej, w przyczynowym nie może stać w związku.

»Znajdujemy — pisze dr. Hasert — oczy już u skorupiaków, bardzo wprawdzie prymitywne, bo złożone z kropelki masy galaretowatej, dające im możność zapewnie tylko rozróżniania światła od ciemności. Zawsze jednak są to oczy prawdziwe, które ostatecznie rozwijać i udoskonalaćby się mogły, bo są. W zasadzie mogłaby ukrywać się w nich siła

rozwojowa do utworzenia kiedyś złożonych oczu owada albo nawet w dal sięgające a bystre oczy orła. Ale gdyby tego najpierwotniejszego oka nie było, jakimże sposobem mogłoby się ono rozwinąć? Gdzie punkt wyjścia dla tego rozwoju? Weźmy robaków, nie posiadających nawet takich oczu, jak skorupiaki i wskutek tego niemających najmniejszej potrzeby reagowania na światło. Skądby się wziąść miał u nich zmysł widzenia, aby powoli rozwijać się i doskonalić, kiedy one go zupełnie niemają? kiedy dla nich świat światła nie istnieje wcale? Z niczego — nic«.

4) Pewnikiem rozumu jest, że samego »czasu« jako takiego, nie można uważać za czynnik, za rzeczywistą czegoś przyczynę. Kto się nań jako na taką powołuje, postępuje albo naiwnie, co mniejsza, — albo, co gorsza, oszukuje innych.

»Ludzi prostych — powiada powyżej wspomniany autor — można oszukać, powołując się na miliony i miliardy lat, ale nie człowieka nauki. Czas, sam przez się, nie dokonuje przemian żadnych, bo, jako taki tj. oderwany od tego, co w nim jest, — nie istnieje wcale, znaczy tyle co zer miliardy, bez poprzedzającej je liczby — on nie istnieje, ale istnieją w nim istoty zmienne, które przez to że się zmieniają, pozwala ją nam utworzyć sobie pojęcie »czasu«. To też »czas« istnieje tylko w nas samych, w naszym rozumie i dlatego poza nim nie może być przyczyną. —

»Co gryzie »ząb czasu«, nie robi czas, tylko w czasie robią przyczyny, działające powoli, niepostrzeżenie. Nie widząc działania przyczyn, przypisujemy czasowi skutek, stający się widzialnym po niezliczonym szeregu przemian niewidzialnych. Ale, choć one działają powoli i na razie mało, nie mniej jednak działają tak samo, jak przyczyny, których skutek prędko i widocznie nam się objawia. Kropla wody, spadając na skałę, po latach i wiekach wyżłobi w niej łożysko, ale wyżłobi w czasie woda, nie czas.«

Ze względu na naturę przyczyny jest rzeczą obojętną, czy dom będzie się budować przez rok lub przez lat setki. W jednym i drugim wypadku potrzebne są siły, materyał i rozum budowniczego. Cobyśmy powiedzieli, gdyby nam kto dowodził, że, ponieważ katedrę Medyolańską budowano przez $4^1/_2$ wieków, powstała bez murarzy i architektów?

A to samo czyni każdy, kto jako przyczynę zjawiska danego w przyrodzie, podaje »czas«.

Oto pewniki filozofii czyli zdrowego rozumu.

* * *

A teraz pewniki nauk przyrodniczych, biologii, botaniki, zoologi a szczególnie paleontologii?

Paleontologia stwierdza, że

»W epokach przedhistorycznych żyło na naszej ziemi wiele gatunków roślin i zwierząt, których dziś na niej nie spotykamy.

»Im dalej sięgamy wstecz, tym gatunki są prostsze, mniej skomplikowane«.

»Pojedyńcze gatunki roślin i zwierząt nie występują na widownię świata w tym porządku systematycznym, w jakim klasyfikuje je nauka«.

»W formacyi kambryjskiej, najstarszej, w której napotykamy ślady życia, widzimy już wszystkie większe grupy zwierząt, podzielone nawet na pewną ilość familii odrębnych. Brak tylko kręgowców. Zato spotykamy je zaraz w następnej formacyi t. j. w sylurze dolnym w postaci niektórych gatunków ryb«[1]) a »w eocenie nawet wszystkie familie zwierząt ssących.«

»W przyrodzie — powiada Bumiller — zaraz od początku widzimy gatunki roślin i zwierząt o konturach tak ostro zarysowanych jak dzisiaj, bez żadnych form przejściowych: tak, że dzisiejsze gatunki fauny i flory pod żadnym warunkiem nie dadzą się wyprowadzić z jednego punktu wyjścia ale w najlepszym razie jedynie z całego szeregu typów pierwotnych, od siebie niezależnych«. —

»Ewolucya, jakąkolwiekby była, nie mogła być ciągłą ani konieczną.«

---

[1]) Koken. Die Vorwelt und ihre Entstehungsgeschichte.

| | Formacye | Klimat | Flora | Fauna |
|---|---|---|---|---|
| Azoiczne | Wulkaniczne<br>Pragneis<br>Prałupek | Pramorze<br>mętne<br>i ciepłe | Nie można było stwierdzić na pewno okazów żadnych. | |
| Paleozoiczne | Kambryum<br>Silur<br>Devon<br>Węgiel<br>Perm | Tworzenie wysp i lądu, otoczonego mgłą i ciemnością.<br>Wilgotno i ciepło. | Morskie glony, skrzypy. Paprocie drzewiaste. Szyszkowce. Cyprysy. | Tryglobity (raki), muszle, gąbki, kręgowce, ryby, pająki, żuki, płazy. |
| Mezozoiczne | **Trias**<br>piaskowiec.<br>Wapieniec<br>Keupera<br>**Jura**<br>czarny<br>brunatny<br>biały<br>**Kreda** | Powietrze może już wyżywić zwierzęta, oddychające płucami. Słońce się pokazuje. | Sosna, jodła (olbrzymie lasy). Dąb, buk, figa i inne liściaste. Bluszcz. | Jaszczurkowce (40 metrowe jaszczury). Zwierzęta ssące (archeopterix). Ptaki |
| Neozoiczne | **Trzeciorzęd**<br>eocen<br>miocen<br>pliocen | Tworzenie zon.<br>Powstają góry pojedyńcze i pasma.<br>Bardzo ciepło. | Łąki wawrzynowce,<br>rośliny kwiaciaste,<br>brzoza, olcha, winna macica. | Węże, motyle.<br>Świnia (tapirowate).<br>Konie, jelenie.<br>Gróboskórne i bydło. |
| | **Czwartorzęd**<br>diluvium | Peryod lodowaty. | Fauna i Flora różniczkują się stosownie do okolic. | Psy, małpy, koty, niedźwiedzie. |
| | alluvium | faza dzisiejsza. | Dzisiejsze rośliny i zwierzęta. | |

»Ewolucya ciągła gatunków t. j. trwająca przez cały przeciąg czasu od pojawienia się pierwszej istoty żyjącej na ziemi, musi być stanowczo wykluczona. W tym kierunku ogromny materyał dowodowy nagromadził Vogt, który na podstawie paleontologii, embryologii, badań nad mięczakami, muszlami, promieniakami i nawet zwierzętami ssącemi, wykazał cały szereg typów, występujących od razu, w pełnym swoim rozwoju.«[1])

»Z drugiej strony Huxley powiada[2]), że »ktoby teoryę swoją chciał oprzeć na rozwoju postępowym gatunków, na podstawie praw rządzących niemi z koniecznością, — tenby się mylił wobec faktu, nie dającego się zaprzeczyć, że gatunki najsilniejsze, najlepiej wyposażone, znikają najpierwej.«[3])

Biologia znowu stwierdza, że istota żyjąca nie może pochodzić wprost ze świata anorganicznego czyli, że o samorodztwie nie może być mowy.

Tyndall robił, co mógł, aby teoryę samorodztwa obronić ale napróżno: to też wkońcu z uczciwością prawdziwego uczonego, uznał się zwyciężonym: »Kiedy widzimy, jak w ogrodzie wschodzi fasola — powiada — wiemy na pewno, że tam ona posianą była nie co innego; tak samo kiedy płyn dany rozkładać się poczyna,

---

1) »Quelques Hérésies darvinistes«. (Rev. Scien. 1886.)
2) Lays Sermones. 193.
3) Nadaillac o, c. 113.

z tąże pewnością wyznać musimy, że zarodki życia dostały się doń z powietrza«.

* * *

Cóż wreszcie za zastrzeżenia wobec przyrodnika ewolucyonisty robi wiara? Z jakiemi występuje pewnikami?

Z dwoma znanemi mu już z rozumu: że 1) Pan Bóg jako pierwsza przyczyna jest twórcą wszechrzeczy, 2) w szczególności jest twórcą bezpośrednim każdej duszy ludzkiej, tworząc ją z osobna bez pośrednictwa żadnej drugiej przyczyny, jak to ma miejsce przy innych zjawiskach w świecie, nie wyłączając ciała ludzkiego.

Co do reszty zostawia mu zupełną swobodę. — Nawet co do ukształtowania ciała pierwszego człowieka nie daje Kościół żadnego określenia dogmatycznego. Przecież znalazł się (prawda jeden tylko), konwertyta, zoolog Mivart, który z Darwinem genealogię Adama co do ciała wyprowadzał od małpy. Ewolucyi prócz niego bronili O. Clarke w Anglii, O. Zahm[1]) w Ameryce, Dr. Maissoneure we Francyi i w ostatnich czasach O. Wassmann w Niemczech. Pana

---

[1]) »Niektórzy pisarze katoliccy, a przedewszystkiem O. Zahm, nadużywają często powagi św. Tomasza i Augustyna, kiedy widzą w nich zwolenników ewolucyi. A tu oni przecie przypuszczać nie mogli jak daleko w tym kierunku zajdą odkrycia wiedzy dzisiejszej.« Nadaillac l'Homme et le singe 20.

Mivarta zaszczycił Pius IX. w motu proprio tytułem doktora honorowego i to po ogłoszeniu jego dzieł o ewolucyi.

Fakta mówią za siebie.

* * *

Tu mógłbym skończyć. Po wyliczeniu pewników, na które każdy człowiek myślący musi się zgodzić, zbijać darwinizm Darwina i Haeckla niema właściwie potrzeby. Dla nich te wszystkie pewniki nie istnieją wcale, bo... są z ich teoryą w sprzeczności.

Cóż tedy dziwnego, że po pierwszem oszołomieniu, wywołanem nowością rzekomego odkrycia, prawdziwie uczeni poczęli się odzywać i skończyło się na tem, że teoryę Darwina odrzucili jednogłośnie Barrande, Baer, Wigand, Pasteur, Pfaff, Sachs, Kölliker, Dubois-Reymond, Claus, Virchow, Ranke, Fleischmann, Reinke, Dennert itd.

Ci wszyscy prawdziwi przedstawiciele nauki przyrodniczej uważają za nonsens usiłowanie, aby rozwój harmonijny gatunków tłumaczyć przez same siły »mechaniczne«. Stąd raz po raz wspominają o »bankructwie«, konaniu ewolucyi darwinistycznej; a wielu z nich nie chce słyszeć o ewolucyi w ogólności, choćby nawet najbardziej umiarkowanej.

W każdym razie jest to faktem, że wielu dawnych, gorących zwolenników materyalizmu Haeckla przerzuca się dziś albo w panteizm,

przypuszczający istnienie »wszechświatowego rozumu« (kosmische Intelligenz) ale identycznego ze światem: więc w gruncie rzeczy uczy tego samego, co jego materyalizm — albo w dualizm, uznający ponad światem i ponad sobą Istotę wyższą, która świat uczyniła tem, czem jest... uznający Boga.

I to także pewno, że do przyspieszenia bankructwa darwinizmu w świecie naukowym, przyczynił się niepomału głośny uczeń Darwina — Haeckel. Śmiało powiedzieć można, że przewyższył on swego mistrza, naśladując nietylko jego sposób dowodzenia i szafowania greckimi słówkami, ale w swem dziele klasycznem »Tajemnice Przyrody« obok innych kuglarskich sztuczek, obliczonych na naiwność i parti-pris czytelników, nie wahał się nawet dla »dobrej sprawy« materyalizmu wprost oszukiwać publiczność, okłamując ją w sposób bezczelny, — i to właśnie tam, gdzie powinien był być najbardziej rzeczowym, — gdzie chodziło o dowód embryonistyczny, przez niego najwięcej naprzód wysuwany. — Nic tedy dziwnego, że niedawno zmarły profesor berlińskiego uniwersytetu Dr. Paulsen, pisał o nim: »Z wzrastającym rumieńcem wstydu czytałem jego dzieło, — a wstydu na myśl o niskim poziomie kultury, szczególnie filozoficznej, moich ziomków. Boleśnie jest widzieć, że książka tego rodzaju mogła się pokazać u nas, — że znalazła czytelników, wielbicieli — że się stała wyrocznią dla wielu Niemców, — Niemców,

którzy wydali Kanta, Goethego, Schopenhauera i t. d.[1])

* * *

Żeby też przynajmniej teorya Darwina i jego epigonów, z tylu względów arbitralna i nie-

---

[1]) W książce swej, przeznaczonej dla szerszej publiczności kazał Haeckel odbić cztery obrazki tego samego embryonu, podpisując pod pierwszym, że to zarodek żółwia, drugim że — kury, trzecim że — psa, a czwartym że — człowieka, i oparł na podobieństwie tych oszukańczych obrazków swe rozumowanie!!

Loofs, profesor protestanckiej historyi kościelnej przy końcu rozprawy o Haecklu, powiada: »Wykazałem, sądzę, dostatecznie, że prof. Haeckel w rozdziale »teologicznym« swej książki okazuje brak całkowity sumienia naukowego (ein normales wissenschaftliches Gewissen) najpierw dlatego, że przytacza pisma brukowe najgorszego gatunku (elendste Schundliteratur), potem, że zdradza zdumiewającą ignoracyę, a wreszcie, że występuje w tonie, jaki w badaniach naukowych, wogóle nie jest na miejscu... Kto na jednem polu wiedzy, dostępnej badaniom naukowym sądzi i rozumuje z tak bezczelną nieuczciwością, ten na żadnem innem na wiarę nie zasługuje«.

»Obraz jaki Haeckel nam podaje o początku świata — to powrót do bajek mitologicznych, najprymitywniejszych i wcale nieokrzesanych (plumpster Art). On przędzie grubo, licząc na wielką naiwność czytelnika, bo nie z intuicyi, ani na podstawie doświadczenia zmysłów, ale przez rozumowanie do roboty swej się zabiera i, w przeciwieństwie do mytologii dziecinnych ludów pierwotnych, kreśli obrazy, które nic wspólnego nie mają ani z wyobraźnią, ani z rozumem. To nie poezya, ani nauka, ani filozofia, ale monstrum (Bastard) bez życia, bo mieszanina tego wszystkiego razem.«

(H. Chamberlain. Emanuel Kant 334. Nota 1.)

możliwa, bo, jak widziałeś, sprzeczna z pewnikami rozumu, wiedzy przyrodniczej i wiary — choć jeden argument przytoczyła na swoje twierdzenie, jako tako prawdopodobny. Ale i to nie, przynajmniej zdaniem takiego Fleischmanna. Bo przecież naturalnego doboru, walki o byt, przypadku, milionów i miliardów wieków i t. d. za dowód taki uważać nie podobna.

Zresztą przypatrzmy się im pokrótce.

Dobór naturalny znudził już samych nawet darwinistów do tego stopnia, że dziś z nich żaden nań się nie powołuje... nie wyjmując nawet Haeckla. Ba! doszło do tego, że dr. Plate[1]), obecnie jeden z wybitniejszych przedstawicieli szkoły darwinistycznej, wydał osobną książkę »O znaczeniu selekcyjnej zasady Darwina«, w której selekcyę przypadkową odrzuca zupełnie. Stąd inny przyrodnik dr. Driesch nazwał jego pracę »Mową pogrzebową Darwinizmu«.

»Teorya ewolucyjna w najszerszem znaczeniu tego słowa od czasu pojawienia się słynnej

---

1) Tenże profesor w swej książce p. t. »Selections princip und Probleme der Artbildung« (Leipzig 1907. 3.), broni Darwina przed wnioskami Haeckla i jego plejady wyprowadzonemi z jego teoryi: »Bardzo wielu z przeciwników Darwina wychodzi z zupełnie fałszywego założenia, że selekcya (Darwinizm) ma tłomaczyć powstawanie życia na ziemi, wtedy, gdy zadaniem jej jedynem (!) jest... rozstrzelenie się (Divergenz) gatunków uczynić zrozumiałem«.

(Stim. a. M. L. 1912, S. 262.)

książki Darwina, nie zrobiła żadnego postępu poważnego, owszem raczej się cofnęła. Nauka prawdziwa, trzeźwa wykazała jej wielkie braki: to też coraz mniej uczonych powołuje się na dobór naturalny, zachowanie osobników zdolniejszych, walkę o byt, wpływ środowiska, jako na czynniki, zdolne wytworzyć rasy a tembardziej gatunki i rodzaj.«[1])

Dlatego to prof. Perrier, zapalony ewolucyonista, w tworzeniu się ewolucyjnem gatunków wpływ przeważny przyznaje wzajemnemu wspomaganiu się, asocyacyi, podziałowi pracy, solidarności.[2])

* * *

A walka o byt?

Taka walka o byt, jak ją chce mieć Darwin — to także nonsens. W świecie walka o byt jest, o tem nie można wątpić, bo wszystko, co żyje, wytęża swe siły, aby życie zachować, zapewnić sobie grunt, powietrze, światło, pokarm. Stąd muszą być w świecie starcia, a w starciu słabszy ulega mocniejszemu... Ale to starcie jest walką, prowadzoną nie przez osobniki tego samego gatunku, ale przez osobniki gatunków różnych, — walką w której ginie nie osobnik najsłabszy, ale ten, co się znajdzie drugiemu na drodze.

[1]) La structure du protoplasme p. 17.

[2]) Kongres antropologów niemieckich 1889.

Walka o byt w świecie jest i być musi, bo w świecie jest siła i życie, ale stąd jeszcze bardzo daleko do wynoszenia tej walki do rzędu prawa podstawowego, najwyższego, rządzącego całym światem żyjącym, jak chce Darwin. »Jeżeliby w walce pomiędzy istotami żyjącymi chodziło tylko — powiada Hasert, — o zachowanie bytu, toby właśnie rozwoju gatunków być nie mogło, owszem przeciwnie nastąpićby musiało ich kurczenie, — oneby się nie udoskonalały, ale wracały do form, coraz bardziej prymitywnych, i to dla tej prostej przyczyny. że życie na niższym stopniu rozwoju ma wymagania minimalne, najłatwiej dające się zachować. — Dla zachowania swego bytu nie potrzebowałyby n. p. osy ziemne, tutkarze, grabarze i t. d. tak skomplikowanych narzędzi jak te, które mają. Wystarczyłyby im daleko prostsze, jak u innych owadów, zachowujących się przytem i łatwiej i liczniej. Bakteryi właściwie nie można zabić, bo ją broni jej małość ($^1/_{3000}$ mm.).

»Przez walkę o byt Darwina zachowywałoby się nie to, co do celu danego jest potrzebniejsze, ale to, co jest trwalsze; stąd ostatecznie na świecie zostałyby tylko... kamienie.«

Uporządkowany rozwój świata żyjącego nie może być skutkiem walki przypadkowej o byt, ale jedynie siły wewnętrznej, zdążającej do celu zamierzonego z góry. Doświadczenie codzienne nas uczy, że na świecie podstawową

zasadą życia nie jest wzajemne niszczenie, mordowanie siebie, ale wzajemne uzupełnianie i pokojowa wymiana warunków bytu. Gdy osobnik jednego gatunku szuka zaspokojenia wymagań swojej natury przez śmierć drugiego, to jednocześnie przygotowuje warunki bytu dla osobników gatunków innych. — Tego nie można nazwać walką. Kiedy lew pożera antylopę, pożera ją bez walki. Kto i z kim miałby tu walczyć? Przecież broń do walki potrzebna u obu taka nierówna! Nie! lew bierze tylko to, co mu się należy; on tu panem a antylopa — sługą. Stosunek świata roślinnego do zwierzęcego i pojedyńczych gatunków względem siebie nie jest stosunkiem przypadkowego zwycięzcy do niewolnika, ale stosunkiem prawowitego pana do swojej służby.

»Patrząc na miliardy istot żyjących, ruszających się na ziemi, każdy widzi przed sobą nie kupę gruzów nagromadzoną bezładnie, ale gospodarstwo, w najdrobniejszych szczegółach obmyślane i urządzone, w którem wszelkiego materyału jest poddostatkiem, — gdzie nic się nie marnuje, a o wszystko się troszczy zapobiegliwa i przezorna ręka niewidzialnego Gospodarza.« (Kurt Udeis.)

Oto »walka o byt« Darwina. — Nonsens — i tyle.

* * *

»Darwina dziś trudno brać na seryo, ale Haeckel!! No! Wyrwało mu się głupstwo

z fałszowaniem embryonów. Ale zaprzeczyć się nie da, że się nauce przysłużył przez swe dowody na potwierdzenie teoryi ewolucyjnej, n. p. dowód morfologiczny (systematyczny), mechaniczny, biogenetyczny.

Otóż, mój drogi, i w tych dowodach blaga i tylko blaga. Wobec krytyki poważnej żaden z nich ostać się nie może.

Weź najpierw dowód jego morfologiczny czyli jak on chce systematyczny. Ponieważ pomiędzy człowiekiem a... kanguru zachodzi pewne podobieństwo w niektórych organach... więc człowiek od kanguru pochodzi.

Ponieważ jest podobieństwo: więc musi być pokrewieństwo i wspólne pochodzenie od tego samego przodka, a musi, bo może. No, mój drogi, przyznasz — że taki dowód — to żaden dowód.

»Mogłoby tak być«, a »tak jest«; to dwie rzeczy różne, według tego, co słusznie mówili starzy filozofowie: a posse ad esse non valet illatio. »Mógłbyś« być bogatym, uczonym, szczęśliwym: czy z tego wynika, że nim jesteś? »Możemy« być podobni jak dwie krople wody, ale czy stąd wynika, że jesteśmy ze sobą tak blisko spokrewnieni, że to pokrewieństwo musi być przyczyną naszego podobieństwa?

A siły mechaniczne?

Gdyby te siły wystarczały dla wytłómaczenia ewolucyi w powstawaniu życia na świecie

i jego milionowych odmian przedhistorycznych i obecnych — musiałyby działać z koniecznością i ustawicznie, jak prawo ciężkości, tak, że żaden organizm w rozpędzie swym do udoskonalenia nie mógłby się im oprzeć, tylko byłby się doskonalił coraz więcej, ażby doszło do tego, że mielibyśmy tylko organizmy najdoskonalsze a żadnych gatunków niższego rodzaju. Alg i mchów dawnoby już nie było, bo na ich miejsce wystąpiłyby dęby i palmy a z wymoczków i mięczaków dawno powstałyby krokodyle, lwy lub orły.

Więc i to nie.

Albo dowód »biogenetyczny«.

Najpierw pozwól sobie zaznaczyć, że w tym dowodzie w osobie swych uczniów kapituluje Darwin. Kto bowiem powołuje się na wewnętrzne prawa rozwoju, ten tem samem wyznaje, że same przyczyny zewnętrzne, jak chce Darwin, do wytłumaczenia jego wystarczyć nie mogą. Ale mniejsza o to...

W nowym dowodzie przyczyną wewnętrzną rozwoju, tworzącego gatunki, według Haeckla, ma być prawo anologii rozwoju osobnika z rozwojem gatunku, to znaczy analogia faz bytu, jakie każdy żyjący osobnik przechodzi w swym rozwoju z rozwojem gatunków niższych aż do doskonałości życia, jaką on reprezentuje. Według tej teoryi n. p. człowiek w pierwszej chwili swego istnienia tworzy komórkę, zupełnie taką samą, jak była pierwsza monada, która nie wiadomo jak i przez kogo, jakimś

przypadkiem, drogą samorodztwa utworzyła się czysto mechanicznie z atomów. Ta komórka rozwijając się przechodzić powinna po kolei wszystkie formy pośrednie między protoplasmą a człowiekiem tak, że w pewnej chwili zarodkowego rozwoju w łonie matki nie żyje jeszcze człowiek, ale coś nakształt mchu, potem coś nakształt dębu, mięczaka, ryby, aż wreszcie w ostatniej fazie — coś w rodzaju małpy, aby ostatecznie stać się człowiekiem.

Zaiste! Quatrefages ma słuszność. Wobec tego Homer może się schować, to partacz. Niech żyje Haeckel!!

Zresztą i sam Haeckel po tym dowodzie nie wiele dobrego się spodziewa, bo, aby go jako tako przemycić w świat naiwnych prostaków, ucieka się do kontrabandy i podrabia tablice, mające to rzekomo demonstrować.

Do tych głównych dowodów Darwina i Haeckla, przyłączył Dr. Hans Friedenthal jeszcze inny: oto dowód z faktu podobieństwa krwi małpiej i ludzkiej tak wielkiego, że raz wśród odczytu z zapałem godnym lepszej sprawy, zawołał: »Jestem nietylko krewniakiem małpy, ale prawdziwą małpą«.

De gustibus non est disputandum — co znaczy po polsku: »Każdy baron ma swoją fantazyę«. Jeżeli p. Fr. chce być koniecznie małpą, niech nią będzie; my się jednak co do nas i naszej krwi stanowczo zastrzegamy i protestujemy dlatego, że 1) pomiędzy nami a małpą niema mowy o iden-

tyczności krwi, nawet co do chemicznego jej składu, 2) a gdyby nawet i była, to skądinąd pomiędzy nami a małpą zachodzą tak wielkie różnice fizyologiczne i anatomiczne, że zdaniem innych darwinistów małpa w genealogii dzisiejszych ewolucyonistów stoi od człowieka na boku, a przodka naszego nierozumnego szukać trzeba gdzieindziej.

Darwinizm tedy Haeckla jest mrzonką, bajką, przesądem, mytem, blagą, to po tem wszystkiem co Ci powiedziałem, musisz przyznać.

Tyle co do właściwego darwinizmu.

* * *

Zanim przejdziemy do darwinizmu umiarkowanego, jeszcze słówko o osławionym człowieku — małpie (Anthropopithecus erectus).

Otóż za pewnym uczonym[1]) przyrodnikiem stwierdzę, że 1) pomiędzy człowiekiem a niektórymi gatunkami małp, jak gorylem, orangutanem i t. d. zachodzi podobieństwo jedynie częściowe, bynajmniej nie wystarczające do wniosku, że człowiek od małpy pochodzi.

Już sam fakt, że u człowieka niema ani ogona, ani sierści na skórze, a przedewszystkiem na grzbiecie, wystarczał dla przyrodnika tej miary co Wallace, aby teoryę Darwina odrzucić.

---

[1]) P. E. S. Autor dzieła: Credente e incredulo.

Podobieństwo małp t. zw. antropoidalnych z człowiekiem jest tylko pozornie większem niż z innemi gatunkami małp. »Ze względu na strukturę głowy a szczególnie czaszki te małpy niczem się nie różnią od innych; owszem w wieku dojrzałym w tym kierunku zdradzają mniejsze wydoskonalenie. Nikt nie potrafi wykazać w nich zbliżania się do zwierząt dwunożnych. Ze względu na stos pacierzowy i gardziel możnaby ich uważać za typ pośredni pomiędzy człowiekiem i innemi małpami; ale za to kość miedniczna jest u nich typowo małpia. Co więcej ze względu na pozycyę ogólną członków są to małpy najcharakterystyczniejsze ze wszystkich a już nogi ich są najbardziej małpie, z nogami ludzkiemi nic nie mające wspólnego.[1])

2) Znakomity profesor Bianconi, w rozprawie, odczytanej na posiedzeniu Instytutu nauk ścisłych w Belgii, wykazał na podstawie różnych, całkiem nowych, spostrzeżeń anatomicznych i fizyologicznych, że układ czaszki małpiej zdradza naturę zwierzęcą, a układ małpich członków — gatunek czwororęczny; gdy przeciwnie czaszka ludzka nie posiada ani śladu zwierzęcości, a członki jednocześnie wskazują na typ zwierząt dwunożnych i dwuręcznych.

3) Dalej na podstawie badań głębokich tenże sam profesor utrzymuje, że w stopniowych

---

[1]) Topinard A. darwinista (L' homme et la nature).

modyfikacyach ciał organicznych konstatujemy zawsze ewolucyę nie w górę, tylko w dół; t. j. ewolucyę wprost przeciwną ewolucyi Darwina. Wynik ten jest doświadczalnem potwierdzeniem znanej zasady, że skutek nie może być doskonalszym, niż przyczyna.

4) Inni znowu przyrodnicy wykazują, że przejście od człowieka do małpy nie da się pomyśleć, »chyba że, jak twierdzi Quatrefages w swym memoryale o postępie antropologii, wszystkie prawa rozwoju wywróci się do góry nogami«.

»Wszyscy wiemy — pisze Sir William Turner, że kiedy chodzi o zaspokojenie potrzeb natury zmysłowej, zwierzęciem wyłącznie kieruje instynkt. W ten sposób każde z nich wypełnia miejsce, wyznaczone sobie przez Stwórcę.

»U człowieka przeciwnie. I człowiek ma swojego rodzaju instynkt, ale ten instynkt zostaje pod ścisłą kontrolą rozumu. Im wyżej po szczeblach swego postępowego rozwoju wznosi się ludzkość, tym bardziej kontrola ta wzrasta, — tym instynkt, uczucie, namiętność, pożądliwość staje się więcej zależną od sumienia i religijnych przekonań człowieka. Twarz człowieka, zwrócona w górę, postawa jego pionowa, łatwość, z jaką przytem posługuje się kośćmi bioder i kolan, — silna podstawa, jaką mu dają nogi, rozmaitość ruchów, do jakich zdolne są górne części jego ciała, szczególnie głowy, osadzonej na szczycie kości

pacierzowej, objętość i ciężkość mózgu przy wykończeniu jego zakrętów: — wszystko to są cechy charakterystyczne człowieka, których u żadnego innego zwierzęcia nie spotykamy, — wszystko to narzędzia, przeznaczone do wykonywania najróżnorodniejszych czynności, najczęściej pod kontrolą rozumu, zawsze jednak tak, że kontrolę wykonywać on może«.

»Najmniejsza kosteczka goryla nosi na sobie piętno tak charakterystyczne, że ją przyrodnik na pierwszy rzut oka odróżni od odpowiedniej kości człowieka. Żadna istota pośrednia nie wypełnia przepaści, dzielącej człowieka od troglodyty. Kto temu chciałby przeczyć nietylko źle by robił, ale postępowałby głupio (absurd).«[1])

5) Nawet przypuściwszy, że człowiek ze względu na układ ciała jest do małpy całkiem podobny, to i wtedy jeszcze fakt posiadanego przezeń rozumu wystarcza, aby wykazać niemożebność przypuszczenia, że jako istota rozumna pochodzi od nierozumnego zwierzęcia. Pomiędzy nim bowiem a małpą niema przejścia, tylko skok, — nietylko większy lub mniejszy stopień różnicy, ale przepaść; a wiemy, że natura nie lubi skoków (natura non patitur saltus), szczególnie tak karkołomnych, jak ten. Nie! Dusza rozumna może

---

[1]) Huxley, przyrodnik pierwszorzędnej powagi, i przytem materyalista (La place de l' homme dans la nature, 79—80).

być tylko dziełem Stwórcy, który, stworzywszy ją z niczego, łączy z ciałem, kiedy do jej przyjęcia okaże się ono dostatecznie przygotowanem.

6) Nawet wielu uczonych nie wierzących przeciwko teoryi Darwina protestuje w imieniu nauki jaknajenergiczniej; oczywiście jeszcze bardziej protestują wierzący przynajmniej w istnienie P. Boga, jako Stwórcy świata.

Nie wierzący zresztą przyrodnik Karol Vogt woła do Darwinistów: »Napróżno szukacie ogniwa dla spojenia człowieka z małpą. Pomiędzy człowiekiem a małpą jest przepaść, której żaden z was wypełnić nie potrafi«.

»Praczłowiek — to dzieło wyobraźni; człowiek-małpa, — to bajka, a ogniwo, którego szukacie, — to sen.«[1])

W każdym razie to sobie zapamiętaj, że w sprawie pochodzenia człowieka najwybitniejsi badacze przyrody są przeciwnikami ewolucyi Darwina. Do nich należą E. v. Baer, Virchow, Ranke, Kollmann, Jap. Steentrup, de Quatrefages, Aeby i t. d.

Co do samych przedstawicieli tej teoryi w świecie naukowym, faktem jest — że albo są pomiędzy sobą w niezgodzie i zbijają nawzajem, jak Huxley, Karol Vogt, albo naiwnością swych twierdzeń się ośmieszają, jak Schaffhausen, Kloatsch, albo wreszcie przez fachowców są uznani za laików przynajmniej w nie-

---

[1]) Revue scientifique. Zesz. 5 List. 1895.

których gałęziach wiedzy przyrodniczej jak Haeckel [1]) albo wreszcie jak tenże sam Haeckel są złapani na gorącym uczynku fałszerstwa.

Dlatego też, kiedy na zjeździe międzynarodowym zoologów i paleontologów w Berlinie 1901 r. postawiono kwestyę: »Kto jest przodkiem człowieka?« — prof. Franco w imieniu wiedzy prawdziwej odpowiedział: »Paleontologia nie wie o tem nic. Ona go niezna«.

* * *

Wystarcza rzucić okiem na wszystkie nieudane próby uzasadniania teoryi Darwina za pomocą jakiegoś faktu, aby się przekonać namacalnie z jak bezczelnym cynizmem fabrykowano na poczekaniu różne rzekome jej dowody i puszczano w świat, podając za zdobycze »najnowszej, najpozytywniejszej wiedzy« niestworzone rzeczy — z jaką naiwnością wszystko to brano na seryo...

Źle musi stać ze sprawą, na poparcie której kilkudziesięciu ludzi, zresztą inteligentnych i z rzeczą mniej lub więcej obeznanych, w prze-

[1]) Znany fizyk petersburski Chwolson tak pisze o Haecklu: »Wszystko, ale bez żadnej przesady wszystko, co Haeckel mówi, utrzymuje, wyjaśnia na podstawie fizyki, z prawdą się nie zgadza, bo polega albo na nieporozumieniu albo na trudnej do uwierzenia nieznajomości najelementarniejszych kwestyi fizykalnych. Nawet nie ma on najmniejszego pojęcia o prawie zachowania siły i materyi, które za gwiazdę przewodnią systemu swego filozoficznego uważa«. (Hegel, Haeckel, Kossuth i 12 przykazanie 1906, str. 76.)

ciągu lat pięćdziesięciu nic mądrzejszego wynaleść nie mogło.

Jednym z najgorliwszych przedstawicieli teoryi ewolucyi darwinistycznej, jest dziś wspomniany profesor Kloatsch. Stara się on na swój sposób ją uzasadnić i szuka protoplasty człowieka w... torbaczach jak np. kanguru, ale jako przyrodnik stwierdza fakt, że »przy dzisiejszym stanie badań naukowych nie możemy w żaden sposób uważać małpy za najbliższego krewnego człowieka«.

Więc to kuzyn daleki, a kanguru — to kuzyn blizki!

Cóż dziwnego, że na zjeździe antropologów w Lindawie 1899 prof. dr. Ranke, wysłuchawszy wywodów Kloatsch'a, zawołał oburzony: »Ależ panowie, to nie nauka, tylko majaczenie!«

Przyjacielu drogi, czegoż ci więcej potrzeba? Kogo chce ukarać P. Bóg, temu odbiera rozum. — Słuszną karę gotuje sobie niedowiarek jeszcze tu na ziemi; zaczyna odrzuceniem P. Boga, a kończy odrzuceniem własnego rozumu, i zaliczeniem siebie... do rzędu bydląt.

»Ja nie tylko pochodzę od małpy, ale jestem małpą.«

Gdyby on był rzeczywiście małpą! a to przecież człowiek na obraz i podobieństwo Boże stworzony, rozkoszujący w poniżaniu siebie do rzędu bydlęcia... małpy!

To smutno! — Ale na ten raz dosyć. Reszta w liście przyszłym.

## LIST XI.

# O Darwiniźmie.

(Dalszy ciąg.)

Pitecanthropos erectus. Homoprimigenius i t. d. — Człowiek-syrena. — Żaba. — Słoń. — Syrena-tygrisica i t. d. — Zizibambula. — Schönbruńska Maja i berliński Hans. — Lekarstwo na kuglarstwa pseudo wiedzy. — Darwinizm umiarkowany. — Dowód paleontologiczny. — Dowód rudimentarny. — Nadaillac. — Wnioski.

Dziwni to ludzie ci materyaliści: usadzili się na to, żeby człowieka zrównać z bydlęciem i, jak dzieci rozkapryszone, co drą się i krzyczą, aby podano im księżyc, z którym chcą się bawić, — tak i oni na potwierdzenie swej teoryi domagają się gwałtem argumentów. Daremnie koryfeusze materyalizmu, jak te nieszczęsne niańki, starają się zaspokoić ich bańkami z mydła górnolotnych swych marzeń — nadaremnie opowiadają o wspomnieniach swych snów niespokojnych — nadaremnie częstują cukierkami z najlepszego gatunku mąki grecko-łacińskiej, o której mówiłem w liście poprzednim; — one się drą i chcą czegoś bardziej pozytywnego... jakichś faktów.

Jakichś faktów!! Sztab główny materyalizmu chciałby... ich zaspokoić, ale skądże tu tych faktów nabrać? Gdzie je upolować?

A no! Przyparci do muru, decydują się nareszcie próbować losu szczęścia i urządzają ekspedycyę myśliwską w świat przyrody, w jego przeszłe i teraźniejsze pokolenia.

Polować, co prawda, nie umieją, to rzecz myśliwych prawdziwych, wytrawnych, ludzi rzeczywiście uczonych. Ale co szkodzi spróbować? Czasami udaje się znaleść ziarno i ślepej kurze.

Więc ze względów strategicznych, aby od razu sił nie wyczerpywać zupełnie, — dzielą się na trzy partye i pierwszą wysyłają w las przeszłości. Może się uda upolować jakiego jarząbka... lub nawet głuszca, w postaci formy przejściowej pomiędzy pojedyńczemi gatunkami, a przynajmniej pomiędzy człowiekiem a małpą...

* * *

I poszli. O ich tytanicznych wysiłkach nie pisał wprawdzie Homer ani Wirgiliusz, na czem literatura straciła wiele, ale za to stwierdził je Virchow, rzeczoznawca, człowiek w tem kompetentny.

Otóż on im wydaje świadectwo, że nie szczędzili trudu: »Nie dalej, jak jeszcze dziesięć lat temu — pisze — wystarczało w torfie, nadwodnych osadach, starych jaskiniach znaleść kawałek czaszki, aby zaalarmować świat, że odkryto kość, zdradzającą stan człowieka na pół

dzikiego, — stan przejściowy, nierozwinięty. Wszędzie wietrzono małpę«.[1])

Wyprawa się tedy odbyła i myśliwi wrócili z tryumfem, jak na rzetelnych Sonntagsjegrów z »Fliegende Blätter« przystoi, z torbami pełnemi zwierzyny.

W ostatnich dwóch lat dziesiątkach, — otrąbiał światu ten powrót tryumfalny przywódzca wyprawy, bohaterski Haeckel — znaleziono pokaźną liczbę (?!) dobrze zachowanych, bo skamieniałych szkieletów pół-małpich; a pomiędzy nimi wszystkie ważniejsze typy pośrednie, tworzące łańcuch od najstarszej pół-małpy aż do samego człowieka«. (Welt-Rätsel.)

(Już jak kłamać — to porządnie!)

Jakkolwiekbądź rzecz się miała z prawdą, na takie oświadczenie dziatwa materyalistyczna rozradowała się i aż zawyła z radości. Co za szczęście! odtąd będzie można spoczywać spokojnie na laurach bydlęcej natury, uchodzić za bydlę i żyć jak bydlę!

Poczęto tymczasem torbę myśliwską wypróżniać. Pokazało się, że zwierzyna była wprawdzie trochę skruszała... przez wieki, ale za to tem grubsza i ponętniejsza. Była tam n. p. czaszka pół-człowieka(!) z Neandertalu[2]), były szkielety oczywiście zawsze pół-ludzi(!) z jaskini Spy w Belgii, szczątki hominis prigomenii (!)

---

[1]) »Freiheit der Wissenschaft«. S. 30.

[2]) »Pod żadnym warunkiem nie możemy twierdzić, że kości znalezione w Neandertalu należą do istoty pośredniej między człowiekiem i małpą« (Huxley).

z jaskini Krapiny w Chorwacyi, szczątki starodawnej »niemieckiej dziewicy czy małpicy Schaffhausena«... a przedewszystkiem był wierzch czaszki i piszczel na pierwszy rzut oka darwinistycznego człowieka-małpy (anthropo-pitekos), na drugi rzut oka — małpy-człowieka (pitekanthropos erectus), na trzeci rzut oka — małpy długoramiennej a na czwarty i ostatni rzut oka ludzi nauki — prostego małpo-zwierza... W każdym razie zwierzyna zamorska z wyspy Jawy, ta zdobycz lekarza holenderskiego Dubois, zrobiła wrzawy co niemiara.

Wobec tego dziatwa materyalistyczna szykowała się do stołu grzeczna i spokojna,... gdy w tem zjawili się nieproszeni, niedziękowani rzeczoznawcy, uczeni przyrodnicy i zdecydowali (o zgrozo!) że te wszystkie trofea, to humbug — to szkielety prawdziwe, ale pełnych, całkowitych małp albo ludzi: tak, że o półludziach lub pół-małpach nie może być mowy.

»Marzyłem cudnie, srodze mnie zbudzono.«

»Mania wietrzenia wszędzie śladów małpich powoli się przestarzała — pisze Virchow. — Stwierdzono, że ci ludzie przedpotopowi i troglodyci, ci mieszkańcy wsi palowych i torfowicze — to wszystko kompania bardzo przyzwoita, o głowach tak wielkich, że nie jeden z nas dziś żyjących, byłby szczęśliwy, gdyby taką posiadał.

... »To też muszę stwierdzić, że dotychczas nikt nie znalazł ani czaszki małpiej, ani małpio-

ludzkiej, któraby w posiadaniu jakiegoś człowieka być kiedykolwiek mogła. Owszem przeciwnie, każdy nowy okaz przedhistoryczny hipotezę wspomnianą czyni coraz mniej prawdopodobną.«

»Dlatego też pod żadnym warunkiem nam nie wolno uważać za postulat wiedzy, albo za rezultat badań naukowych teoryi, że człowiek od małpy lub wogóle od jakiegoś zwierzęcia pochodzi.«[1])

»Co się zaś tyczy człowieka-małpy, jesteśmy na całej linii pobici — mówił kiedyindziej. Wszystkie poszukiwania w celu wynalezienia śladu ciągłości rozwoju postępowego od małpy do człowieka nie dały żadnego rezultatu. O człowieku-małpie nie może być dziś mowy.«[2])

* * *

Fatalna rzecz! Pierwsza tedy ekspedycya się nie udała. Dzieci wciąż kapryszą: więc, chcąc nie chcąc, wybiera się na polowanie druga partya »wielkich uczonych« i znowu, pożyczywszy broni u myśliwych z zawodu, zapuszcza się tym razem nie w las przeszłości ale na szerokie pole ...teraźniejszości. Złe języki mówią, że jest w tem ukryta myśl, — że chcą oni głupiutkie i naiwniutkie baranki materyalistyczne wyprowadzić w pole, ale de internis non judicat praetor.

---

[1]) O. c. 31.

[2]) Kongres antropologów w Moskwie 1892. T. II. str. 225.

Otóż polowanie tym razem ma wykazać, że drogą krzyżowania może dziś jeszcze powstać coś takiego, co nie będzie ani człowiekiem ani zwierzęciem ale połową jednego i drugiego... oczywiście z połową tylko rozumu...

Hałasu było znowu dużo, zajęcy wypłoszono wiele... i tym razem jak za pierwszym, sonntagsjegry wracają z tryumfem, miną buńczuczną, torbami pełnemi nie martwej ale żyjącej i ruszającej się zwierzyny.

Dziatwa przycichła znowu i z wybałuszonemi ślepiami rozbiegła po menażeryach i budach jarmarcznych, aby się przypatrywać rzekomym zdobyczom... nowoczesnej wiedzy.

A było na co patrzeć. Oto u słynnego Barnuma odkryto kobietę-rybę, syrenę. Nie jeden dałby się powiesić, że tak jest, z takim aparatem naukowo-kuglarskim była zdobycz demonstrowana...

Był i człowiek-żaba, podobny do żaby, którego palce u rąk i nóg połączone były pletwami. Biedny potworek! żył parę minut tylko i umarł.

Był także człowiek-słoń, o nogach grubych jak u słonia, nieszczęśliwy kaleka, co o własnych ruszyć się nie mógł siłach.

Były i kobiety-tygrysice i to aż dwie: jedna pokryta pręgami białemi i brunatnemi a druga nawet porosła sierścią[1]).

---

[1]) Ponieważ robiły sobie konkurencyę, więc skończyło się na tem, że tygrysica ze sierścią zakradła się do

Był i człowiek-pies, na zapotrzebowanie mogący służyć i za człowieka-lwa;... i człowiek włochaty, i człowiek ogoniasty.

Obecnie jeszcze podróżuje po świecie człowiek z baranią głową.

Wreszcie w ostatnich dniach w Paryżu przyciągała ciekawych gapiów człowiek-małpa; Zizi-Bambula.

Radość tedy była znowu wielka, cóż kiedy krótkotrwała...

»Marzyłem cudnie — srodze mnie zbudzono.«

Oto uczeni prawdziwi, znowu nieproszeni, wykazali jak przedtem, ...że to wszystko byli albo prawdziwi mniej lub więcej anormalni ludzie z ojca i matki człowieka, jak ci włochaci, ogoniaci, żabiowaci, tygrysiowaci rzekomo ludzie-zwierzęta, — albo prawdziwe zwierzęta, z obu rodziców zwierząt, jak Zizi-Bambula, który zdaniem kompetentnym prof. Miecznikowa okazał się zwykłym... najniewinniejszym małpo-zwierzem...

Więc i z tego nic. —

* * *

Doprawdy materyaliści nie mają szczęścia. Ale do trzech razy sztuka. Więc najodważniejsi i najbardziej ryzykowni ich prowodyrzy posta-

---

budy tygrysicy z pręgami i w czasie jej przedstawienia dopadła ją ze ścierką umaczaną we wodzie. Farba oczywiście popuściła i oszukaństwo się wydało.

nowili jeszcze raz spróbować polowania... na moczarach zwierzęcego świata. Może się da upolować kaczkę, choćby dziennikarską... i nauczyć zwierzę jakie rozumu. W ten sposób na innej drodze ale ostatecznie zrównałby się człowiek ze zwierzęciem — i to na drodze szlachetniejszej, bardziej demokratycznej, nie przez poniżenie go do poziomu zwierząt, jak było dotychczas, ale przez podniesienie zwierzęcia do jego poziomu za pomocą rozszerzenia dotychczasowego monopolu rozumu i na nierozumną brać zwierzęcą. —

Rozumne osły, psy, konie, małpy...

»Marzono cudnie«... Coby to był za raj!...

Polowanie się skończyło... I znowu wrócili myśliwi jak przedtem dumni i pyszni... bo odkryli świat nowy ducha.

Dziatwie rozciekawionej aż skry posypały się z oczu. To mi to będzie danie. I znowu poczęto cisnąć się do menażeryi i... tym razem także do cyrków...

Okazało się o dziwo! że w Schönbrunnie, w menażeryi cesarskiej chowa się cudo, — chowa Maja, wprawdzie małpa najprawdziwsza, ale taka mądra, że pokój sobie sprząta, zamiata, w piecu zapala. Przecież niektórzy ludzie, na razie od niej mądrzejsi, nie tracą nadziei, że, zaawansowawszy na gimnazyalistkę i napędziwszy do swej małpiej główki trochę greki i łaciny, stanie się kiedyś studentką, albo przynajmniej wolną słuchaczką, mogącą uczęszczać na

filozofię Kanta, wykłady Lutosławskiego i flirtować z kolegami-ludźmi...

Wielką jest Maja materyalistów, ale że dziś na świecie prym musi mieć zawsze... i we wszystkiem Berlin, nietylko w podróżach powietrznych, — że postępowej ludzkości musi koniecznie w każdym kierunku przewodzić: więc także w Berlinie nasi myśliwi musieli wytropić zwierzynę najgrubszą... i wytropili.

Przypomnij sobie sławnego konia Hansa, co to umiał rachować i w takie zdumienie wprowadził Berlin postępowy, że z kwiatu swej nowoczesnej inteligencyi delegował komisyę, złożoną z profesorów uniwersytetu, która w obecności excelencyi ministra oświaty p. Studta miała zbadać, czy Hans stoi na stopniu rozwoju umysłowego sextanera lub kwintanera?... [1]) i jak długo jeszcze wolnym będzie od szkolnego przymusu.

»Marzyłem cudnie, srodze mnie zbudzono.«

I z tego polowania nie wyszło nic. Znowu nieproszeni, niedziękowani rzeczoznawcy, ci niedyskretni badacze przyrody wywietrzyli, że i w tych obu wypadkach, nie było żadnego dowodu... tylko blaga... Co Maja i Hans potrafili zrobić, to potrafią tysiące innych małp, koni, psów, słoni, osłów, pcheł... nawet baranów i świń, produkowanych z większem nawet kunsztem

---

[1]) Sextaner — uczeń sexty tj. klasy pierwszej, licząc na sposób austryacki albo rosyjski; kwintaner — uczeń klasy drugiej.

po świecie, jak długi i szeroki przez różnorodnych klownów, szarlatanów i poskramiaczy.

I skończyło się na tem, że dziatwę w szkole materyalizmu rozkapryszoną, hałaśliwą i niesforną, niestety! tak strasznie rozmnożoną dziś, dozorcy zafrasowani ledwie w karbach utrzymać mogą; to też żeby się nie rozbiegła na wszystkie strony, karmią ją znowu znanemi oddawna bańkami mydlanemi sennych swych marzeń, pustymi cukierkami grecko-łacińskich uczonych słówek... i dla rozmaitości zabawiają kunsztem kuglarskim...

* * *

Mundus vult decipi: ergo decepiatur — co znaczy po naszemu: »Chcą, żeby ich taki Haeckel, Büchner i tutti quanti mieli za durniów, więc niech durniami będą!«

A Ty, mój drogi, pamiętaj sobie to. Ile razy usłyszysz wieść hałaśliwą, echem przeciągłem odbijającą się przez wszystkie kroniki dziennikarskie świata, o jakiejś wielkiej, wiekopomnej, światołomnej, »naukowej« zdobyczy w rodzaju tych, co wyliczyłem, a mającej Ci wykazać, że pomiędzy światem zwierzęcym a światem ludzkiego ducha niema przepaści, — zachowaj się tak, jakbyś się zachował wobec sztuczek najzwyklejszego kuglarza. Patrząc na nie, nie wiesz zazwyczaj w jaki sposób on Ciebie oszukuje, nie wiesz n. p. jak robi kiedy połyka szpadę, z nosa wyciąga wstążkę, rozdziera chustkę i skinieniem laseczki skleja

itd., ale wiesz napewno, z góry, że to tylko Ci się tak zdaje, bo jedynie zmysły Twoje mogą być oszukane i dlatego, jako człowiek myślący i rozumny sądzisz, że w rzeczywistości jest inaczej i tym cudom nie wierzysz.

Wierzą im wprawdzie... dzieci i ludzie prości, bo ich słaby albo nierozwinięty rozum daje się razem ze zmysłami oszukać. Ale Ty przecież rozum, dzięki Bogu, masz i to zdrowy.

Otóż tak samo jota w jotę zachować się powinieneś zawsze wobec wszystkich, rzekomych »odkryć«, które uczeni à la Haeckel w obronie swego materyalizmu opowiadać Ci będą. Na razie nie będziesz często mógł zdać sobie sprawy, w jaki sposób Cię oszukują; ale to zawsze będziesz mógł wiedzieć z góry, napewno, że oszukaństwo jest. Dlatego czekaj spokojnie, a za każdym razem się przekonasz, że prędzej czy później słuszność po twojej okaże się stronie, a w dodatku będziesz miał satysfakcyę, że, jak na dojrzałego męża przystoi, szarlatanom nie dałeś się w pole wywieść.

A za kogo także na pewno masz uważać ludzi, co na wieść np. o takim koniu Hansie, o takiej Maji-małpie tryumfują i głoszą, że z wiarą się skończyło... że Kościołowi cios śmiertelny zadano itd.... to chyba wiesz.

Sapienti sat.

* * *

Co się wreszcie tyczy darwinizmu umiarkowanego, o którym mówiłem na czwartem miejscu, przyznaję najchętniej, że tak pojęta ewolucya, nie tylko mrzonką całkiem bezpodstawną nie jest, lecz stać się może kwestyą poważną, nad którą trzeba się głęboko zastanowić. Jak powiedziałem wyżej, za wspomnianymi katolickimi uczonymi obecnie także i słynny endemolog O. Wasmann T. J. uważa ewolucyę w tworzeniu się gatunków za teoryę prawdopodobną, ponieważ, jak twierdzi, za tem nie tylko objektywnych wiele danych przemawia ale i także naukowe powagi jak: Oskar Hertwig, Boveri, Steinmann, Koken, v. Wettstein, Fleischmann, itd. zawsze z tem zastrzeżeniem, że ewolucyi nie rozumieją jako rozwoju z jednego pierwiastka (ewolucya monofiletyczna czyli jednopniowa à la Darwin-Haeckel), ale z większej ilości typów pierwotnych (ewolucya polifiletyczna czyli wielopniowa).

Tu zwrócę uwagę Twoją, że mówiąc o ewolucyi gatunków

1. trzeba sobie przedewszystkiem określić dobrze pojęcie gatunku, odróżniając pojęcie to we filozofii od pojęcia gatunku w naukach przyrodniczych;

2. nie trzeba zapominać, że granica, która rasę oddziela od gatunku w pojedyńczych wypadkach nie zawsze da się ściśle określić. Co do dzisiejszego świata roślinnego i zwierzęcego ta linia jest, co prawda, dość wyraźna, ale czyż

można ręczyć, że tą samą drogą szła ona od początku świata? — że wskutek gwałtownych przewrotów na powierzchni ziemi z typów tj. gatunków pierwotnych nie urabiały się na razie rasy, które potem z biegiem czasu skrystalizowały w typy trwałe gatunków już udoskonalonych?

3. Nie trzeba zapominać, że co innego jest ewolucya gatunków a co innego ewolucya gatunku. Co do ostatniej nie może być dwóch zdań. Dowodem są rasy. Przecież dziś posiadamy koło 2000 ras jabłoni szlachetnych, jako udoskonalenie jabłoni dzikiej, dającej owoce gorzkie; wiemy, że z głogu wyszło 6000 ras róż najrozmaitszych. To samo u zwierząt. Dość powiedzieć, że znany angielski hodowca gołębi John Sebright podejmował się w przeciągu 3 do 6 lat wyhodować gołębia o żądanej długości dziuba i rozmaitości kształtów ciała.

Tak rozmaitą może być ewolucya gatunku.

Co innego ewolucya gatunków. To też trzeba być bardzo ostrożnym przy wszystkich t. zw. »nowych gatunkach«, tworzących się dziś jak np. Oenotery Hugona de Vries, muszki krótko skrzydlnej O. Wasmanna itd. Dopiero czas może pokazać, czy mamy tu przed sobą nową rasę, lub też tworzenie się rzeczywiste nowego gatunku, który i bez pomocy człowieka »na swobodzie« sam się nadal utrzymywać będzie.

4. Że taka ewolucya jest możliwa nikt rozsądny zaprzeczyć nie może, bo się to żadnemu z wyżej wspomnianych pewników nie sprzeciwia. Ale co innego uznać ją za prawdopodobną a wynieść do wysokości naukowej, odpowiednio udowodnionej teoryi? Na to trzeba mieć dowody pozytywne, umysł badacza skłaniające raczej w stroną faktu ewolucyi niż przeciwnie.

Wspomniani ewolucyoniści sądzą, że takie dowody posiadają.

Inni zaś przyrodnicy sądzą przeciwnie.

Stąd adhuc sub judice lis est.

Co do nas, filozofów, wyznajemy otwarcie, że, dopóki nauka nie stwierdzi utworzenia się nowego gatunku drogą rozwoju, dziś w naszych oczach, — za postulat wiedzy nie będziemy mogli jej uznać.

»Teorya ewolucyi stanie się dopiero wtedy postulatem niewzruszonym wiedzy, kiedy się wykaże, jakiemi drogami rozwój gatunków się dokonywuje. Dopóki to nie nastąpi, pozostanie ewolucya hipotezą, bardzo pociągającą, przyznaję, ale zawsze hipotezą. »Teorya ewolucyi jest łatwa, ale jej zastosowanie — mówił Quatrefages — jest bardzo trudne i transformiści, którzy się o to kusili, zrobili zupełne fiasko.«[1])

5. Za ewolucyą zdaniem jej obrońców przemawiają dwa fakta[2]): niektóre wykopaliska,

---

[1]) Journal des savants Mai 1891.

[2]) Nadaillac 24. L'Homme et le singe.

zdradzające doskonalenie się gatunku, (dowód paleontologiczny) i pewne objawy fizyologiczne, które uważają za ślad rzekomy ewolucyi przeszłej (dowód rudimentarny).

* * *

Do tych dwóch dowodów dadzą się zredukować racye, które ewolucyoniści umiarkowani na potwierdzenie swej tezy przytaczają.

Nie da się zaprzeczyć, że paleontologia wskazuje nam pewne, jakby pośrednie formy w rozwoju, ale (uważ dobrze) zawsze u jednego i tego samego gatunku n. p. w rozwoju nóg konia, rogów jelenia itd.

Ale z drugiej strony uderza brak zupełny form przejściowych u osobników, wziętych w całości, nie tylko co do pewnego ich organu. Mamy koło 500000 gatunków w świecie dzisiejszej fauny, około 300000 w świecie flory, przytem około 200 000 gatunków jednego i drugiego świata zaginionych, to jest cały milion rozmaitych, ściśle zróżniczkowanych gatunków, a przytem żadnych form pośrednich... żadnych przejść, które przecie w przypuszczeniu, że ewolucya jest prawem podstawowem przy rozwoju tego miliona gatunków wyrośćby musiały do bilionów bilionowych okazów. Wobec tego wyznać trzeba, że już jeżeli na co, to na paleontologię ewolucyoniści powoływać się najmniej mogą, bo świadectwo jej raczej ich obala, niż potwierdza.

Nawet sam Darwin przyznawał, że brak form przejściowych sprawia mu wiele kłopotu. A przecież on z pierwszej lepszej przeszkody, choćby najbardziej rzeczywistej, nie wiele sobie robił, tylko brał ją jednym rozmachem nowego terminu greckiego albo nowego »przypuszczenia«. Tu jednak nie miał na tyle odwagi; widocznie trudność przechodziła miarę zwykłą.

Zresztą teoryę ewolucyi, choćby w najciaśniejszych granicach pojętej, wyobrazić sobie niepodobna bez mniej lub więcej wolnego krzyżowania się osobników, — wolnego t. j. nie krępowanego, jak dziś widzimy, przynależnością do tego samego gatunku. Otóż takie wolne krzyżowanie, zamiast rozwoju i udoskonalenia, wprowadziłoby w świat życiowy pierwiastek rozkładu i zniszczenia. »Przypuśćmy bowiem — pisze Quatrefages — że przestało istnieć ono podstawowe prawo gatunkowości istot żyjących t. j. krzyżowanie ograniczone do osobników tegoż samego gatunku. Otóż już po kilku pokoleniach zapanuje w świecie chaos najzupełniejszy. Bo kto wskaże granice, u których zamieszanie pocznie się kończyć, a zacznie porządkowanie istot żyjących? Przeciwnie, zamieszanie musi wzrastać i w krótkim stosunkowo czasie nie będzie śladu ani gatunków, ani rodzajów, ani rodzin ani nawet typów t. j. tej przedziwnej rozmaitości przy uderzającej harmonii, jaką widzimy na świecie.

»Stąd jeżeli przeciwnie, zamiast chaosu i nieporządku widzimy i podziwiamy w świecie

harmonię, mamy prawo wnioskować, że nie tylko dziś, ale i przed wiekami co do krzyżowania panowało w królestwie fauny i flory to samo prawo, co teraz, — prawo, wykluczające wszelkie wolne krzyżowanie, o ile jest ono bez ograniczenia żadnego płodne«.[1])

Wobec tego, jak się tedy ma odbywać ewolucya? Jaką drogą?

Powstają gatunki nowe, wymierają stare Z 1500 gatunków pierwotnego raka, które spotykamy w pokładach starszych od formacyi węglowej, potem nie mamy śladu. Wyginęły a nie wydoskonaliły się. I to wyginęły w takiej liczbie i rozmaitości gatunków! Czemu?

Przytem nie zapominaj o tem, że od czasów historycznych t. j. od niespełna 6000 lat, jak to wyżej zauważył ks. Moigno, w świecie roślin i zwierząt, znanych ludziom, nie zmieniło się nic. A przecież 6000 lat — to w niektórych gatunkach znaczy setki tysięcy pokoleń, w każdym razie więcej niż 14000, których do utworzenia nowego gatunku domagał się Darwin. A tu ani tych nowych gatunków ani form przejściowych.

Przytem, jeżeli teorya ewolucyi miałaby zastósowanie w przeszłości, to mieć je powinna i dzisiaj, jak inne prawa przyrody. Czemu tego nie widzimy?

»Jeżeli ewolucya jest prawem zasadniczem, którem się rządzi rozwój wszelkiego życia na

---

[1]) L'Èspece humaine. 76.

świecie, — życia w najszerszem tego słowa znaczeniu, roślinnego i zwierzęcego: to temu prawu ulegać muszą wszystkie bez wyjątku istoty żyjące i ruszające na ziemi, — wszystkie: a więc w każdem miejscu i każdym czasie. Otóż faktem jest, że dziś, tak samo jak w czasach minionych, o ile je znamy, niema śladu rozwoju ewolucyjnego w kierunku tworzenia się nowych rodzajów, gatunków, a tem mniej nowych typów. Przecież jest faktem, że gatunki czwartorzędu, które się do czasów dzisiejszych przechowały, nie zdradzają żadnej organicznej zmiany, pozwalającej widzieć w nich przejście do gatunku nowego. A i w czasach geologicznych mnóstwo istot żyjących nie da się pod żadnym warunkiem pod teoryę ewolucyi podciągnąć. I ta teorya miałaby być podstawą ich bytu?[1])«

* * *

»Ale organy zanikłe np. gruczoł żółwiowaty, narostek ślepej kiszki, ślad ogona u człowieka itd.? W życiu osobników dzisiejszego gatunku są to organa zbędne — więc skąd się u nich wzięły? co mają za cel? Powiedzmy, że są to pozostałości poprzednich gatunków, którym były one potrzebne, a wszystko się wyjaśni.«

»Zbędne organy??« Ale czyż rzeczywiście zbędne? Więc taki przyrostek robaczkowy, taki gruczoł żółwiowaty: — to organy zbędne? —

---

1) Nadaillac o. c. 108.

Tak się przez czas jakiś zdawało. Dziś jednak coraz mniej przyrodników ma odwagę powoływać się na zbędność organów. Ich poprzednicy sparzyli się dosyć, kompromitując tylko i stwierdzając swą niewiadomość. Dziś każdy fizyolog wie, że gruczoł żółwiowaty, przyczepka mózgu (Hypophysis cerebri), przyrostek robaczkowaty — to wszystko części, mające w organiźmie naszym znaczenie nietylko wielkie, ale, jak w pierwszym wypadku, nawet pierwszorzędne.

* * *

Mistrz w stylu przez siebie ulubionym np. romańskim, gotyckim zbuduje ci dom, kościół, ozdobi biurko, oprawi książkę: czyż z tego wnioskować coś więcej możesz, niż to, że te same motywy stosuje on do różnych swych dzieł. Podobieństwo, zachodzące pomiędzy nimi, dowodzi w najlepszym razie tożsamości twórcy, epoki, w której dzieło powstało — ale niczego więcej.

Tak samo, gdy chodzi o podobieństwo form w gatunkach. Dowodzą one jednolitości planu w budowie wszechświata, — jednego źródła potęgi i mądrości, z którego świat wyszedł, ale nie dowodzi, a tem mniej z koniecznością rzeczy, że ewolucya wogóle jest prawdziwą albo nawet tylko prawdopodobną teoryą.

»Jak długo ewolucyoniści nie wykażą nam, w jaki sposób ewolucya się odbywa, pozostaną zawsze dłużni odpowiedzi na zasadnicze pytanie:

»Czemu i na jakiej podstawie z podobieństwa wnioskują na pochodzenie?«[1])

»Ewolucya — to hasło wygodne, bo nieokreślone, powiedział raz Lord Salisbury — jedno z tych, które od czasu do czasu rzuca się pomiędzy ludzi, aby ich wyprowadzić z położenia bez wyjścia i zakryć braki ich wiedzy.«[2])

»Jeżelibym w kwestyi pochodzenia gatunków radzić się miał uczucia, wyznaję szczerze, że zostałbym ewolucyonistą. W ewolucyi jest coś, co wielkością horyzontów porywa i elektryzuje — coś, co mimowoli pociąga. Trudno mi uwierzyć — pisał Omaliusz de Halley — aby Pan Bóg po kolei tworzył i niszczył, z powierzchni ziemi usuwał to, co w innej podobnej formie potem na nowo stwarzał.«[3])

»Uwierzyć trudno było i mnie. To otwarcie wyznaję. Pojęcie, jakie mam o Boskiej Wszechmocy i mnie mówi to samo. I ja nie rozumiem Stwórcy, co, obrawszy sobie plan Swego dzieła, rozpoczyna je, potem na pozór plan swój odmienia, modyfikuje, udoskonala: oczywiście, o ile fakta nas uderzające, są rzeczywiście taką przemianą i modyfikacyą. W każdym razie to pewno, jak uważa Gaudry, że teorya transformizmu daleko jaśniej pokazuje nam harmonię Boskiego planu świata, mądrość

---

[1]) Nadaillac o. c. s. 107.

[2]) Brit. Ass. For. the Prog. of sciences Oxford. Mowa prezydenta.

[3]) Le transformisme: Bul. de l'Acad. de Belgique, decembre 1873.

P. Boga i Jego potęgę, niż teorya trwałości gatunków.

»Kiedym się rozczytywał w uczonych pracach tego obrońcy ewolucyonizmu,[1]) byłem do głębi wzruszony. Wnioski jego tak jasne, tak ściśle na pozór ze sobą powiązane, ten szereg faktów, tak umiejętnie nagromadzonych: to wszystko wstrząsnęło mym umysłem.

»I chciałem się zgodzić na wynik ostateczny wywodów autora, ale nie mogłem. Logika i trzeźwość rozumu na to mi nie pozwalały. Chciałem za czcigodnym autorem powiedzieć: Więc świat żyjący jest to jedna wielka harmonijna jedność, która się z biegiem wieków rozwijała, — której fazy powolnego rozwoju śledzić można tak, jak się śledzi rozwój osobnika od pierwszej chwili pojawienia się jego na świecie w postaci zarodka aż do pełnego jego rozwoju.

»Chciałem, ale nie mogłem...

»Chciałem, ale rozum krytyczny nie pozwalał mi sądu naukowego opierać na uczuciu i wrażeniu, wymagał faktów. Otóż tych faktów, domagających się naukowej konkluzyi na korzyść ewolucyonizmu ja nie widziałem, bo wszystkie, które przytoczył p. Gaudry mnie wprawdzie uderzyły, ale nie mogły być dowodem, że jeden gatunek przechodzi w drugi. Są to zazwyczaj fakta izolowane, wobec któ-

---

[1]) Les enchenenments du monde animal i l'Essai de paleontologie scientifique.

rych trudności poważne, podnoszone przez przeciwników ewolucyi, całą swą zachowują siłę.« [1])

Zresztą pod tym względem masz całkowitą swobodę. Trzymaj się teoryi, jakiej chcesz, bylebyś zapamiętał wnioski następujące:

* * *

I. Teorya Darwina i Haeckla ani cieniem dowodu nie może się wykazać, że P. Boga nie ma; bo choćby ewolucya, jak ją pojmują, wśród istot żyjących miała rzeczywiście miejsce, zawsze istnienia P. Boga, jako przyczyny pierwszej będzie się domagać: 1) fakt powstania atomów i materyi anorganicznej; 2) fakt powstania pierwszego organizmu żyjącego, ponieważ samorodztwo musi być wykluczone; 3) fakt rzekomych sił rozwojowych wewnętrznych, zawartych w początkowej monadzie.

II. Teorya Darwina i Haeckla sprzeciwia się najoczywiściej faktom, stwierdzonym przez nauki przyrodnicze; bo 1) dobór sztuczny, oparty zasadniczo na kierującym go rozumie ludzkim, doprowadza nas do wniosków całkiem przeciwnych, jak chcą ci panowie; bo 2) walka o byt jest, ale nie tą, co niszczy, tylko ta, co zachowuje; bo 3) dziedzictwo jest, ale do zachowania i przekazania tego, co się po przodkach otrzymało, nie tego, co się przypadkowo nabyło samemu n. p. garb,

---

[1]) Nadaillac o. c. 106—107.

uciętą rękę itd. a 4) paleontologia nie zna form przejściowych, tylko gatunki gotowe; bo 5) dotychczas nikt tworzenia się nowych gatunków niezbicie wykazać nie mógł.

III. Teorya Darwina i Haeckla jest nonsensem, bo 1) powolne przemienianie się jednego gatunku w drugi przez wyrabianie nowych organów byłoby w niezliczonych wypadkach zupełnie bezcelowe i dlatego bez sensu. Pół skrzydła, pół pletwy... po co to? — bo

2) siły materyalne — u Haeckla »mechaniczne« — nie mogą wejść w ruch przez wzgląd na przyszłość t. j. przez wzgląd na jakiś cel, bez pośrednictwa rozumu myślącego w teraźniejszości. Otóż takie działanie trzebaby koniecznie przypuścić, żeby jak on chce, te siły rozwijać się mogły tą a nie inną drogą; bo

3) przypadek jest pokrywką głupoty lub też naiwności.[1])

* * *

Nakoniec jeszcze dwie uwagi.

Najpierw nie trzeba zbytnio przeceniać wpływu, jaki na dzisiejsze społeczeństwo europejskie wywiera darwinizm Darwina. Prawda, wiele złego robi ta teorya, jak ją przedstawia namiętnie i broni zaciekle Haeckel, a może jeszcze bardziej, jak ją do ostatnich konsekwencyi doprowadza Nitzsche, ale i to prawda, że główne źródło złego tkwi głębiej, — bo w samej

[1]) Kurt Udeis. »Bonifatius-Correspondenz« 1908.

naturze zepsutej człowieka. Nie byłoby Haeckla, Nietzschego, byliby inni; zawsze znaleźliby się ludzie dość uzdolnieni i przewrotni, aby ich dzieło na świecie prowadzić.

»W społeczeństwie chrześcijańskiem — pisze pewien głęboki znawca dzisiejszego świata — było zawsze mniej lub więcej ludzi skłonnych do zrzucenia jarzma, jakie na namiętności nakłada Ewangelia. Dziś jest ich więcej niż bywało dawniej — są miliony; ale te miliony z poprzednikami swemi wedle ducha zgadzają się w tem, że potrafią zawsze z pomiędzy siebie wydać fałszywych proroków, prorokujących im podług ich myśli. W XVI wieku takim prorokiem, okłamującym umysły mas, a schlebiającym ich namiętnościom, był Luter, Kalwin, Zwingliusz i im podobni »Reformatorzy«; w XVIII — był Wolter, Russo i inni »Filozofowie«; w XIX — był Strauss, Hartmann, Schopenhauer i inni ludzie »wielcy«, przeczący istnieniu P. Boga, nieśmiertelności duszy itd.; obecnie są nimi d a r w i n i ś c i.[1])

»Melodya ich trochę różna od poprzednich; ale piosnka zawsze ta sama. Każdy wie, że im nie chodzi o prawdę, tylko o uśpienie sumień bezmyślnych a chcących używać tłumów. Tem się tłómaczy ich powodzenie.

»Oni doskonale wiedzą, że nie udowodnili niczego, niczego nie wykazali, — że w każdym

---

[1]) cfr. Prof. Wolff. Die Begründung der Abstammungslehre. München 1907, 5.

innym wypadku świat z pogardą przeszedłby nad nimi do porządku dziennego, ale i to wiedzą, że świat, o ile do Królestwa Bożego stoi w przeciwieństwie, jest gotów przyjąć wszystko, co mu się poda w obronie tego przeciwieństwa, bo chce być oszukanym, uśpionym duchowo. Oni wiedzą doskonale, że teorya ewolucyjna, jako taka, zajmować się powinna »pochodzeniem istot żyjących« a nie kwestyą początku świata, bo to kwestya stojąca po za sferą ich naukowego badania, jako kwestya filozofii i teologii. Ale, że im i klientom ich właśnie o to tylko chodzi, aby Pana Boga nie było, — ani odpowiedzialności, obowiązku, duszy nieśmiertelnej: — dlatego z teoryą ewolucyi gatunków łączą gołosłowne przeczenie tych wszystkich postulatów zdrowego rozumu. — A czynią to tak zręcznie, że przeciętny czytelnik dla wniosków ich z góry przychylnie usposobiony, sam nie myśli, tylko odurzony ilością nagromadzonych, przesadnych, a nawet wprost podrobionych faktów, z rękami związanemi przyjmuje wszystko, co za dobrą monetę oni mu podadzą za rezultat rzekomo naukowych swych badań.

»W ten sposób powstaje pogląd na świat... Boga nie szanujący, duszy nieśmiertelnej nie uznający, szczęścia innego jak rozkosz rozhulanych zmysłów nie mogących sobie wyobrazić.

»Człowiek dzisiejszy chce zostać zwierzęciem przynajmniej w swem własnem przekonaniu i nim zostaje. Dawniej było to obrazą powiedzieć komu: »bydlę« — dziś uważa się to

za komplement, oparty na najpostępowszej zdobyczy umysłowego wysiłku ludzkiego.

»Cóż dziwnego, że na podstawie takiego świato-poglądu buduje Nietzsche dla nadczłowieka »etykę pańską« a raczej etykę bestyalską, wywracając, jak na człowieka obłąkanego przystoi, wszystko do góry nogami, robiąc z dobrego — złe, a ze złego — dobre. Dziwne tylko to, że ludzie zdrowi na umyśle tę etykę waryacką mogą brać na seryo... i smutne!

»Otóż aby dojść do tych rezultatów, ani Darwin, ani Haeckel nie byli koniecznie potrzebni, ani tem mniej ich ewolucyjna teorya.

»Przed nimi tego dokazali wobec współczesnych sobie a dla etyki chrześcijańskiej wrogo usposobionych tłumów, ludzie »wielcy«, o których dopiero co była mowa. Przyszli tamci i poszli, miejsce im ustępując. Pójdą i oni, ustępując miejsce innym. Nowe czasy przyniosą nowych głupców i nowe głupstwa. Nowe głupstwo wymyśleć potrafi każdy; nie każdy znaleść prawdę, bo prawda jest jedna, tylko kłamstwo i fałsz może się mnożyć bez końca. W gruncie rzeczy zostaje on zawsze tym samym tylko pozory prawdy przybiera nowe.

»Szczęściem kłamstwo przemija a prawda trwa wiecznie.«

To jedna uwaga.

* * *

»Wzięcie przytem niebywałe, jakiem się dziś cieszy Haeckel i jego plejada jest objawem innego jeszcze zjawiska.

»Corruptio optimi — pessima, powiadali starzy Rzymianie. Rzecz doskonała, psując się, staje się obrzydliwą.

Poganie, co nigdy pod słodkiem jarzmem prawdy ewangelicznej nie żyli, mogą być ludźmi grzesznymi, upadłemi, ale zawsze pozostaną »ludźmi«, szanującymi siebie jako ludzi, — postępującemi, jak przystoi na ludzi. Inaczej spoganieli chrześcijanie, co raz »daru niebieskiego skosztowali«.[1]) Im więcej się wznieśli tym niższym, straszniejszym jest ich upadek. Wyrzekając się wiary chrześcijańskiej, wyrzekają się oni swej godności ludzkiej, równają ze zwierzętami, owszem nieraz poniżają po pod ich poziom. Dochodzi przecie do tego, że etyka negrów afrykańskich staje się idealną w porównaniu do etyki ich chrześcijańskich »obrońców«, — że zdumieni Chińczycy nie mogą zrozumieć bezbożności i zepsucia »białych dyabłów« z Europy, że cesarz japoński swym poddanym zakazuje czytania dzieł Zoli — on poganin, gdy chrześcijanie rozchwytują je milionami, — że poganie dopiero od Europejczyków się dowiadują o istnieniu ludzi bez wiary, przeczących P. Bogu i Jemu bezkarnie bluźniących!

»Albo Chrześcijaninem, albo bydlęciem.«[2])

Oto uwaga druga.

Niestety, jakże bardzo prawdziwa. — Co mamy patrzeć daleko. My Polacy, jako naród

---

[1]) Żyd 6. 4.

[2]) Bonifatius Correspondenz (Prag), ar. 25 str. 339.

katolicki, w świecie ducha stoimy bez najmniejszej wątpliwości wyżej niż wiele innych narodów niekatolickich, przewyższających nas potęgą polityczną lub materyalnym dobrobytem. Biada nam jednak, jeśli, odrzuciwszy wiarę katolicką, sprzeniewierzymy się swej godności! Upadniemy wtedy nisko, niżej niż inne narody chrześcijańskie, stojące po za Kościołem katolickim.

Czyż to na pewnej części społeczeństwa naszego się nie sprawdza? Kto się trochę więcej przypatrzył naszej młodzieży polskiej, żyjącej bez wiary i młodzieży innej, żyjącej także bez wiary, ten mógł w tysiącznych wypadkach przekonać się na własne oczy, że upadek moralny młodzieży polskiej jest większy, straszniejszy, całkowitszy, — niszczy i psuje więcej, niż upadek tamtej.

I tak musi być. Corruptio optimi pessima. — Prawdziwe to co do jednostek, prawdziwe i co do narodów.

Dlatego, mój drogi, trzymaj się mocno sztandaru Krzyża, który Twoich przodków tak wysoko wyniósł. Bądź zawsze katolikiem z przekonania, praktykującym, bo tylko wtedy będziesz Polakiem prawdziwym.

## LIST XII.

# O początku i końcu człowieka.

---

Skąd świat anorganiczny? — Skąd życie na ziemi? — Monizm i dualizm. — Samorodztwo i położenie bez wyjścia — Oszustwo Haeckla i protest uczonego świata. — Kto pierwszy: kura czy jajo? — Przypadek. — Sześć dni stworzenia. — Stworzenie światła przed słońcem i księżycem. — Tęcza po potopie. — Długowieczność pierwszych ludzi. — Jozue zatrzymuje słońce. — Metampsychoza. — Kremacya ciał.

Z wszystkich kwestyi, które myślącego człowieka najbardziej obchodzić powinny, najważniejszą jest kwestya jego pochodzenia.

Skąd wziąłem się na świecie ja? moi rodzice?... ich prarodzice, boć przecie ostatecznie ludzi na świecie kiedyś nie było, jak nie było na nim w ogóle życia. Dziś, wobec ogólnie przyjętej teoryi Laplace'a, wątpliwości nie ulega, że kiedyś, kilkadziesiąt tysięcy czy milionów lat temu ziemia była wielką ognistą kulą o temperaturze tak wysokiej, że najtwardsze nawet kruszce i kamienie znajdowały się na niej w stanie płynnym jeżeli nie lotnym. Najpry-

mitywniejsza komórka życiowa utrzymaćby się w tych warunkach przy życiu nie mogła, — a cóż dopiero człowiek. Przed światem żyjącym był tedy na świecie świat mineralny i anorganiczny ze swojemi prawami i wzajemnem oddziaływaniem. Z biegiem czasów utworzyła się z niego powłoka dzisiejszej ziemi z jej atmosferą, morzem, rzekami, — z jej górami i dolinami: — ale na tych skalistych przestworzach nie było nic.

W pewnej jednak danej chwili, to życie się pojawiło. Dla myśliciela i filozofa obojętnem jest, ile lat tysięcy czy milionów czekać na to wypadało? dla niego główną kwestyą jest skąd się wzięła pierwsza komórka żyjąca, z której Darwin i jego szkoła wszelkie inne życie wyprowadzają, i którą nazywają monadą?

Świat dzisiejszy dzieli się na dwa obozy: jedni na to pytanie odpowiadają nauką wiary świętej: — że tę pierwszą komórkę, mogącą żyć i życie swe potomstwu swemu bez końca przekazywać, stworzył Bóg, to jest Istota nieskończona w swych doskonałościach, wszechmądra i wszechmocna, która z niczego zrobić coś sama tylko potrafi, bo przestrzeń dzielącą nicość od bytu potęgą swą sama tylko wypełnić może — i ci co istnieniu P. Boga przeczą i świat żyjący bez idei stworzenia wytłomaczyć sobie usiłują. — Ci ostatni, nie uznając podziału świata na Stwórcę i stworzenie, znają tylko to ostatnie, dlatego teoryę swą nazywają monizmem, a ich przeciwnicy, na których

czele stoi świat wierzący chrześcijański, nazwali siebie dualistami.

* * *

O ile odpowiedź ludzi wierzących na pytanie o początku życia na świecie jest prosta i do zrozumienia łatwa, o tyle odpowiedź monistów świadczy o położeniu bez wyjścia, w jakiem się znajdują. — Jedynem, możliwem z ich punktu widzenia wyjściem byłaby na razie przynajmniej, o ile chodzi o początek świata organicznego a więc człowieka (bo otwarta pozostaje kwestya, skąd się wziął świat on organiczny?) — jest teorya samowładztwa. Chwytają się oni jej jak tonący brzytwy, ale cóż kiedy teorya ta dziś nikogo już zaspokoić nie może, bo w nauce ostatecznie i nieodwołalnie zbankrutowała.

»Zaprzeczyć się nie da — pisze Virchow, jeden z najznakomitszych przyrodników niemieckich — że, jeśli nie chcę uznać teoryi twórczej, t. j. jeśli nie chcę uznać, że na początku świata był ktoś, co ciało, wzięte z ziemi, ożywił duszą, — to jestem zmuszony odwołać się do samorodztwa.«

Samorodztwem nazywamy teoryę, która przypuszcza pojawienie się na świecie istot żyjących bez pośrednictwa im podobnych rodziców. Dawniej tłomaczono sobie za pomocą niego pojawienie się różnego rodzaju zwierzątek przy rozkładzie ciał organicznych, utrzymując, że organizmy gnijące same przez się, t. j. przez

sam fakt swego rozkładu, udzielają im życia. Stąd powstał aforyzm, zresztą skądinąd prawdziwy, że corruptio unius est generatio alterius.[1])

Ale obecnie teorya samorodztwa w tem znaczeniu całkiem przestarzała. Znakomity przyrodnik i poeta Redi już pod koniec XVII w. zrobił doświadczenie, że jeśli się kawałek mięsa przykryje hermetycznie i zostawi na wolnem powietrzu, robactwa w niem nie będzie, a przeciwnie bez tego pojawi się natychmiast: stąd wnioskował, że pochodzi ono nie z mięsa gnijącego, jak podówczas jeszcze powszechnie sądzono, ale z jaj, które muchy na niem składają. — Hipotezę jego w naszych czasach doświadczeniami swemi Pasteur stwierdził tak niezbicie, że do samorodztwa obecnie żaden szanujący się mąż nauki uciekać więcej nie może. — »Moi panowie — wołał wielki ten człowiek na jednym ze swych wykładów — obserwacye najściślejsze nie dają nam najmniejszego powodu do wnioskowania, żeby jakakolwiek istota żyjąca zjawiła się na świecie bez rodziców. Dziś ktoby chciał to utrzymywać, nie badałby przyrody jak powinien i łudziłby siebie.«

Stąd zamiast wyżej przytoczonego aforyzmu mówi się dziś za Harveyem: »*Omne vivum ab ovo*«.[2])

A więc P. Bóg jest i musi być.

* * *

[1]) Przez rozkład jednego ożywia się drugie.

[2]) Wszelkie życie wychodzi z jaja (zarodku).

Nic tedy dziwnego, że gdy »Związek Keplera«, założony przez »dualistów« niemieckich dla obrony teoryi stworzenia, zaczepiony został w sposób nietaktowny przez Haeckla, odpowiedział protestem, pod którym się podpisało kilkaset powag naukowych pierwszorzędnych. Między innemi czytamy tam:

»Faktem jest, że Związek Keplera walki nie rozpoczynał. Rozpoczął ją sam Haeckel, poczem zaczepiony Związek musiał oczywiście się bronić. Jeżeli mówimy, że Związek Keplera pierwszy walki nie rozpoczynał, rozumiemy Związek sam, jako taki. Że ten lub ów z jego członków wdał się pierwej w osobistą polemikę z Haecklem, rzeczy tu nie zmienia.

»Zresztą ze Związkiem Keplera zgadzamy się najzupełniej, kiedy stawia zasadę, że obowiązkiem honoru naszego jest dołożenie wszelkich starań, aby nauka niemiecka i nadal opierała się nie tylko na niewzruszonem zamiłowaniu prawdy, ale i na prawdomówności najściślejszej. Tego zamiłowania prawdy i prawdomówności żądamy od każdego przedstawiciela wiedzy. To pierwszy i bezwzględny warunek w jego pracach.

»To też, kto z temi podstawowemi warunkami wszelkiego badania naukowego, jak Haeckel, się nie liczy, ten, zdaniem naszem, zasługuje na stanowcze i energiczne przywołanie do porządku. Mogą pomiędzy nami zachodzić różnice zdań, co w danym wypadku za

prawdę uważać trzeba, ale nie powinno ich być, gdy chodzi o prawdomówność. Inaczej zamiast gmach wiedzy budować, pracowalibyśmy nad jego zniszczeniem. Jakby to wyglądało, np. w historyi, gdyby badacz przeszłości, dla przeprowadzenia jakiejś swej ulubionej, a z góry powziętej idei, fałszował napisy i dokumenta? Otóż tak postępuje dr. Haeckel.

»Nietylko dr. Brass, ale wielu innych uczonych, nie mających doń uprzedzenia, wykazało mu brak sumienności w popularyzowaniu swych przyrodniczych teoryi i cytowaniu faktów. Przypominamy tu przedewszystkiem dzieło Wilhelma Hisa p. t. »Kształt Naszego Ciała« (1875), gdzie bez miłosierdzia wykazuje Haecklowi dowolne fałszowanie faktów, mających mu służyć za podstawę przy udowadnianiu jego teoryi.

»Tego rodzaju fałszowania faktów przyrodniczych, jakie Haecklowi wykazał Rütimayer, His i Brass, za niewinny sposób »popularyzowania« prawdy, jak to chcą niektórzy, pod żadnym warunkiem uważać nie możemy.

»Przytem stwierdzamy i to, że walka prowadzona przez Związek Keplera i innych uczonych z metodą Haeckla a sama teorya ewolucyi: to dwie rzeczy zupełnie różne. Najlepszym tego dowodem, że wielu członków tego Związku należy do stanowczych tej teoryi zwolenników.

»W proteście przeciw nim czytamy: »że teorya rozwoju gatunków, jak ją zwolennicy descendentycyjnej hypotezy rozumieją, utrzymać

się da i bez paru podrobionych ilustracyi, mających rzekomo przedstawiać embryony różnych istot żyjących. Rozumie się. Tylko nieobeznany ze sprawą i kontekstem czytelnik wyniesie przekonanie, że członkom Związku Keplera chodzi właśnie o ewolucyę. Tymczasem tak mówić jestto ich potwarzać.

»Wszystkich tedy kolegów naszych, profesorów na uniwersytetach niemieckich prosimy, aby o Związku Keplera sądu swego nie wyrabiali na podstawie zdania Haeckla i jego zwolenników, ale na zdaniu własnem, po zbadaniu działalności tego Związku, bo byłoby to doprawdy krzyczącą niesprawiedliwością wydawać sąd o czemś, czego się nie zna, albo zna tylko z fałszywych, tendencyjnych informacyi.«[1])

---

[1]) Podpisali się między innemi: Prof. A. Berberich, obserwator w król. astr. obserwatoryum (Berlin); taj. rad. dr. Berendt, prof. geologii (Berlin); taj. rad. górniczy prof. Beyschlag, dyr. król. geoiog. zakładu (Berlin); taj. rad. górn. dr. W. Branca, prof. geol. i paleon. (Berlin); prof. dr. W. Bruhns (Strassburg; dr. Bucking (Strassburg); prof. dr. Claasen (Hamburg); dr. Esser, dyr. bot. ogrodu (Kolonia); prof. dr. Foerstcr (Bern); prof. dr. med. Göbell (Kilonia); prof. dr. P. Gruner (Bern); prof. dr. med. Gysi (Zurych); prof. dr. Hamann (Berlin); prof. dr. E. Hartwig (Bamberg); prof. dr. P. Holdefleis (Halla); dr. F. Knaure-Krausen (Wiedeń); taj. rad. prof. dr. Kny (Berlin); prof. dr. med. Kocher (Bern); rad. dr. med. H. Lossen (Heidelberg); prof. dr. S. v. Rathusius (Jena); prof. dr. med. Niehaus (Bern); taj. rad. prof. dr. J. Reinke (Kilonia); dr. J. Riem (Berlin); taj. rad. dr. med. Seeligmüller (Halla); taj. rad. prof. D. Valentiner (Heidelberg).

Więc świat uczony niemiecki wystawił jenajskiemu profesorowi Haecklowi patent kłamcy i oszusta.

Szarlataneryą tedy i oszustwem cała Haekkelianiada.

* * *

Tu wybacz, przyjacielu, że na chwilę odbiegnę od przedmiotu i zapytam Ciebie: czy znasz anegdotę o kurze i jaju? Przypuśćmy, że nie; więc rzeczy się miały tak:

Gdzieś w towarzystwie pewien młodzieniec, zapewnie podobny do niejednego z Twoich kolegów, popisywał się niedowiarstwem. O Stwórcy, Panu Bogu i t. d. nie chciał naturalnie słyszeć, a że swadę miał dobrą, więc nie wiele mu brakowało, a stałby się bohaterem dnia i święciłby tryumfy. Na nieszczęście jego, kiedy w najlepsze rozprawiał, pewna młodziutka panienka zapytała go nieśmiało: »Skoro pan tyle umie i mówi, że Pana Boga niema, proszę mi powiedzieć, co było na świecie pierwej, kura czy jaje? czyli skąd wzięła się pierwsza kura?

— Ano z jaja.

---

Do podpisów lekarzy i przyrodników przyłączyli później swoje: taj. rad. prof. Baumeister (Karlsruhe); taj. rad. prof. dr. Bierling (Gryfia); prof. dr. Keppelmann (Monaster); taj. rad. prof. dr. Lassen (Berlin); prof. dr. Lindner (Lipsk); prof. dr. Rade (Marburg); taj. rad. prof. Rein (Bonn); taj. rad. prof. dr. B. Schulze (Gryfia); prof. dr. R. Seeberg (Berlin); prof. dr. Teichmüller (Karlsruhe); taj. rad. prof. dr. Zorn (Bonn).

— A to jajo skąd?

— Ano z kury?

— Jakto z kury? więc tamta nie była pierwszą?

— Nie, jajo było pierwsze.

— Więc masz pan jajo bez kury, lub kurę bez jaja. Kręć się pan jak chcesz. Koniec końców, musisz pan przyjść do pierwszej kury, która jest matką całego kurzego rodu. Ale ta kura znowu skąd się wzięła, jeśli nie wyszła z jaja? Któż ją uczynił? — Otóż, mój panie, my wierzymy, że ją uczynił P. Bóg; a pan jak to sobie tłumaczy?

Na to odpowiedzi nie było, a po chwili i samego młodzieńca. Gdzieś się ulotnił... Może się zawstydził?

* * *

A teraz wracając do rzeczy, pozwól, że to samo pytanie postawię ewolucyonistom. Niech mi powiedzą, jakim sposobem tłómaczą sobie początek tego czegoś pierwszego, tej monady, jak ją nazywają, tego czegoś, skąd według ich teoryi wszystko inne wzięło swój początek? Skąd się ono na świecie wzięło? Gdzie ma swoją przyczynę?

Czy może w sobie samym? To nie, bo mogło być lub nie być; gdyby musiało być, toby musiało być niezmiennem, zawsze takiem samem, a wtedy skąd ewolucya? A kiedy nie potrzebuje być koniecznie, to skąd się bierze,

że raczej jest niż nie jest? — że jest takiem a nie innem? — Jednem słowem to coś, ta monada jest albo czemś bezwzględnem albo tylko zawarunkowanem: bezwzględnem nie jest, więc jest zawarunkowanem. Otóż pytam: kto ten warunek wypełnia i przychyla na stronę bytu?

My powiadamy, że P. Bóg, który jest istotą bezwzględną, konieczną; a co powiadają ewolucyoniści, ale ci bezwzględni, Darwiniści? — ci, którzy z Haecklem na czele o P. Bogu słyszeć nie chcą, bo jeden tylko znają czynnik w wszechświecie: materyę.

Niech nam wyjaśnią skąd się wzięło to coś pierwsze — ta monada? Coś przecie musiało ją uczynić t. j. z niebytu powołać do bytu.

Może uczyniła sama siebie? Lecz i to nie, bo skoro jej nie było, jakim sposobem mogła coś czynić? Jakże np. malarz mógłby malować, zanim się pojawił na świecie — przed swem urodzeniem?

Nic tedy nie zostaje, jak to, co my powiadamy, że tę monadę uczyniła inna, odrębna od niej i już istniejąca Istota. Ale w takim razie nie jest ta monada czemś pierwszem bezwzględnie, jak chce Haeckel i jego zwolennicy.

* * *

Ale... ale, jest odpowiedź: ta monada zjawiła się na świecie przypadkiem?

Przypadkiem?? Dziś, przyjacielu drogi, powoływać się na przypadki nie radzę, jeśli nie chcesz sobie wystawić świadectwo głupoty. Nauka dzisiejsza przypadku nie zna, zna tylko przyczyny rzeczy i tych we wszystkiem szuka. To też ktoby powoływać się chciał na przypadek, tenby musiał odrzucić w przyrodzie celowość, porządek: jednym słowem podstawę, na której się wszelka nauka przyrodnicza opiera.

Pięknieby to wyglądało, gdyby teorya przypadku była prawdziwa! Więc te cuda przyrody, które w podziw wprawiają najbystrzejsze umysły, ta rozmaitość zwierząt i zwierzątek i drzew i krzewów i roślin, kamieni, metali i tylu innych rzeczy, — rozmaitość przechodząca wszelkie pojęcie: to wszystko zawieraćby się miało w jednym zarodku pierwotnym, — tej zachwalanej praojcowskiej monadzie, rozwijając z niej jak ze ziarnka rozwija drzewo, — a ta monada swój byt zawdzięczaćby miała przypadkowi? I ja miałbym w to wierzyć? Nie... Na tyle naiwny nie jestem!

Rób, co chcesz, łam sobie głowę, jak chcesz; ostatecznie musisz uznać, że Stwórca świata istnieje, bo bez Niego wszystko jest tajemnicą, a przez Niego wszystko staje się zrozumiałem.

* * *

Na zebraniu literackiem u Diderota postanowiono kiedyś rozprawiać na temat istnienia, P. Bóg istnieje i obecnego tam przyrodnika X. Galianiego obrano za adwokata tej prawdy.

Otóż kiedy wszyscy powiedzieli swe zdanie, rozpoczął X. Galiani swą obronę: »Pozwólcie, panowie, rzekł im, że wam najpierw opowiem, co mi się przytrafiło niedawno: Oto w Neapolu byłem świadkiem, jak wobec zebranego na rynku tłumu, jakiś kuglarz zakładał się, że ile razy kto chce, potrafi z 6 kostek wyrzucić zawsze tę samą kombinacyę — i zakładu nie przegrał. Za to wszyscy obecni orzekli jednogłośnie, że kostki są sfałszowane. I tak było w istocie.

»A teraz — ciągnął dalej — przejdźmy do naszej sprawy. Niezliczone istoty, jakie wypełniają niebo i ziemię, — to kostki, a prawa które niemi od wieków rządzą — to kombinacye, wracające zawsze z ścisłością niezmienną. Więc musi być ktoś, co tej jednostajności jest przyczyną. Ja go nazywam Bogiem. Więc P. Bóg jest, bo w świecie jest porządek.«

Na to żaden z obecnych nie mógł odpowiedzieć. Przeto wszyscy uznali, że bez Pana Boga żywego, osobowego, nieskończenie potężnego i rozumnego na świecie nie da się nic wytłómaczyć. P. Bóg tedy jest.

* * *

Więc P. Bóg stworzył świat. Naucza nas tego wiedza.

Naucza i wiara: »Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię«, zaczyna swe opowiadanie Mojżesz, największy w starożytności człowiek. Potem w ogólnych zarysach, o ile to założenie

jego było potrzebne opisuje on sposób, w jaki stworzenie to się dokonało.

»Mówiłem to nieraz i powtarzam tu znowu — pisze K. Moigno — że księgi święte, natchnione przez P. Boga, nie miały na celu wtajemniczania nas w zjawiska otaczającej nas przyrody i odsłaniania nam ich przyczyn: stąd przyznawaliśmy chętnie, że 1) autorowie ich przy danej sposobności wspominają tylko fakta i prawa przyrody, niby ktoś, co je widział i o nich rozprawia tak, żeby jego słuchacze go zrozumieli, a w ich ocenę wdawać się nie myśli; więc, jak uważa Kepler, »używa przystępnych i znanych im wyrażeń, porównań i zwrotów«; — 2) pomoc Boża szczególna, w natchnieniu się objawiająca, zachowała ich od błędu co najmniej w kwestyach, tyczących się wiary i moralności; — 3) w szczególności wiele faktów historycznych podają nam według rozpowszechnionych w danym czasie poglądów, a nie według objektywnej ich prawdziwości; — 4) ze św. Tomaszem, że wogóle niektóre ich ustępy, tyczące się nauk ścisłych, są wyrazem zapatrywań ogólnie przyjętych podówczas itd. — Robiłem te zastrzeżenia na wszelki wypadek wobec różnorodnych zarzutów, w imieniu wiedzy pozytywnej stawianych niektórym autorom natchnionym, szczególnie Mojżeszowi, na wypadek gdyby im udowodniono sprzeczne z postępem latami nauki powiedzenie.

»Tymczasem wobec faktu, że w żadnym pojedyńczym wypadku tej sprzeczności w rzeczy-

wistości wykazać nikt nie potrafił, bo wszystko, co Pismo św. zawiera z dziedziny przyrody i historyi, okazuje się prawdą bezwzględną, idę śmiało dalej i za Ampèrem[1]) i Marcelim de Serr'em powiadam, że »u autorów Pisma św., gdy w dziedzinę wiedzy wkraczają, przypuścić trzeba koniecznie i w tym kierunku szczególnego objawienia zgóry, albo przynajmniej taką przenikliwość umysłu, że orlim wzrokiem odgadnąć i przeniknąć potrafili tajemnice przyrody, które podówczas dla zwykłych śmiertelników ginęły w nieprzeniknionych ciemnościach«.

»Tak! Przytoczyć mogę cały szereg miejsc Pisma św., w których mimochodem mówi się o faktach z dziedziny przyrody w sposób taki — tak się je stawia, stosuje, opisuje, jakby się miało na oku postulaty wiedzy dzisiejszej: kosmogonii, etnologii, astronomii;[2]) fizyki, chemii, metereologii, nauk przyrodniczych, historyi, fizykalnej geografii itd. Chcąc tedy czy nie chcąc, co do siebie wyznać muszę, że i te ustępy uważam za natchnione.

»Owszem stanowczo twierdzę, że ile razy wiedza zdaje się być z wiarą i Pismem św. w niezgodzie, nieporozumienie pochodzi z wiedzy,

---

[1]) Revue de deux Mondes, juillet 1833 t. III p. 99.

[2]) W drugim tomie swej znakomitej apologetycznej pracy Ks. de Moigno wszystkie te miejsca zbiera według przyjętego dziś różniczkowania gałęzi wiedzy, dzieli i bez komentarza do rozważania podaje (str. 265—293).

która w danym kierunku ostatniego jeszcze nie powiedziała słowa.«[1])

* * *

Przytoczyłem tu, mój drogi, przydługi ten cytat znakomitego przyrodnika, aby wykazać, że z kosmogonią biblijną mimo odkrycia (?!) Darwinów, Haecklów, Buchnerów etc. etc. nie jest jeszcze tak źle.

Całym aparatem jego uczoności nie mogę się z Tobą podzielić. Gdybyś potrzebował, stoi to dla ciebie otworem. Poruszę tu tylko kilka częściej podnoszonych zarzutów. I tak:

Za czasów Woltera tematem wielu dowcipów niewczesnych było stworzenie światła przed słońcem i księżycem: »dwóch świateł wielkich: jednego, aby świeciło dniowi, a drugiego mniejszego, aby świeciło nocy«.

Na pozór niepojęte... dla wiedzy dawniejszej.

Tymczasem postęp jej wykazuje, że właśnie tak być musiało.

Dziś teorya kosmogoniczna Laplace'a zdaje się stoi silnie, otóż według niej cały system słoneczny t. j. słońce ze wszystkiemi swojemi planetami stanowiło na początku jedną ogromną mgławicę ciemną i zimną, która ruchem wirowym porwana, powoli się zgęszczała, tworząc światło i ciepło, a w pewnych odstępach przez odrywające się od niej pierścienie najpierw planetę: Neptuna, potem Saturna, Jowisza,

---

[1]) Splendeur, de la foi (1881 t. III str. 937—940).

z jego trabantami, asteroidy, Marsa, następnie naszą ziemię, z jej księżycem, wreszcie Wenus i Merkuryusza. Wobec tego rzecz jasna, że na początku słońca i księżyca jeszcze nie było i że nie odrazu utworzyły one świecącą masę, jak dzisiaj, o 30 do 32″ średnicy. Wykrycie w podbiegunowych regionach pod 75$^0$ szerokości flory i fauny zwrotnikowej każe przypuszczać, że wtedy, gdy te zwierzęta i rośliny tam żyły, średnica słońca wynosiła 45$^0$ a ziemia nie zupełnie jeszcze stwardniała, otulona była stale w tak gęstą mgłę, że tego słońca widzieć nie było można, choć za to wpływ jego ówczesna przyroda tem silniej odczuwała.

Zanim tedy słońce, jak dziś przyświecać poczęło ziemi we dnie, a księżyc w nocy — rozwój życia posunął się znacznie naprzód, rozwinęła się bajeczna wegetacya i nagromadziły zapasy potrzebnego nam dzisiaj węgla.

* * *

»Albo ta tęcza od potopu. Czyż przed tem deszczów nie było?«

Otóż to właśnie pytanie.

Mogły być, mogły nie być. W każdym razie Mojżesz choć o związku tęczy z chmurą deszczową od magów egipskich dowiedzieć się nie mógł, jednak jedno i drugie utrzymuje: że przed potopem nie było tęczy, nie było także i deszczu. Tylko rosa obfita, przy ciepłej i kwasem węglowym przesiąkłej atmosferze tworząc się w nocy znacznie chłodniejszej, opadała i zwilżała ziemię.

Tak bywa latami całemi i dziś w niektórych ciepłych stronach jak np. w Adenie, gdzie po 5, 7, 10 lat kropli deszczu niema ani chmurki na horyzoncie.

Mogło być tak i na całej ziemi.

Owszem prawdopodobnie tak było, tak że ziemia stanowiła jedną wielką cieplarnię z warunkami bytu całkiem odrębnemi niż dzisiaj.

Toż przesycenie oparem atmosfery sprowadziło w danej chwili niebywałą przedtem katastrofę w postaci 120 dni trwającego deszczu i potopu.

Tu wiedza, mój drogi, nic wykazać nie może, ani tak ani nie, może tylko stwierdzić, że tak być mogło. A to nam wystarcza.

* * *

W związku z tą trudnością jest inna, mianowicie długowieczność ludzi przed potopem. Z wyjątkiem Enocha, który wogóle nie umarł, wszyscy inni, o których mówi Pismo św. aż do Noego, żyli przeciętnie po lat 900. Jakże to?

W naszych warunkach nie do pojęcia, ale też i warunki przed potopem były na ziemi inne, niż nasze. »Wtedy deszczu — pisze Ks. Moigno — jeszcze nie było, w powietrzu było więcej tlenu, kwasu węglowego i wilgoci: stąd oddech powolniejszy, temperatura ciała nie tak wysoka, organizm powolniej się zużywał. Wtedy, jak utrzymuje Buffon, rozwój człowieka i jego fizyczne dojrzewanie zajmowało więcej czasu,

bo lat przeciętnie 130, gdy dziś wynosi 14. A że naturalna trwałość życia do czasu zużytego na rozwój organizmu ma się jak 7 do 1, więc nie ma co się dziwić, że przed potopem ludzie żyli koło lat 900 (130 × 7 = 910), a dziś w sprzyjających warunkach — do 100 (14 × 7 = 98)«.[1])

Długowieczność ta jest tedy z punktu widzenia naukowego możliwą; jako fakt historyczny ma ze sobą nie tylko wyraźne świadectwo Mojżesza, ale i jednozgodną tradycyę całego starożytnego świata. — Właśnie ta jednozgodność wobec niezgodności faktu samego z codziennem doświadczeniem przemawia za jego prawdziwością. — Skądżeby bowiem narody, nic ze sobą wspólnego nie mające, w tym punkcie miały podania zgodne, jeśliby go ze wspólnego nie zaczerpnęły były źródła i nie opierały na prawdzie?

A tę jednozgodność poświadcza nam historyk skądinąd, znany ze swej sumienności Józef Flawiusz i przyrodnik tak poważny jak Pliniusz.[2])

---

[1]) Splendeur, de la foi str. 997.

[2]) Wszyscy historycy świata, zarówno greccy jak i innych narodów świata, świadczą o długowieczności pierwszych ludzi. Manethon, annalista egipski, Berozyusz — chaldejski: Moschiusz, Hestius, Hieronim egipski, historycy puniccy Hezyod, Hekateusz, Akuzylaus, Elausz, Eforus, Mikołaj damasceński, powiadają, że pierwotni ludzie żyli po 1900 lat. (Antiquitates. l. 1, c. IV).

Pliniusz zaś mówi, że »nie jest fikcya wyobraźni, ale fakt historyczny udowodniony poważnie« (Hist. Nat. l.

To nam powinno wystarczyć, bo zupełnie bez potrzeby łamałby sobie głowę, ktoby chciał dociec, w jaki sposób ludzie przedpotopowi tak długo żyć mogli. Niechby on raczej zastanowił się nad tem, skąd rodzaj ludzki znalazł się w dzisiejszych smutnych, a upadek zdradzających warunkach? Co ten upadek spowodowało?... Badając początek, rozwój i koniec żyjących organizmów, uderzy i nas może ich przejściowa trwałość: szczególnie u człowieka. Czemu ten tak wspaniale wyposażony organizm, nagle przestaje się więcej rozwijać? Czemu w 30, 40 roku, doszedłszy do pełnego rozwoju i używania swych fizycznych i umysłowych sił, on je powoli tracić poczyna? Skąd pochodzi śmierć? W tem tajemnica, której zrozumieć nie mogę, ale nie w tem, że przodkowie nasi 900 lat żyli na ziemi.«[1])

* * *

»Albo ten Jozue! Zatrzymał słońce, przedłużył dzień, aby dokonać zwycięstwa zupełnego swych nieprzyjaciół. Co za sens? Przecie jeżeli się zatrzymać kto miał, to ziemia, nie słońce; a potem jakby się ziemia zatrzymała, toby w krainie innych planet nastąpił nieporządek.«

---

VII c. 48) Chińczycy na 2000 lat podając dwa tylko panowania: Hoang-Si (ich Adam) i Jao (Jaffet), podanie to stwierdzają.

[1]) Dr. Foinac. La longévité humaine. Str. 346.

No, najpierw Jozue, kiedy wobec wojska rozkazy dawał słońcu, nie miał wykładu o astronomii, mój drogi, i to też używał słów, aby być przez żydów zrozumianym: nie inaczej jak i dziś czynią astronomowie, kiedy rozprawiają o słońca zachodzie lub wschodzie. Jużci wiedzą, że wschodzi i zachodzi właściwie tylko ziemia, ale do zwyczaju się stosują, bo muszą. Tak było i z Jozuem.

Co się zaś tyczy nieporządku w systemie słonecznym, to najpierw ta Wszechmoc Boża, cudem zatrzymująca ziemię, innym cudem i temu zaradzićby mogła, a potem i tego nie było potrzeba, wystarczyło bowiem na to kilka godzin, by powstrzymać krążenie ziemi około swej osi, ale pozostawić w biegu zwykłym około słońca, przez co oczywiście stosunek jej do innych planet w niczem się nie zmieniał i cud niejako lokalizował. Prawda, oprócz wzmianki w arabskich legendach,[1]) żadna księga starożytna faktu tego nie wspomina; ale stąd wniosku żadnego przeciwko Pismu św. wyciągnąć nie można. Przedłużenie dnia było zjawiskiem fizycznem nadzwyczajnem, jak każde zaćmienie słońca, zorze północne, pojawienie komety itd. Uwagę zwrócić w danej chwili musiało i ono, ale stąd do notowania w kronikach ówczesnych jeszcze bardzo daleko.

---

[1]) Turiik Montekeb, cytowany przez Herboloť'a w Dictionnaire Turc, pod słowem Isschosu.

Zresztą cud Jozuego przytrafił się w głębokiej starożytności w 15 wieku przed Chr., kiedy jeszcze o kulturze greckiej i rzymskiej, nawet fenickiej nie było mowy, a o współczesnej egipskiej i chaldejskiej na razie nie wiele wiemy. — Może w stosach papierusów i cegieł kiedyś i to wyczyta jaki uczony, jak swego czasu Jerzy Schmidt w księgach klinowem pismem pisanych wyczytał opis potopu.

* * *

Na zakończenie parę słów o metempsychozie czyli wędrówce duchów z jednego ciała w drugie, — bajce, w świecie indyjskim jeszcze dziś bardzo rozpowszechnionej.

Wiara święta poprostu i wzniośle tłumaczy nam koniec człowieka: Po śmierci dobrzy pójdą po wieczną nagrodę, a źli — na męki. — Naturalnie dla wielu niedowarzonych mędrków to prawda zanadto pospolita i jasna, więc o niej milczą; za to tem skwapliwiej spieszą się przyłączyć do starożytnych Egipcyan i dzisiejszych braminów, utrzymując, że dusza ludzka, opuściwszy ciało, przechodzi albo w ciało innego człowieka, albo w ciało jakiegoś zwierzęcia odpowiednio do swoich zasług lub win.

Otóż taka wędrówka dusz czyli metempsychoza, to utwór chorej wyobraźni, nie mającej za sobą nic a wiele przeciwko sobie, bo:

1) Człowiek posiada nietylko samo ciało, albo samą duszę, ale składa się i z duszy

i z ciała, przytem dusza jest względem ciała czynnikiem, który sprawia, że jest tem a nie innem ciałem — jest czemś »osobnem«, osobnikiem. Otóż jeżeli dusza jest przyczyną ostateczną zróżniczkowania ciał na osobniki tak, że je możemy liczyć, oczywiście tem bardziej różniczkować się sama musi, odróżniając od innych dusz; innemi słowy, jak ciało moje jest numerycznie różnem od Twojego, tak i dusza moja jest numerycznie różną od Twojej. Ile ciał, tyle dusz.

2) Dusza ludzka będąc nieśmiertelną i myślącą, musi po śmierci zachować świadomość swej jaźni. Kiedy tak, to skądże pochodzi, że żaden człowiek nigdy nie zachowuje wspomnień z czasów poprzedzających swe obecnie narodziny na ziemi? Może Ty stanowisz wyjątek? Pomyśl tylko, przyjacielu, może Ci się uda przypomnieć, że już kiedyś tysiące lat temu przebywałeś na ziemi, jako jakiś święty, lub złodziej, król a może... małpa? Co? nic nie pamiętasz?

3) Jeżeli, jak bramini twierdzą, dusza ludzka z jednego ciała przechodzi w drugie, za swe dawne pokutując winy, dlaczego o winach swych nic nie pamięta?

4) W dodatku dusza ludzka według nich dostaje się zazwyczaj do zwierzęcia i tam w jednem ciele z duszą zwierzęcia poczyna gospodarować: ona rozumna a tamta nierozumna?

Doskonale? ale czy wolno wiedzieć, jakim ma być wzajemny ich stosunek? Czy może dusza

rozumna zleje się w jedno z nierozumną, tak że wspólnie ożywiać będą ciało zwierzęce? To nie; bo mielibyśmy jedno ciało, ożywiane przez dwie dusze, co jest niemożliwem, bo: przez którą z nich będzie się ono różniczkować?

To jest tedy nonsens. Więc może dusza ludzka siedzieć będzie w ciele bydlęcem, zamknięta jak w więzieniu? Dobrze, ale gdzie na to dowody? Zamknięta, — uwięziona niech będzie. Ale stosunek jej do ciała? Jakimś musi przecie być. Duszy zaś do ciała nie może być inny, jak nadawanie mu formy pewnej określonej. Ale jakiej? nie formy ludzkiej, bo byśmy mieli człowieka — a i nie formy zwierzęcej, bo ją tylko dusza zwierzęca nadaje, a zresztą dusza ludzka formy zwierzęcej nadawać by nie mogła, bo słusznie uważa św. Tomasz z Akwinu, — pewnej określonej formie może tylko pewna a nie inna odpowiadać materya.

Może tedy, przyciśnięci do muru, powiedzą, że dusza ludzka zamieni się w zwierzęcą. I to nie, bo znowu niepodobna, aby natura rzeczy się zmieniła. Koło nie może być jednocześnie i kołem i kwadratem. — Zresztą, choćby tak było, nie mogłoby być mowy o karze i poprawie, skoro dusza bydlęcia nie może ani kary rozumnie odczuć, ani się polepszyć. Więc wszędzie absurd, nonsens.

Stąd św. Augustyn metempsychozę nazywa słusznie wielkiem szaleństwem.

Ja jednak bym się zastrzegł, bo jest i w niej coś prawdy. Nieraz, mój drogi, kiedy się słucha, co ludzie mówią, albo się czyta, co piszą, doprawdy może się wydawać, że wędrówka dusz nieszczęśliwych się odbywa, ale nie z góry w dół, tylko z dołu do góry, — nie duszy ludzkiej w ciało zwierzęce, ale duszy oślej, psiej, małpiej, świńskiej w ciało ludzkie — do tego lub owego człowieka, do tego lub owego autora. — Możnaby, powiadam, tak pomyśleć, ale tylko przez podobieństwo, bo stąd do rzeczywistości jeszcze bardzo daleko.

PS. Nie doczekawszy się mej odpowiedzi, przysłałeś mi kartkę, w której piszesz, że jeden z Twych kolegów przed śmiercią się rozporządził, aby zwłoki jego zostały spalone. Pytasz, co o tem myślę?

Przedewszystkiem ostrzegam Cię, że palenie zwłok czyli kremacya, jest przez Kościół surowo zakazana tak, że nawet egzekwii i modlitw publicznych nie wolno odprawiać za tych, którzy za życia takie rozporządzenie zrobili.

— Wiem, wiem. Ale po co zakaz tak surowy? co złego Kościół widzi w kremacyi?

Poczekaj! poczekaj! Najpierw, czy Ty wiesz, dla czego kremacya w kołach wolnomularskich cieszy się tak wielkiemi względami? Otóż dla tego, że wchodzi znakomicie w ich destrukcyjne zamiary. Przecież nie potrzebuję nad tem długo się rozwodzić, że widok garści prochu, w jaki po kilku chwilach obraca się ciało ojca, syna, przyjaciela, przed paru dniami jeszcze żywego,

dla ludzi zmysłowych i powierzchownych (a tylu ich mamy), staje się efektowną ilustracyą przez masonów głoszonej teoryi, że ze śmiercią wszystko się kończy!

Posłuchaj! »Przegląd masoneryi włoskiej« pod dniem 16 lutego 1874 r. pisze: »Kluczem do zrozumienia systemu, który sprzeciwia się planom masoneryi, jest uczucie ascetyczne i transcendentalne, jakie ludzi porywa po za granice tego świata, każe im się uważać za przechodniów, krótko podróżujących na ziemi i zachęca do poświęcenia wszystkiego dla zapewnienia sobie po za grobem szczęścia. — Otóż młot masoński musi budowę tę rozbić«.

Teraz pojmujesz, przyjacielu? A jakże ta praca młota masońskiego ma wyglądać? Oto »ma się spełnić życzenie masoneryi włoskiej, aby wszystkie cmentarze stały się wyłącznie miejscem świeckiem, bez różnicy wyznania i obrządku, a zarządy miejskie przeforsowały nakaz palenia ciał z zakazem ich grzebania«.

Jasne? nieprawda? Palenie ciał — to postulat masoński; a pogrzeb — to objaw w całem znaczeniu tego słowa chrześcijański. — Cóż dziwnego, że Kościół przy nim obstaje. Kościół ciało zmarłego chrześcijanina szanuje, bo wie, że tylu sakramentami jest uświęcone, że z woli Boskiej jest przeznaczone do zmartwychwstania w nieśmiertelności i chwale; dla tego z macierzyńską troskliwością strzeże go, okadza

wonnością kadzidła, skrapia wodą święconą, starając się, o ile można, oddalić myśl o smutnym, ale koniecznym procesie tymczasowego jego rozkładu.

»Ale jabym wolał być spalonym, niż żywcem pogrzebanym.« — Być żywcem pogrzebanym i jabym sobie nie życzył. Ale gdyby mi przyszło wybierać między jednem a drugiem, kto wie, cobym wybrał. Bo być palonym ze świadomością bólu i cierpienia, choćby przez parę minut — to perspektywa niemniej przerażająca, jak być żywcem pochowanym.

»Ale kremacya odpowiada więcej przepisom hygieny, bo zanieczyszcza powietrze mniej, niż rozkład trupa.«

Zarzut ten miałby jakąś podstawę, gdyby doprawdy tak było. Tymczasem człowiek uczony tej miary, co profesor Montegazza, a przytem w danej materyi fachowy i bynajmniej nie klerykalny, o kremacyi wyraża się z energią zaprawioną oburzeniem i ostrym sarkazmem: »Pod palcami tych palaczy trup człowieka staje się prawdziwie zarazą dyabelską, która śmierdzi i kala«.

»Biedny trupie! Co z ciebie pozostało? Oto z 15 kilogramów mięsa, wnętrzności i kości, a reszta to — wszystko woda. Ale darmo! oni krzyczą i wrzeszczą w niebogłosy, że ty, nieszczęsny, ukrywasz w sobie zarodki, strasznie niebezpieczne, ba! daleko niebezpieczniejsze i szkodliwsze, niż kości naszych befsztyków

i nasze... darujcie za wyrażenie, poprostu ekskrementa.

»Niech każdy to rozważy, a chętnie mi przyzna, że człowiek żywy, ze względu na szkodliwe zarodki, którym daje początek, jest istotą daleko niebezpieczniejszą, niż trup....

»W dodatku cała ta masa materyi szkodliwej, wydzielana z ciał żywych, nie leży przecież gdzieś w ziemi głęboko, jak ten biedny okrzyczany trup ludzki, ale na powierzchni naszych pól i ogrodów, które nią użyźniamy... I bywa nieraz, że w pobliżu miasta, koło jednego domu znajduje się więcej materyi gnijących i więcej rozkładu, niż na wielkim miejskim cmentarzu«.

»Powiadają, że rozkład powolny (jak szumnie dzisiejsi krematorzy twierdzą), jest dla trupa hańbą; a ja powiadam, że szatańską orgią jest to ciało, które się zwęgla, ten tłuszcz i mięso, które się smarzy i gotuje«.[1])

Wobec tego, czyż nie słusznie Kościół św. potępia piece, w których się ciała ludzkie palą i te orgie szatańskie święcą?

---

[1]) W. M. Anthol. d. scieneces v. 27. § 9.

## LIST XIII.

# Wiara i wiedza.

Wiara i nauki ścisłe. — Balmes i O. Ventura. — Czy Kościół katolicki wydał filozofów i myślicieli? — astronomów? — matematyków? — fizyków? — chemików? — Doniosłość ich świadectwa. — Czy Kościół wydał wielkich przyrodników? — mineralogów? — fizyologów? — biologów? — K. Moigno. — Stara piosnka. — Ni w pięć ni w dziewięć. — Wiara i wiedza pozorna. — Wpływ religijnych przekonań na wiedzę. — Wielcy wynalazcy z pośród duchowieństwa. — Kłopot p. profesora. — Skąd przesąd, że wiara sprzeciwia się wiedzy? — Wyznanie Cauche'go.

Ani wiedza ani technika nie jest w sprzeczności z wiarą naszą świętą prawdziwą, katolicką, ale przeciwnie zgadza się z nią najzupełniej.

»Nieomylnym znakiem porządku i harmonii — jest jedność, jaka w przyrodzie wszędzie panuje. Postęp nauki nowoczesnej stwierdza to coraz bardziej. To też p. Poincaré nie waha się utrzymywać, że »nauka dąży do jedności i uproszczenia (simplicité)«; — że »najnowsze odkrycia dążą bezwiednie w jednym kie-

runku, do jednego punktu wyjścia, choć różnemi drogami«.

»A wyznać, że wiedza o tyle tylko postępuje, o ile zmierza do takiego punktu — znaczy stwierdzić w przyrodzie istnienie Mądrości najwyższej, wszystko porządkującej[1]).«

Tę harmonię, tę jedność pochodzenia wiedzy i wiary można wprawdzie wykazać dowodem z góry, co zrobię mimochodem, ale więcej się zatrzymam nad dowodem, z doświadczenia, opartym na historyi, — bo ma większą siłę i przez pozytywną naukę jest uważany (mniejsza o to — słusznie czy niesłusznie) za podstawę wszelkiego badania.

Dlatego będę się starał tu wykazać, że w całym szeregu ludzi uczonych genialny rozum, wyczerpująca znajomość nauk ścisłych, przyrodniczych, lub dar wynalazków — łączy się z wiarą silną, żywą, przenikającą do głębi ich duszę. W ten sposób udowodnię niejako experymentalnie, że wiara wiedzy się nie sprzeciwia.

* * *

Najpierw kilka słów w ogólności o stosunku wiary do nauk ścisłych.

Weźmy pewniki wiedzy oderwanej rzeczywiście udowodnione: pewniki filozofii prawdziwej, astronomii, matematyki, geometryi i innych nauk ścisłych.... Czyż między niemi a wiarą zachodzi z góry sprzeczność n. p. taka, jak

---

[1]) Le Lapparent. Science et Apologétique.

między kwadratem i kołem, twierdzeniem a przeczeniem? lub czy może w wierze jest coś takiego, co się sprzeciwia postulatom tych nauk?

Otóż nie, bo sprzeciwiaćby się im mogła albo jakaś prawda, uznana zarówno przez wiarę, jak i rozum niezależnie od wiary — albo prawda przez rozum poznana za pośrednictwem wiary, a więc od niej zależnie — albo wreszcie tajemnica, przez rozum nie dająca się poznać, zgłębić, zrozumieć.

Dlatego powiadam, że 1) nie sprzeciwiają prawdy pierwszego rodzaju, bo są także postulatem rozumu, patrzącego na rzeczy zdrowo i rozsądnie, inaczej rozum sprzeciwiałby się samemu sobie. Do takich prawd zaliczamy pewnik, że przyczyny zjawisk świata łączą się ze sobą w łańcuch, zawieszony na jakiemś ogniwie pierwszem, czyli, że istnieje w wszechświecie przyczyna pierwsza, rozumna, wszechmocna, nieskończenie doskonała, — dalej pewnik, że człowiek ma duszę, i to nieśmiertelną; — że ma sumienie, będące głosem Najwyższego Prawodawcy, — głosem, którego bezkarnie lekceważyć nie wolno itd.

2) Nie sprzeciwiają dalej prawdy, któremi wiara rozum wzbogaciła, kiedy rozszerzając zakres jego pojęć, stawiała mu drogowskazy, dzięki którym może się na każdem polu poruszać swobodnie, bez złudzenia i zabłąkania. Takiemi są n. p. prawdy nauk przyrodniczych

poruszane mimochodem w Piśmie św., na początku księgi Rodzaju itp.

3) Nie sprzeciwiają wreszcie tajemnice wiary dlatego, że w żadnej z nich rozum nie dostrzegł i dostrzedz nie może sprzeczności ze sobą oczywistej. Jest w nich tylko coś nieprzystępnego, czego on nie potrafi przeniknąć, zgłębić, zrozumieć — coś co jest ponad nim, wyższem od niego.

Jednem słowem prawda naukowa i prawda objawiona to dwa promienie, wychodzące z tego samego słońca prawdy, zawsze ze sobą zgodne, biegnące równolegle, ale nie krzyżujące się nigdy.

* * *

»Dzięki prawdom religijnym, pisze Balmes w pierwszym »Liście do sceptyka«, my, wierzący katolicy, posiadamy pod nogami grunt pewny, toteż możemy spokojnie i bezpiecznie badać przyrodę i zapuszczać się w świat myśli.

»Całkiem inaczej ludzie, którzy zupełnie nie wierzą albo przynajmniej tylko o wierze wątpią. I oni w rzeczach naukowych robią swe spostrzeżenia, ale kiedy my, stojąc na gruncie pewnym, przypatrujemy się burzy tego świata ze spokojnego i bezpiecznego, od deszczu i wiatru zakrytego miejsca, — to oni przypatrują się jej jako rozbitki z deski słabej i wąskiej, którą rzucają bałwany, szarpią wichry i rwą prądy przeciwne.

»Katolik wierzący tak samo jak i oni bada; tak samo ma swe wątpliwości, ale mimo to czuje się bezpiecznym, bo czuje pod nogami w wierze świętej silną podstawę. Jak żeglarz, chcący dojechać szczęśliwie do celu swej podróży, patrzeć musi na kompas, aby nie zginąć, tak i my, płynący do portu wieczności po morzu wzburzonem tego świata, nie powinniśmy tracić z oczu kompasu duszy naszej, t. j. wiary świętej, bo inaczej możemy łatwo zbłądzić — i zginąć na wieki.«

»Granice, wytknięte rozumowi przez Pana Boga — powiada O. Ventura — to droga wygodna, wytyczona, utorowana i pewna. Idąc po niej, nie możemy się omylić. Wiara dla rozumu to nie przeszkoda, ale ułatwienie podróży po świecie i zabezpieczenie od niebezpieczeństwa.«[1])

I to tylko wiara święta katolicka.

Bo czyż może inna?

Weźmy n. p. już nie mówię religię ale filozofię starożytnych pogan. Jakże niezdatną do tego się okazała! Przecież cechą jej charakterystyczną był właśnie brak pewności, jasności, kierunku wyraźnie wytycznego, szczególnie w kwestyach najważniejszych i zasadniczych, jak kwestya: czem jest Bóg? czem człowiek? skąd wziął się na ziemi i jakiem jest jego przeznaczenie? Toteż jakże strasznie błą-

---

[1]) La raison catholique Confer. XV.

dzili najznakomitsi nawet filozofowie starożytni! W ich nauce ileż bredni, oczywistego fałszu, a nawet przewrotności!

I u nich tu i owdzie zabłysła iskierka prawdy, ale czemże to w porównaniu do obfitości światła, które nam daje wiara święta, a daje bez trudu i wysiłku, bez przymieszki fałszu, bez niebezpieczeństwa zbłąkania na manowce błędu.

Kto chce, niech spróbuje z wszystkich dzieł Platona zebrać choćby dziesiątą część myśli tak głębokich i wzniosłych, z jakiemi na każdym kroku spotka się w kilku dziełkach jednej tylko chrześcijańskiej niewiasty, świętej Teresy z Avili.

* * *

Ale teraz zobaczmy, czy Kościół św. między przekonanymi wyznawcami swymi posiada koryfeuszów myśli i przedstawicieli genialnych nauk ścisłych?

Co do tego możemy śmiało rzucić rękawicę nie tylko niewierzącym przedstawicielom wszystkich dzisiejszych uniwersytetów, wyższych zakładów technicznych, wszelkiego rodzaju akademii i stowarzyszeń naukowych i zażądać od nich w imię prawdy historycznej, aby nam podali niewierzących myślicieli, którzyby pod względem potęgi umysłu, szerokości poglądu i śmiałości wniosków stanęli na równi ze św. Augustynem, Albertem

Wielkim, Tomaszem z Akwinu,[1]) Bonawenturą, albo choćby Franciszkiem Suarezem, Balmes.... itd. Dzieła ich się zachowały. Świadczą o nich, czem byli.

Możesz być o odpowiedź spokojny. To też kiedy chodzi o filozofię, posiada Kościół katolicki myślicieli pierwszorzędnych, a przytem wierzących z taką prostotą jak dziecko, lud i pobożne kobiety. Wiara ludu jest wiarą ich.

* * *

Ma Kościół także wśród swych wyznawców przedstawicieli nauk ścisłych, matematyków, astronomów, fizyków i chemików.

W wiekach średnich jaśnieje n. p. Rabanus Maurus, opat fuldajski, którego umysł

---

[1]) »Duch to potężny — pisze protestant, tajny radzca, profesor Rudolf von Ihering o św. Tomaszu — który poznał i wyczerpał etykę, jako naukę o obyczajach, zarówno pod względem praktycznym jak i historycznym. Słusznie sobie wyrzucam, żem go przedtem nie znał; ale jeszcze bardziej wyrzucam nowoczesnym filozofom i teologom protestanckim, że z myśli, nagromadzonych u tego wielkiego męża zasadniczo nie chcą korzystać. Zdumiony pytam siebie, skąd to pochodzi, że prawdy w ten sposób raz wypowiedziane, przez naukę protestancką są całkiem pomijane milczeniem. Ileżtobyśmy uniknęli błędów, gdybyśmy się nad nauką św. Tomasza zastanowić chcieli.

»Co do mnie, nie byłbym dzieła mego rozpoczynał, gdybym był wiedział, że to, o co mi głównie chodziło, u tego potentata myśli było wyrażone tak jasno, doskonale i zwięźle.« (Zweck und Recht.)

genialny przyswoił sobie wszystko, co ówczesna obejmowała wiedza, tak że dzieło jego pod tyt. »22 Ksiąg o Wszechświecie« do dziś dnia jako skarbnica mądrości jest przez uczonych wspominane z uznaniem i szacunkiem.

Potem Herman Kontraktus († 1054), którego protestant Gisebert nazywa »pierwszym co do czasu uczonym niemieckim w prawdziwem tego słowa znaczeniu«.

Dalej kardynał Mikołaj z Kuzy, — astronomowie tej miary, co ks. kanonik Kopernik, Jezuici Kircher i Boskowicz, Teatyn O. Józef Piazzi, Pijar Jan Ingherani, albo znowu Jezuita O. Secchi, Hipolit Faye († r. 1902), Urban Leverrier († 1877) i t. d....

Wszystko to byli ludzie myślący głęboko, z naukami ścisłemi obeznani i do ich rozwoju przyczyniający się tak potężnie, że wiedza nowoczesna musi ich uważać za swych koryfeuszów. Otóż sami ludzie są równocześnie członkami Kościoła katolickiego, wyznają otwarcie wiarę św., praktykują, a w dodatku najczęściej są kapłanami.

Rozumie się, dla ich genialnego umysłu wiara i nauka sprzeczności nie przedstawiała żadnej, tylko zlewała się w jednę wielką harmonię....

Mamy matematyków pierwszorzędnych wierzących i w czasach najnowszych:

Oto Ludwik Cauchy, w którego biografii pisze Balson, że »zdaniem wielu uczonych — jest to największy matematyk XIX. w.,

a w każdym razie (dodaje od siebie) jeden z najwybitniejszych«. — I ten sam wielki Cauchy przystępuje co tydzień do Sakramentów św., jest czynnym członkiem konferencyi św. Wincentego à Paulo.

Oto Wiktor Puisieu, także czynny członek tejże konferencyi i katolik praktykujący.

Oto wreszcie Karol Hermite († 1901), który od chwili nawrócenia z obojętności do wiary gorącej, t. j. od 1856 r. do końca życia, w pobożności ani na chwilę nie przestaje wzrastać.

* * *

Przejdźmy do fizyków.

Mamy Aleksandra Voltę, który sam wyznaje, że »z zamiłowaniem dużo i gruntownie zajmował się wszystkiem, co się wiary św. tyczy«: stąd sąd jego w rzeczach religijnych był jasny, erudycya teologiczna wielka, a przytem zadziwiająca powolność wobec powagi nauczającego Kościoła św. i dziecinna uległość, gdy chodziło o spełnienie religijnych obowiązków.

Albo Ampère... wielki Ampère.

»W tym fizyku znakomitym — pisał Klaudyusz — niewiadomo, co bardziej podziwiać: genialność pomysłów lub też głębokość i pewność jego wniosków.« Otóż Ampère, jak powiada o nim Sainte Beuve, »do końca życia tak doskonale łączył religię z nauką, — wiarę w Pana Boga z wiarą w siły rozumu ludzkiego, że nigdy najmniejszej nie zaznał w tym względzie

wątpliwości, najmniejszego wewnętrznego niepokoju, a tak bezwzględnie poddawał swój sąd pod Słowo Boże, że przejmował nas wszystkich podziwem«.

Albo Galvani, czynny tercyarz św. Franciszka i t. d.

* * *

Chcesz znaleść wśród wiernych katolików chemików pierwszorzędnych?

Oto Chevreuil. Jak on rozumiał swą wiarę, dowodzi fakt, że kiedy w Dourdan spóźnił się na pociąg, skracał sobie czas odmawianiem różańca przed statuą Matki Boskiej, na miejscu publicznem, wobec wszystkich.

Oto Ernest Pasteur. Przez całe życie katolik szczery, w ostatnich latach życia staje się gorliwym, często przystępuje do Sakramentów św., a kiedy zbliża się chwila ostatnia, on, największy uczony XIX. wieku, umiera z krzyżem w ręku, odmówiwszy gasnącym głosem skład wiary apostolski.

* * *

Ci wszyscy ludzie wielcy to są koryfeusze nauk ścisłych, a przytem katolicy wierzący.

Wobec tego faktu powiadam tak:

Ponieważ nie ulega wątpliwości, że są to wszystko uczeni, a uczeni miary niezwykłej, wartości pierwszorzędnej, — że to olbrzymi, potentaci wiedzy, wobec których wszyscy dzisiaj żyjący filozofowie, astronomowie, matematycy,

fizycy i t. d., z wyjątkiem rzadkich bardzo a podobnych do nich olbrzymów, — to tylko (sit venia verbo) plebs szaraczkowa uczoności, plebejusze wiedzy, którzy wiedzę przez tych olbrzymów zdobytą, sobie przyswajając, starają się im kroku dotrzymać, genialne ich pomysły w najdrobniejszych szczegółach wyzyskują i do potrzeb praktycznych zastósowują, ale sami olbrzymami nie są: — krótko mówiąc, powiadam, że zdanie jednego takiego olbrzyma w rodzaju Volty, Secchi'ego, Ampère'a, Cauchy'ego, Pasteur'a znaczy więcej niż zdanie tysięcy uczonych miary zwykłej.

Otóż, co widzimy? Widzimy, że właśnie ci potentaci wiedzy są jak najsilniej przekonani nie tylko o pewnikach nauki, którą przedstawiają, ale tak samo o prawdach wiary świętej, którą wyznają słowem i przykładem, otwarcie, śmiało, na nikogo się nie oglądając. Przypuszczać u nich obłudę, albo choćby łatwowierność i lekkomyślność, byłoby ich znieważać, a z nimi znieważać wiedzę, której są ozdobą. Byliby zaś obłudnikami, gdyby spostrzegłszy, że choć jedna jej prawda nie zgadza się z którymś rzeczywistym postulatem myśli ludzkiej, z którymkolwiek pewnikiem filozofii, astronomii, matematyki, fizyki, chemii, — tej wiary się nie wyrzekli i t. d. Toteż, jeżeli z wiarą na ustach i w sercu żyją i umierają, tej sprzeczności nie widzą.

A jeśli oni nie widzą, to któż mógłby ją widzieć? Kto?... Niech przyjdzie! Ale niech przedtem się wykaże, że ma wzrok ducha, patrzący od nich dalej, sięgający głębiej, — niech udowodni, że jest większym od nich uczonym i większym geniuszem.

Wtedy będziemy z nim mówić, ale przedtem nie.

Tyle co do nauk ścisłych.

* * *

A teraz przejdźmy do nauk przyrodniczych.

Jak wielcy filozofowie, astronomowie, matematycy i t. d. dostrzedz nie mogli sprzeczności pomiędzy nauką a wiarą, tak samo i koryfeusze nauk przyrodniczych. Wierzyli i oni.

Czy chodzi o wierzących mineralogów?

Oto Ireneusz Hauy, zdaniem v. Gumpla »jeden z największych przedstawicieli tej nauki, jakich zna historya«. »Uczoność jego i zasługi wobec wiedzy — powiada Cuvier — równie wielką była jak jego pobożność i zasługi wobec P. Boga. Ileż razy na własne oczy widziałem, jak zatopiony w naukowych spekulacyach, przerywał je, aby wypełnić jaką drobną praktykę religijną, n. p. odmówić Anioł Pański, i dopiero, zaspokoiwszy w ten sposób swe serce, wracał do rozpoczętej pracy.«

Oto Jan Nepomucen Fuchs, co krótko przed śmiercią rzekł do swego asystenta: »Chrystus nas do światła prowadzi«.

Albo fizyologowie i biologowie?[1])

Oto Teodor Szwann, słynny twórca teoryi o komórkach, był zarazem człowiekiem głęboko religijnym, gotowym bez wahania poddać się każdej decyzyi Kościoła katolickiego.

Oto Klaudyusz Bernard, przeciwnik zdecydowany materyalizmu. Ktoś o nim powiedział, że w życiu miał szczęście oddać się zupełnie nauce a w śmierci Panu Bogu, ponieważ umarł jak na wierzącego chrześcijanina przystoi po przyjęciu świętych Sakramentów i pojednaniu z P. Bogiem.

Oto ornitolog, Lazarysta Armand David, misyonarz chiński Piotr Heude, ks. Piotr Treille, jeden z twórców entomologii; O. Wasman, Jezuita, słynny z badań nad mrówkami itd.

A teraz botanicy?

Oto Karol Martins. Miał on myśl oryginalną, że za życia kazał na przeznaczonej

---

[1]) »W średnich wiekach była medycyna przywilejem mnichów, szczególnie Benedyktynów, po swych klasztorach uprawiających naukę lekarską; św. Benedykt bowiem ich zobowiązał, aby obok uprawy roli zajmowali się naukami, a przedewszystkiem medycyną. Stąd Benedyktyn Kabanus Maurus, jeden z najuczeńszych ludzi średnich wieków, w dziele p. t. »Fizyka« przekazuje nam wiele wiadomości leczniczych Podobnież św. Izydor sewilski w swym »Oryginesie«.

»Do rozwoju nauk medycznych przyczynił się znacznie klasztor benedyktyński w Monte Cassino i szkoła salerneńska«. (Dr. Reich, protestant: Lehrbuch der Aetiologie und Hygiene.)

Więc i medycyna żyć może w zgodzie z wiarą.

dla siebie koszuli śmiertelnej wyszyć krzyż wielki zielony: »krzyż, bo jestem chrześcijaninem; a zielony, bo jestem botanikiem«. W niej go pochowano.

Oto Jezuita, Franciszek v. Schrank, Jan Leurisse, ks. Franciszek Castracone degli Antelmelli itd.

»Na Zachodzie był Albert W. pierwszym uczonym, który na sobie wykazał, że wolne badanie z wiarą chrześcijańską da się nie tylko pogodzić, ale do prawdziwego poznania P. Boga jest nawet bardzo potrzebnem. W tym względzie jest on przykładem dla wszystkich, którzy po nim żyli, lub żyć jeszcze będą. Prawda, i on tu i owdzie przyjmuje za dobrą monetę, co mu przekazała tradycya, a co na podstawie badań nowszych okazało się fałszywem. Mimo to jednak jako arystotelik najznakomitszy zajmuje on na Zachodzie miejsce pierwsze; on bowiem pierwszy pisma Arystotelesa o fizyce i metafizyce zaopatrzył w tak trafne komentarze, że między wielkim filozofem greckim a nauczaniem Kościoła i jego tradycyą panować odtąd poczęła harmonia najzupełniejsza. Dlatego jest on także prawdziwym założycielem zachodniego przyrodoznawstwa, pierwszym naukowym pracownikiem na polu zoologii i botaniki«. [1])

A geologów?

Oto de Beamont, Karol de Villea, Joachim Barande, którego zdaniem »astro-

[1]) W. Jessen, protestant, Botanik der Gegenwart und Vorzeit, str. 164.

nomia i palentologia, to dwie nauki, z których każda na swój sposób głosi potęgę i chwałę Stwórcy« itd.

* * *

Uwzględniając to wszystko, mógł znakomity przyrodnik i kapłan pobożny, ks. Moigno, śmiało napisać:

»Ze świadomością zupełną tego co mówię, oświadczam najuroczyściej, że wiedza nowoczesna nie zawiera w sobie ani jednej prawdy, ani jednego faktu, któryby człowiekowi uczciwemu mógł dostarczyć skutecznej broni przeciwko wierze św.

»Pomiędzy tem, co naucza wiara, a tem, o czem przekonuje nas rozum, panuje zgoda najzupełniejsza.

»Znam wszystko, co do dnia dzisiejszego wiedza ludzka w otaczającym nas świecie przyrody odkryła, zrozumiałem to wszystko, a jednak nigdy wątpliwość jakakolwiek, pokusa choćby najmniejsza przeciwko wierze św., nie powstała w mem sercu, nie naruszyła spokoju mych religijnych przekonań.« [1])

* * *

»Ale cuda! cuda! Wiara opiera się na cudach, a wiedza współczesna cudów nie uznaje. Przecież niedawno gdzieś któryś profesor uniwersytetu podczas wykładu oświadczył publicznie, że »wiara w cuda, dla człowieka nauki nowo-

---

[1]) Les splendeurs de la foi.

czesnej — to niby zgrzyt żelaza po szkle, niby kamyczek, trafiający pomiędzy zęby. Cuda, to tama stawiana wolnemu badaniu, przeszkoda w postępowym rozwoju wiedzy.«

No proszę! Gdzie cuda a gdzie badanie wolne; przecież Kościół św. zanim w imię Pana Boga zażąda, abyśmy zjawisko dane uznali za cud, udaje się najpierw do przedstawicieli wiedzy, ale poważnej i prosi, aby z całą swobodą je zbadali i dopiero, gdy oni swoje ostateczne słowo wypowiedzą, orzeknie sam czy był tam cud lub nie.

Weźmy pierwsze lepsze cudowne uzdrowienie: otóż tylko wtedy może być mowa o cudzie, kiedy zostanie stwierdzonem, 1) że medycyna środkami swemi danej choroby usunąć nie mogła i 2) po jej usunięciu wyjaśnić nie mogła, skąd pochodził powrót do zdrowia całkowity, nagły, wszelkiemu dotychczasowemu doświadczeniu przeciwny. Dopiero, gdy wiedza dać żadnego wyjaśnienia nie może i pogrąży się w milczeniu, przychodzi Kościół i stwierdza cud, t. j. stwierdza, że w danym wypadku zaszło coś, co się prawom przyrody sprzeciwia.

Tak w Lourdes przy każdem uzdrowieniu, uznanem za cudowne. Gdzie tu sprzeczność wiary i wiedzy? Jeden milczy a drugi mówi, kto komu tu się sprzeciwia?

To też ludzi nie chcących słyszeć o cudach, odeślijmy do Lourdes. Tam się przekonają, że nie ten jest łatwowierny i lekkomyślny, kto w cuda wierzy, ale ten, kto je odrzuca... Tam

niech popróbują nagłe i całkowite uzdrowienia opuszczonych przez lekarzy chorych w inny tłomaczyć sposób.

Jeżeli potrafią,.... ale jeżeli nie potrafią, jeżeli swą niewiadomość wyznają i będą milczeć, to niech nam pozwolą wierzyć, jak wierzyliśmy dotychczas i wiary św. niech nie oczerniają. — Inaczejby kłam zadawali oczywistej prawdzie a taka walka z prawdą jest rzeczą podłą.

* * *

Zresztą przez to, co powiedziałem, nie chcę powiedzieć, żeby między wiarą i wiedzą nie zachodziła pod pewnym względem sprzeczność i to najskrajniejsza i najprawdziwsza, ale kiedy? oto gdy pod płaszcz królewski wiedzy podszyje się system, filozofia fałszywa, materyalizm, pozytywizm, racyonalizm, ateizm, monizm itd....

A! wtedy sprzeczność jest, ale sprzeczność nie między wiarą i wiedzą prawdziwą, tylko między wiarą i wiedzą pozorną, a raczej pomiędzy wiarą a ową fałszywą filozofią, co bez podstawy i dowodu, wbrew zdrowemu rozumowi i krytyce ścisłej, wynosi swe postulaty nieuzasadnione do wysokości naukowego pewnika.

Dopóki taki Haeckel w imieniu nauki przyrodniczej rozprawia o spostrzeżeniach, doświadczeniach i wnioskach, które robi w przyrodzie, słuchamy go z uszanowaniem, bo na jego ramionach powiewa płaszcz wiedzy królewski,

wspaniały, bogaty, piękny. Ale kiedy tenże sam Haeckel pocznie dowodzić, że Pana Boga niema, niema duszy nieśmiertelnej, — że człowiek od małpy pochodzi, w świecie jest tylko materya i siła i nic więcej: to my mu w imieniu tejże wiedzy i w jej obronie zadamy kłam i oskarżymy o fałszerstwo, bo te wszystkie twierdzenia z wiedzą przyrodniczą nic wspólnego nie mają, tylko są pod nią podszyte — są albo wynikiem fałszywego rozumowania, a więc paradoksem, albo sofisteryą, albo objawem złego, zepsutego, nienawiścią i przesądem zarażonego serca: — w każdym razie nie wiedzą prawdziwą.

Myśl tę na posiedzeniu Akademii Nauk wiedeńskiej wyraził doskonale wybitny przyrodnik br. Andrzej Baumgartner. »Mówią o Newtonie, że kiedy się starał udowodnić z góry swe prawa o ruchach ciał niebieskich, zawołał: »Fizyko! broń mię od metafizyki!« a jabym powiedział każdemu, kto się podejmuje badać w ich ostatniej przyczynie funkcye ludzkiego ducha: »Proś metafizyki, aby cię od fizyki broniła«. Nie nauki przyrodnicze prowadzą do materyalizmu, ale ich fałszywe stosowanie. Za to nadużycie są one tak odpowiedzialne, jak sztylet za morderstwo, które się nim popełniło.«

* * *

Jakkolwiekbądź jest faktem, że przekonania religijne wpływ wielki wywierają nie tylko na wolę i obyczaje człowieka, ale i na całe jego

umysłowe życie. Widzimy to doskonale na wyznawcach Islamu, Hindusach, Chinczykach i innych narodach pogańskich a nawet żydach. Przecież i wśród nich, jak pośród społeczeństw chrześcijańskich, rodzą się ludzie zdolni, umysły głębokie, genialne, a jednak, gdzie ich dzieła?

Coś tam jest, co ich przygniata, hamuje — co umysł trzyma w niewoli, w pętach, że nie może się rozwijać. Natura im daje oczy, ale słońca niema, coby rozpraszało ciemność i patrzeć im pozwalało.

Oczywiście głównym czynnikiem tego zastoju jest religijna atmosfera, w której żyją — są ich fałszywe wierzenia. Że tak jest, dowodem, że właśnie ci, na których te wierzenia z natury rzeczy najwięcej oddziaływać muszą, t. j. ich duchowni — w życiu umysłowem biorą udział najmniejszy.

Starożytność pogańska miała swych wynalazców, mają ich, choć rzadko i społeczeństwa pogańskie; ale kto kiedy słyszał o wynalazku, dokonanym przez muftę muzułmańskiego, indyjskiego bramina, japońskiego bonzę, albo żydowskiego rabina?

Powiem więcej, kto słyszał, żeby między duchowieństwem schizmatyckiem świeckiem i zakonnem w Rosyi, Grecyi, Rumunii, Serbii znalazł się jaki wielki uczony astronom, chemik lub przyrodnik? Coś podobnego dałoby się powiedzieć także o pastorach protestanckich.

Jakże inaczej we wierze katolickiej. Że ona indywidualności nie zabija, umysłu nie

przytępia, ale przeciwnie go podnieca, oświeca i podnosi, do coraz nowych wysiłków zachęca — dowodem, już nie mówię, wynalazki niezliczone, dokonane przez katolików świeckich, wierzących i praktykujących, ale wynalazki już to kapłanów katolickich, już to w ciszy cel klasztornych modlących się i pracujących mnichów.

* * *

Oto ważniejsze.

Wynalazcą maszyneryi zegarkowej jest historyk kościelny, mnich Kassyodor. Wydoskonalił ją Benedykt Gerbert, największy uczony swojego czasu, późniejszy papież Sylwester II.

Gwido z Arezzo wynajduje skalę tonową, nuty, monokord i spisuje zasady harmonii.

Inny znowu mnich, nieznany z imienia, jest twórcą sztuki malowania na szkle.

Dominikanin Spina wynajduje okulary

Dyakon Flawiusz Gioja ulepsza magnes i udoskonala kompas.

Roger Bacon, Franciszkanin, jeden z największych i najgenialniejszych fizyków w średniowieczu, wynajduje mikroskop i lunetę

Pierwszy zegar astronomiczny buduje opat od św. Albana, Ryszard Walimford.

Biskup ratysboński, Regiomontanus, wynajduje system metryczny, buduje wiele instrumentów, rozwija algebrę i trygonometryę.

Nieśmiertelną usługę oddaje światu papież Grzegorz XIII, zaprowadzając z końcem 1582 r. porządek w kalendarzu na podstawie astronomicznych rachunków O. Kirchera, Jezuity. Tenże O. Kircher wynajduje studnie artezyjskie i latarnię magiczną.

1670 r. Franciszek Lana wypracowuje plan najdokładniejszy balonu — tego, jak się wyraził, »okrętu dla podróży powietrznej«; a w 50 lat później Bertold Gussman w obecności portugalskiego dworu w Lizbonie wznosi się w balonie, zbudowanym przez siebie.

Cystersi zaprowadzają sikawkę do gaszenia pożarów.

Długo przed Franklinem na myśl piorunochronu wpadł Norbertanin Prokop Davis.

Piotr de Ponse, mnich, wynajduje metodę nauczania głuchoniemych.

Biskup Fryderyk Karol Schönborn zakłada w Würzburgu pierwszy teatr anatomiczny.

Gaz, jako środek do świecenia wynajdują Jezuici, po raz pierwszy go stosując roku 1774 w kolegium w Stonyhurst.

Pierwszy welocyped buduje ks. Pinaton, a w najnowszych czasach spektralną analizę odkrywa znowu Jezuita, O. Secchi itd.[1])

---

[1]) Uwagi godnem, że O. Alfonsi, Pijar, astronom przy obserwatoryum florenckiem, z największą dokładnością przepowiedział straszną katastrofę w Messynie z 28 grudnia 1908 r.

W ostatnich czasach świeżo kreowany kardynał Piotr Maffi, arcybiskup pizański, na wystawie w Turynie w r. 1890 wystawia globus, który wywołuje podziw w świecie uczonym i zostaje nagrodzonym medalem złotym.

O. Dominikanin Embiaci wystawia również kunsztowny zegar, a Jezuita Phény wynajduje przyrząd do regestrowania fal elektrycznych; polski zaś jego towarzysz, Włodzimierz Żukotyński ten przyrząd udoskonala.

No co? I wobec tego mówić, że klerykalizm — to ciemnota; że mury klasztorne to przybytki głupoty i zacofania! a kapłani, mnisi i zakonnicy — to darmozjady, z których ludzkość żadnego nie ma pożytku!!!

Tak to bywa na świecie. Białe zwą ludzie czarnem, a czarne — białem. Na upór lekarstwa nie ma.

Proszę mi pokazać stan, któryby pracą swą umysłową tyle usług oddał ludzkości, co stan duchowny przez wynalazki, z których dziś każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu korzysta.

I ten stan ma być wrogiem rodzaju ludzkiego, szerzycielem ciemnoty!

* * *

Te fakty powinnyby oczywiście wzbudzać szacunek dla mężów nauki, jakich wydało duchowieństwo katolickie. A tymczasem jakże

to często słyszy się i czyta, że księża ludzi ogłupiają.

Niestety! nie zawsze znajdują oni taką odprawę jak profesor X., który przy każdej sposobności miał zawsze coś do powiedzenia o obskurantyźmie księży i zacofaniu klerykałów. Także to popłatne.

Otóż pewnego razu przychodzi do niego jego uczeń, uzdolniony, pilny i myślący młodzieniec i mówi:

— Panie profesorze, bądź pan łaskaw rozwiązać mi kilka wątpliwości.

— Bardzo chętnie, przyjacielu. O co ci chodzi?

— Niech mi pan profesor powie, kto nam zachował klasyków? że dzieła ich nie zaginęły w wiekach średnich, kiedy świat tak mało się o nauki troszczył i przedostały do nas.

— No, zachowali zakonnicy, odpisując je po klasztorach.

— Jakto zakonnicy?

— A tak! zakonnicy, zwłaszcza Benedyktyni.

— Więc duchowni! klerykali! Im tedy zawdzięczamy zachowanie klasyków greckich i rzymskich.

— No tak! A pracę nie mieli łatwą. Niejeden, oddychając ciągle kurzem bibliotecznym, zapadał na zdrowiu, przedwcześnie umierając na suchoty, gdy wielu królów nie umiało się nawet podpisać. I że też im się chciało odpisywać Liwiusza, Cezara, Cycerona, Wirgila, Properca, Tybulla i innych, i to tak pięknie.

Przecież ich inicyały są nieraz prawdziwemi arcydziełami.

— Albo to, panie profesorze. Czy prawda, że gdyby nie księża, nie mielibyśmy Kolumba ani Vasco de Gama? bo ową sławną mapę, która Kolumba zachęciła do podróży, narysował mnich, klerykał Fra Mauro?

— Tak, ale mógł to uczynić każdy inny.

— Zapewnieby mógł, ale gdyby on tego nie uczynił, możebyśmy długo jeszcze czekać musieli na odkrycie Ameryki....

— A kto, panie profesorze, wprowadził do arytmetyki liczby arabskie zamiast rzymskich, co przecie tak ułatwiło studya matematyczne?

— No Sylwester II. papież.

— Papież?... A teleskop i mikroskop kto wynalazł?

— Ksiądz, Franciszkanin Roger Bakon, człowiek zresztą o poglądach całkiem nowożytnych.

— Ksiądz... o poglądach nowożytnych? Czyż tak niedawno umarł?

— No nie. Umarł w r. 1299.

— I był uczonym nowożytnym! Nie wiedziałem, że czasy nowożytne tak wcześnie się zaczynają.... A kto pierwszy, panie profesorze, nauczał, że ziemia obraca się koło słońca a nie słońce koło ziemi.

— Kopernik.

— Także ksiądz?

— A ksiądz....

Zresztą nie był pierwszym. Prawie sto lat

przed nim uczył tego Regiomontanus, biskup Rezeński († 1476).

— Znowu ksiądz i biskup. Powiedz pan, panie profesorze, czemu czasy, kiedy sztuka i nauka kwitły najwięcej, nazywają się epoką złotą Leona X-go?

— Ponieważ Leon X-ty był ich wielkim protektorem; ale chłopcze, — rzekł w końcu zdziwiony trochę pytaniami profesor — powiedz mi, o co ci właściwie chodzi? Czy sobie ze mnie żartujesz?

— Broń Boże! przedstawiam panu tylko me wątpliwości. Chciałbym bowiem wykazać, że księża są wstecznikami, obskurantami a te i tym podobne fakta mi nie pozwalają.... Panie profesorze. Proszę się nie gniewać. Pan powtarza ciągle, że księża i klerykali są wrogami światła, postępu, a tu tymczasem wychodzi całkiem inaczej. W każdej gałęzi wiedzy spotykam kapłana katolickiego lub zakonnika, który coś w niej odkryje, czemś się odznaczył, naprzód ją posunął. I wobec tego mają być oni wstecznikami? Nie, panie profesorze. W tym względzie sprawiedliwość każe mi sądzić inaczej. Więc pan wybaczy.

* * *

W Kościele katolickim światła, powietrza jest dość; w nim kto chce może pełnemi piersiami oddychać prawdą, prawdą żyć, zagłębiać się w prawdzie, z dniem każdym więcej ją sobie

przyswajać. Przeszkody w tem żadnej nie znajdzie.

»Skądże jednak pochodzi zdanie pomiędzy ludźmi tak utarte, że wiara a wiedza to dwie rzeczy sprzeczne? — Zresztą z drugiej strony mamy wielu uczonych, co wiarę odrzucają«.

Nie przeczę; ale czy jest ich wielu? Czy są tejże miary, co tamci? czy o prawdziwości swych przekonań są tak przekonani, jak Volta, Ampére, Cauchy i czy są gotowi życie swe za nie położyć? To inna kwestya.

A ja Ci powiadam, że takich uczonych niedowiarków pomiędzy potentatami nauki (uważaj dobrze) jest mało, zadziwiająco mało wobec hałasu, jaki się koło materyalizmu robi. Jest, prawda, Tyndall, Darwin, Virchow, Dubois Reymont, Huxley, Wundt, świeżo zmarły Bertholet i kilku innych. Ale na tem koniec.

Oczywiście drugorzędnych, zwykłych, zdawkowych uczonych à la Haeckel, jest daleko więcej: to tak — ale o nich niema co mówić; to nie uczeni, ale szarlatani wiedzy. Beczka pusta robi więcej hałasu, niż pełna. To też o nich więcej słychać, niż o uczonych prawdziwych.

Zresztą co się tyczy wspomnianych uczonych wielkich, a ludzi przytem niewierzących, nie trzeba zapominać, że w kwestyi najwięcej nas tu obchodzącej, istnienia Boga, Stwórcy, taki Virchow, Dubois Reymont, Wundt, a nawet w późniejszych czasach Darwin, nie stoją w sprzeczności z nami, bo są dualistami, t. j.

uznają istnienie Boga osobowego, Stwórcy świata. Sam Haeckel w swem głośnem dziele »Zagadki świata« (Welträtsel) ze smutkiem to wyznaje.

A dla nas to wystarcza; bo jeżeli ciż sami uczeni w innych kwestyach n. p. w kwestyi cudów, Bóstwa Chrystusa Pana, Objawienia itd. od nas odstępują, — pochodzi to nie z powodu wiedzy przyrodniczej, której są koryfeuszami, ale skądinąd, bo inaczej inni koryfeusze tejże samej wiedzy, jak widzieliśmy, tak samo wielcy, albo nawet więksi, tak samo, albo więcej rozumni, genialni, — z temi wierzeniami godzili swą wiedzę najzupełniej?

Więc kto obskurantem nazywa każdego wierzącego i praktykującego katolika, nie wie co mówi. To biedna ofiara ignorancyi, łatwowierności, albo namiętności.

To ostatnie najczęściej.

* * *

»Jestem chrześcijaninem, — pisze Cauchy, — t. j. z Ticho Brachem, Kopernikiem, Kartezyuszem, Newtonem, Fermatem, Leibnitzem, Pascalem, Grimaldim, Eurelem, Guldinem, Boscowicem, Gerdilem i ja wierzę w Bóstwo Chrystusa Pana, wierzę weń wraz z wszystkimi wielkimi fizykami, matematykami stuleci ubiegłych.

»Jestem katolikiem, tak jak katolikami byli po większej części oni wszyscy: a jeśli kto chce wiedzieć, co mię do wyznania wiary katolickiej skłania, to w każdej chwili mogę mu to wy-

kazać. Niech przyjdzie a zobaczy, że to nie odziedziczone tylko przesądy, ale wynik badania sumiennego i głębokiego.

»Jestem katolikiem szczerym, jak był Corneille, Racine, La Bruyère, Bossuet, Bourdaloue, Fénelon, — jakimi za naszych czasów jest tylu mężów przynoszących zaszczyt filozofii i literaturze, a stanowiących ozdobę naszych Akademii.

»Zapatrywania i przekonania moje podzielam z uczonymi pierwszorzędnymi tej miary, co Rupini, Hauy, Laennec, Ampére, Pelletieu, Fressinet, Coriolis, którzy okazywali je w całem swem postępowaniu, — słowem, piórem i przykładem. A jeżeli dla uszanowania skromności nie wymieniam żyjących, to uważam za obowiązek wyznać uroczyście, że spotykałem u nich, ku wielkiej mej radości, wiarę zawsze tę samą, szlachetną, szczerą, wspaniałomyślną. A przecie z tych przyjaciół moich, jeden jest twórcą krystalografii (Hauy), drugi wynalazcą chininy (Pelletier), trzeci stereoskopu (Laennec), inny znowu odznaczył się spostrzeżeniami, zrobionemi podczas swej sławnej podróży około świata na pokładzie »Uranii« (Frésinet), a wreszcie jeszcze jeden się unieśmiertelnił wynalazkiem elektrodynamiki (Ampére)«.

# Spis rzeczy.

List I. Czemu ludziom złym powodzi się dobrze na świecie . . . . . 5

Co stąd wynika? — Czy tak jest zawsze? — Skąd pochodzi szczęście pozorne złych ludzi? — Czemu się złym powodzi często lepiej, niż dobrym? — »Czyż nie byłoby lepiej, gdyby dobra doczesne były udziałem tylko ludzi dobrych, a złe — tylko złych?«

List II. Zło moralne w świecie, czyli grzech 19

»Jeżeli P. Bóg jest dobry, dla czego pozwala na zło?« — »Po co się trudzić, aby stać się cnotliwym?« — »Jeżeli Pan Bóg przewidział, że się zbawię, to na każdy wypadek muszę być zbawiony, a jeśli przeciwnie przewidział, że się potępię, to nie pomoże nic, muszę być potępiony.« — »Dla czego P. Bóg dopuścił, aby na świecie było tyle różnych religii?« — Jakób Balmes.

List III. O piekle . . . . . 40

»Piekło wynalazkiem księży.« — »Kaznodzieje nie przekonywują, tylko straszą.« — »Niema stósunku pomiędzy piekłem a winą człowieka.« — »Przecież Pan Bóg jest dobry.« — »Nikt się jeszcze z tamtego świata nie wrócił.«

List IV. Profanacya i świętokradztwo . . 60

»Dlaczego Pan Bóg pozwala na profanacye i świętokradztwa?« — Dlatego najpierw, że w ten sposób nieraz chce ludzi ukarać, potem, że chce im okazać Swą wszechmoc, a wreszcie, że chce powiększyć Swą chwałę.

List V. O cudach . . . . . 75

»Cud — to rzecz niemożliwa.« — »Dziś cuda się nie dzieją.« — »Kto wie, może przypadkiem

jakie nieznane nam jeszcze prawo przyrody potrafi zdziałać to samo?« — »Bywają przecie cuda tylko pozorne.« — »Uwierzę w cuda, jeśli będę świadkiem choć jednego.«

List VI. O spirytyźmie . . . . . 95

Cztery kategorye zjawisk spirytystycznych. — Magnetyzm do ich tłumaczenia nie wystarcza. — Nie wystarcza przypisywanie ich duszom zmarłych, ani aniołom. — Spirytyzm podkopuje wiarę i obyczaje. — Zdania spirytystów o spirytyźmie.

List VII. Magia czarna . . . . . 124

Magia czarna czyli czarnoksięstwo. — Spirytyści o spirytyźmie. — »Spirytyzm — to bajki.« — »Co w tych zjawiskach jest prawdziwego, da się wytłomaczyć siłami przyrody.« — Co do niektórych zjawisk nie może zachodzić żadna wątpliwość. — »Przy spirytyźmie dzieją się nawet nawrócenia.«

List VIII. O hypnotyźmie . . . . . 143

Hypnotyzm jako gałąź wiedzy przyrodniczej. — Sen kataleptyczny. — Objawy w obiegu krwi. — Spotęgowana energia zmysłów. — Wpływ suggestyi na wyobraźnię. — Pamięć w hypnozie. — Umysł. — Wola. — Suggestya. — Hypnotysta i hypnotyzator. — Dwa warunki, aby suggestya była skuteczną. — Zjawiska wątpliwe hypnotyzmu. — Przyczyna zjawisk hypnotycznych. — O. Coconnier i O. Franco. — Skutki hypnotyzmu. — Jak się ma katolik zachować wobec hypnotyzmu? — Dr. Lapponi. — »Po co te ostrożności?« — »Ale ja z szatanem nie chcę mieć nic wspólnego!« — Uzdrowienie cudowne i hypnotyczne. — Extaza i hypnoza. — Asceza i halucynacya.

List IX. Cud św. Januarego . . . . . 170

Na czem on polega? — Wszelkie oszukaństwo jest tu wykluczone. — Aleksander Dumas. — Usiłowanie wytłómaczenia go sposobem naturalnym. — Lavoisier. — Prof. De Luca i dr. Punzo. — Eksperyment p. Giaccio w sali domu ludowego w Rzymie. — Jenerał Champollion. — Znaczenie tego cudu w kościele. — Wnioski stąd wypływające.

List X. O Darwiniźmie . . . . . 202

Ewolucya, jako hipoteza przyrodnicza. — Kto jest twórcą ewolucyi? — Co jest właściwością Darwina? — Darwinizm darwinizmowi nie równy. — Pewniki, z którymi teorya ewolucyi musi się liczyć ze względu na postulaty rozumu — wiedzy przyrodniczej — wiary. — Bankructwo darwinizmu Darwina i Haeckla. — Selekcya. — Walka o byt. — Dowód morfologiczny. — Przyczyny mechaniczne i dowód biogenetyczny Haeckla. — Dr. Friedenthal. — Człowiek małpa — człowiek torbacz.

List XI. O Darwiniźmie (ciąg dalszy . . 243

Pitecanthropos erectus, Homoprimigeniusitd. — Człowiek-syrena. — Żaba. — Słoń. — Syrena-tygrisica i t. d. — Zizibambula. — Schönbruńska Maja i berliński Hans. — Lekarstwo na kuglarstwa pseudo-wiedzy. — Darwinizm umiarkowany. — Dowód paleontologiczny. — Dowód rudimentarny. — Nadaillac. — Wnioski.

List XII. O początku i końcu człowieka 271

Skąd świat anorganiczny? — Skąd życie na ziemi? — Monizm i dualizm. — Samorodztwo i położenie bez wyjścia. — Oszustwo Haeckla i protest uczonego świata. — Kto pierwszy: kura czy jajo? — Przypadek. — Sześć dni stworzenia. — Stworzenie światła przed słońcem i księżycem. — Tęcza po potopie. — Długowieczność pierwszych ludzi. — Jozue zatrzymuje słońce. — Metampsychoza. — Kremacya ciał.

List XIII. Wiara i wiedza . . . . . 298

Wiara i nauki ścisłe. — Balmes i O. Ventura. — Czy Kościół katolicki wydał filozofów i myślicieli? — astronomów? — matematyków? — fizyków? — chemików? — Doniosłość ich świadectwa. — Czy Kościół wydał wielkich przyrodników? — mineralogów? — fizyologów? — biologów? — K. Moigno. — Stara piosnka. — Ni w pięć ni w dziewięć. — Wiara i wiedza pozorna. — Wpływ religijnych przekonań na wiedzę. — Wielcy wynalazcy z pośród duchowieństwa. — Kłopot pana profesora. — Skąd przesąd, że wiara sprzeciwia się wiedzy? — Wyznanie Cauche'go.